



Kotarbiński

[1934]

[ark. 41]

[całość]

[illegible] 1-19

Maszynopis 1-9, 15-58, 62-64, 68-71 (wyrwane)

S. I. Witkiewicz

Krytyka reizmu
poglądu Tadeusza Kotarbińskiego

1934

Krna. 11 XI 1934

1) autograf. k 100 (z symbolem III) [bibliogr. nr. 41]

K 110

(k 34 [illegible] o treści k 73

1934

I

S. I. Witkiewicz

Krytyka reizmu
poglądu
Tadeusza Kotarbińskiego

W odpowiedzi na pismo z dn. 25-X-1934 r. GUSt. zaświadczam, że ceny węgla (grubego z głębokich kopalń Zagłębia) w październiku 1925 r. wynosiła 24,15 zł. nominalnych za 1 tonnę co w przeliczeniu na złote w złocie wynosi 35,99 zł. w złocie. W listopadzie 1925 cena 1 tonny tegoż węgla wynosiła 24,15 zł. co w ~~przeliczeniu daje~~ stanowi 31,06 zł. w złocie i w grudniu 1925 r. cena węgla wynosiła 24,15 zł. za tonnę, co stanowi 25,47 zł. w złocie

~~Przeliczenie Obliczenia~~ Przeliczenie ceny w złotych nominalnych na złote w złocie ma przebieg następujący: w październiku 1925 r. cena 1 tonny węgla wynosiła 24,15 zł. co stanowi 4,038 dolarów ~~po~~ (według kursu z października 1925 r. ~~przeliczając na złote otrzymujemy~~ dolar = 5,98 zł.) ~~co~~ przeliczając te 4,038 dolarów w/g kursu złotego dolara po 8,914 zł. otrzymujemy ~~[illegible]~~ 35,99 zł.

Ten sam przebieg obliczenia robimy dla następnych miesięcy: w listopadzie 1925 r. cena 1 tonny węgla wynosiła 24,15 zł. co stanowiło 3,484 dolara w/g kursu dolara w listopadzie 1925 r. = 6,93 zł.; te 3,484 dolara przeliczywszy na złote dolary w/g kursu 8,914 zł. otrzymujemy 31,06 zł. w złocie.

W grudniu 1925 r. cena 1 tonny węgla wynosiła 24,15 zł. nominalnych, co stanowiło 2,857 dolarów (w/g kursu dolara w grudniu 1925 r. po 8,452) przeliczając te 2,857 dolarów na złote w/g kursu złotego dolara po 8,914 zł. otrzymujemy cenę 25,47 zł. w złocie

Krytyka „reizmu" — doktryny Kotarbińskiego

Wstęp

Ekspozycja doktryny reistycznej jest krótka, — za krótka według mnie i nie rozwinięta w szczegółach, a nawet w punktach które są najważniejsze dla każdego systemu; postaram się zastosować do tej krótkości krótkość krytyki, jakkolwiek nie wiem, czy w pewnem miejscu nie będę znów zbyt zdopingowany do przedstawienia moich własnych poglądów. Właściwie tak powinno być, żeby krytykujący podawał swoje rozwiązania w miejsce tych które obala, czy stara się obalić. Zwykle „brak miejsca", ten przeklęty brak miejsca na rzeczy najistotniejsze, podczas gdy tyle go się zostawia na bezwartościowe bzdury, nie pozwala nigdy na wyczerpującą, istotną, t.zw. „twórczą" krytykę, w której krytykujący podałby i uzasadnił własne swe stanowisko. Załatwianie się sumaryczne ze wszystkiem jaknajpowierzchowniej bez istotnego nadoprawa, to jest bez posiadania własnych poglądów, które by można danej rzeczy przeciwstawić jest na porządku dziennym. Zdarzają się nawet „specę" od tego: czyste negatywy, które potrafią każdą rzecz wywrócić podszewką do góry, i w tej czynności materjalizują się sam dla siebie

2 III

pożytecznie. Nic niema gorszego jak zawo-
dowy krytycyzm. Nie wiem jak w naszej
filozofji, ale w literaturze ten typ ludzi
odegrał stanowczo złowrogą rolę w upadku
naszej powojennej kultury. Bo upadek
jest, na to nie ma co zakrywać oczu: trzeba
patrzeć prawdzie w jej wstrętny czasem
pysk i starać się to nadrobić; zamiast
tonąć w płaskim optymiźmie i tanich
„nadrabiaczkach", a jednocześnie podci-
nać każdy wysiłek istotny, w imię
swych paru groszy od wiersza i własnej
pełnej miski. Nie chcę być takim kry-
tykiem i mogę wszystkiemu przeciwstawić
mój własny pogląd, i jaki on jest to jest, ale
nie jest lekkomyślną ad hoc skleconą „kon-
strukcją", tylko czemś wypracowanem powoli;
z przekonaniem zdobytem raczej przez eli-
minację innych poglądów, a nie przez
zaciemnienie ~~[illegible]~~
się inicjalne i fanatyzm brnięcia dalej,
skoro się już raz w to wlazło. Amator bez
żadnego naukowego stopnia wypowiada
walkę zawodowemu uczonemu, dla którego
ma jednocześnie największy szacunek i
podziw dla jego czystego umiłowania prawdy,
bez żadnych ubocznych ambicyj życiowych,
jakoteż głęboką osobistą sympatję — sytuacja
niebezpieczna. Tem niemniej muszę podjąć
tę nierówną walkę, a ponieważ kiedyś

byłem fighting-manem z natury i resztki tej właściwości, nie zabitej ~~jeszcze~~ dotąd zniechęceniem z powodu nie natrafienia na odpowiedniego kalibru wrogów (to wielki pech - gorszy niż brak przyjaciół) [illegible] się, że tak się poetycznie wyrażę, na dnie mojej żółci, a Kotarbiński to jest „un gros gibier” (jak wykrzyknął dla tego rewolucjonisty z jakiejś powieści) więc ponosi mnie nosem polemiczna wściekłość; za co z góry „ofiarę” mojej przepraszam. Chodzi o to aby Go (przeciwnika mego) sprowokować do napisania wyczerpującego przedstawienia Jego doktryny, co dla filozofji polskiej miałoby wagę pierwszorzędną, tembardziej na tle zupełnego prawie braku samodzielnej myśli filozoficznej u nas.

1

W poprzednio opisanej broszurze o materjalizmie znajduje się też krótki pasaż, o reizmie, o którym Kotarbiński wspomina zawsze pokrótce, nie rozwijając go nigdy w system całkowity, a jawnie błędne jest mniemanie, że skończyły się systemy i przyczynki tylko są coś warte. Pojedyncze koncepcje, nie należące do większych utworów i struktur pojęciowych, są zawsze do pewnego stopnia tylko sprawdzalne, bo niewiadomo nigdy jaki będzie ich stosunek do innych twierdzeń nie-explicite założonego systemu, który jednak nie jest do całkowitego wyeliminowania, a

istniejąc w formie wyłaniającej może
łudzić się prawdziwością i [swoją] „self-consistence"
(samobytnością, samozgodnością?) jego nie
wiedzącego o nim prawie nic właściciela.
To wszystko dobre w naukach poszczegól-
nych: w filozofji trzeba wywalić wszystko
na wierzch — inaczej nic naprawdę nie
wiadomo czy dane cząstkowe rozwiązanie
jakiegoś cząstkowego zagadnienia
jest wartościowem. A płodna jest tylko
walka systemów całkowitych, a nie
drobne utarczki przyczynkarzy, którzy
np. mogą być zakutemi materjalistami,
lub np. fenomenologami i na drobnej
kwestji, na małym wycinku nawet
terminologicznie porozumieć się nie
potrafią, pozatem, że wewnątrz danego
poglądu mogą być walki zupełnie nieistotne,
gdy cały gmach powinien być co do kon-
strukcji swej sprawdzony.

Zupełnie zgadzamy się [odnośnie] ~~na~~ ~~[illegible]~~ [z góry] nazw
rzeczywistych i pozornych, ~~[illegible]~~ jeśli przyjmie-
my ~~za [illegible]~~ coś godnego uważania
go za rzeczywiste tylko rzecz materjalną
bezwładną i rozciągłą*), a resztę nazwiemy
nie-przedmiotami i tylko czemś tem na
razie. Ale jakiem prawem tak postępujemy?
Bo albo to jest tylko kwestja terminologiczna,
kwestji przyjęcia, pewnej konwencji tylko,
albo też ma ona podłoże ontologiczne.

(zaznaczam dodatkowo że) [jako taki t.zw. w danym ~~[illegible]~~ dzie wielkości, w którym go zażywamy / uważamy]
*) Otóż żaden twór żywy nie jest doskonale bezwładny — tylko
złożony z (3·10 M) składające (M M) się w przybliżeniu danem, do którejś tam
dziesiętnej, [względnie] ~~doskonale~~ w swej bezwładności.

5 III

pod pozorami czysto nieomal gramatycz-
nych problemów implikuje jakąś ontolo-
gję. Otóż tu jest jedno ze źródeł reizmu, o
wykryciu, których nam chodzi, raczej nie wy-
kryciu, bo dość otwarcie np. one demonstruje,
a raczej o skrytykowanie faktu ich niepokojącej różno-
rodności. Dlaczego jednak, przyznając
całe pierwszeństwo rzeczom ciągłym względnie trwałym
względnie, nie przenikliwym i względnie zachowującym swą postać przedmiotom
tak postponować wszystko, co nie jest takiem
właśnie i traktować na równi z „Flogistonem"
a nawet „Kretesem" (!!) tego już nie rozu-
miem. Dla mnie jest stan rzeczy posia-
dający momenty niesamodzielne, które
w nadrealnej abstrakcji, przez wystąpowanie
jednego n.p. z ~~ma~~ na tle innych mniej
jako takiego wyraźnie
wyraźnych (będących w tle zmniejszonej świa-
domości ~~[illegible]~~ bliżej, lub dalej od danego
momentu co do wyraźności i sąsiedztwa czasowego
i przestrzennego (wg. prawie zapomnianego u nas nie-
stety Corneliusa) z tego stanu rzeczy
wyłaniamy; przykład: jabłko, jego kolor i
forma. Przyjąwszy już za dogmat (ina-
czej nie jest on wprowadzony w reizmie —
przyznany jest bez dowodu), że pierwszym
(i ostatnim) elementem istnienia są
rzeczy i ich własności; dlaczego mamy
odmówić tym własnościom pewnej rzeczy-
wistości samoistnej, kiedy faktycznie
czasem występują one nawet bez rzeczy
i to nie tylko jako te własności, które zwykle
rzeczy dla nas konstytują (n.p. barwy), ale
jako faktycznie oddzielne jakości w

znaczenia psychologistycznem np. zapachy i dźwięki, które ostatecznie łatwiej (conajmniej, jeśli nie łatwo zupełnie-oczywiście jeśli chodzi o bezpośrednie przeżywanie, a nie o wiedzę naszą o naturze) kojarzeniowo zaczepić z rzeczami wygrane. 6 III

Stanowisko to (reistyczne) wciąga nas w wiele bezwyjściowych komplikacji i pod pozorami monizmu, stwarza podstawy tylko nie nadmiarowy, a wymuszony w innem miejscu, z którego potem musimy wybrnąć przy pomocy dziwnego słówka „jakoś", które tak lubi Kotarbiński – „jakoś" się słyszy jeden ton – ja wiem, to dźwięczny jest – zechłabarania kiszka na drewienku pociągana jakoś napręgowym końskim włosem, przecież to że dźwięczy ton „to tyle" (drugie ulubione „Realität verarmende" powiedzonko Kotarbińskiego) co właśnie wyżej wspomniana operacja; a nie-operacja do hipostazowięc jakieś ustosunkowanie się dwóch rzeczy w ten sposób (ale ustosunkowanie się też hipostaza – jakie u djabła to opisać? – ja nie mamy reistycznej pomysłowości) że jedna trze o drugą – nie ma tarcia, są trące się rzeczy, nie ma obłapki są tylko obłapiające się stwory różnej płci – już wiem: są trące się rzeczy i jedna jest od tego dźwięczna i to „jakoś" się słyszy – co to jest ton jako taki nie wiadomo: tego niema, „ton jako taki" to hypostaza. Tu jest coś naciąganego – to się wyczuwa bezwzględnie; ale to jeszcze trzeba udowodnić, a

to jest trudniejsze zadanie. Ale chodzi też o to, co się dostaje w zamian za przyzwyczajenie się do użycia się w „rzeczywistości [illegible]" jakby powiedział wielki demon intelektu Leon Chwistek.

Ale przecież do jego pierwszej rzeczywistości – popularnej – rzeczywistości rzeczy" – jesteśmy [illegible] więc u siebie – po rozumie tylko. Między realizmem a jedną „biedną" rzeczywistością Chwistka popularną jest przepaść. Realizm to pogląd filozoficzny – rzeczywistość ta to tylko nazwany tak potoczny pogląd życiowy, aby stosunki między ludźmi, aby udawali poznanie w słowie i piśmie, że to Chwistek nauczył ich, że może rzeczywistość jeśli nie wieloraka, to w każdym razie jest różnorodna. Niedaleko może zdania, że noże są do krajania, a kreska do siedzenia; trzeba się będzie powoływać na odkrywce tych „prawd" Chwistka – wszystko jest możliwe. Otóż czemu [illegible] zaraz tak strasznie pogardzać wszystkiem, co ma nazwę pozorną? Umieszczone są tam w czambuł rzeczy tak różnorodne jak: czerwień, długość; przesuwanie się, [Flogiston], wrażliwość, rozciągłość, [Kretes], że trudno się połapać. Kto za co był skazany na banicję z rzeczywistości: Kretes i Flogiston, wymienieni nie w tej serii przez autora realizmu, ale jednak pod ogólnem pogardliwem mianem „nazwy pozornej" lub bezprzedmiotowej umieszczeni zostali między innemi dla urozmaicenia. Towarzystwo jak z paryskiego „panier à salade", żółtego wozu, który co 20 minut przynosi [illegible] do „Dépôt" (pierwszej segregacji) różne [illegible] zebrane z miasta typki: od najgorszych

7 III

poczywszy do rzeźników i zbrodniarzy. Wiemy, że pansomatyzm, a z nim okazuje się reizm, bo to prawie jedno (czy nawet zupełnie) odrzucił zupełnie po prostu istnienie cech, stosunków, dyspozycji, zdarzeń itp., a nazwy tego „czort wie czego" uważa za nazwy pozorne i bezprzedmiotowe — do pierwszych będzie należeć czerwień, do drugich — flogiston. Więc jakaś różnica między temi jak będę je nazywał „istnościami" jest. Gdyby pojęcie „przedmiotu" nie zostało najpierw rozdęte ~~[illegible]~~ jako obejmujące wszystko (to co ja nazywam „istnościami" czyli cosiami) ~~różnymi~~ sposobami istnienia. Zakładając z góry, że za jeden byt istotny, pierwotny, uważa byt sam w sobie t.j. istnienie żywego stworu samego dla siebie, a wszystkie te inne sposoby istnienia są od z niego pochodne i to na różne mów. sposoby pochodne, dlatego że dzielą je między sobą przepaści; jednak ostatecznie w przestrzeni, według koncepcji monadystycznej nic nie ma prócz (ISN), według reistycznej prócz rzeczy, ale w dwóch rodzajach. Mamy to samo, co z psychologizmem. Tam był zupełny monizm: jakości i nic więcej: Ale potem odrazu jakości w dwóch rodzajach: wewnętrznych i zewnętrznych, a potem α, β, γ = [illegible], a potem związki jakości w „jaźniach" tylko silniej związane itp. itp. nie mówiąc już o pojęciu „ja" jako praktycznej jednostce, i o ekonomji myślenia (skąd biorą się w kupie związanych conajmniej jakości „praktyczność" i „ekonomja"?) i w reizmie też: tylko rzeczy nic tylko rzeczy i ich własności: Ale odrazu



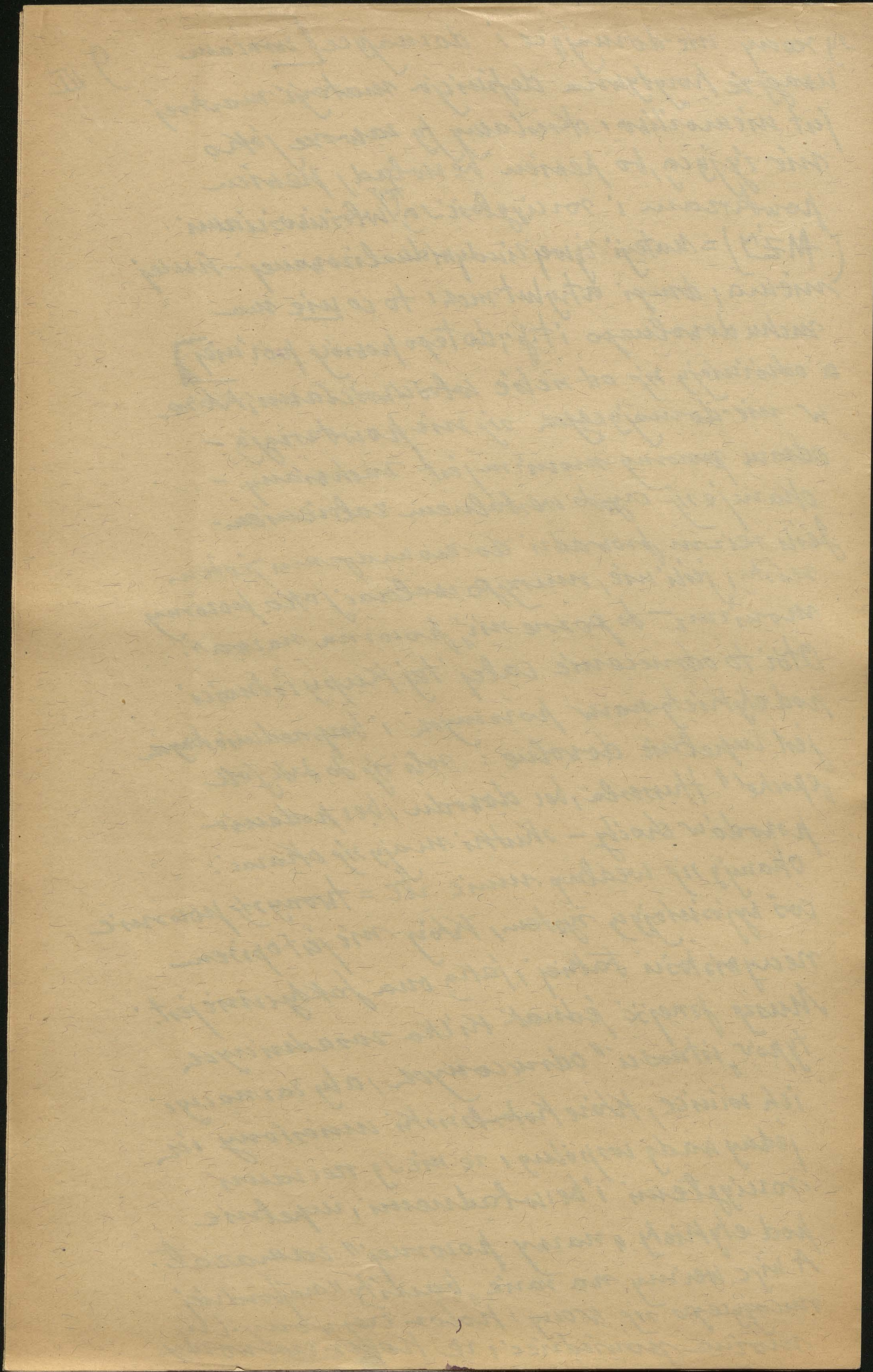
-ły rzeczy nie-doznające i doznające [zwracam uwagę że pozytywna definicja materji martwej jest niemożliwa: określamy ją zawsze jako nie żyjącą, bo pewien bezwład, pewien powtarzam i rozciągłość są też własnościami (AMŻ) = materji żywej zindywidualizowanej — innej niema; drugi atrybut ruch: to co nie ma ruchu dowolnego i.t.p.; do tego powrócę później] a odróżniają się od siebie własnościami, które w nie-doznających się nie powtarzają — odrazu pozorny monizm jest zachwiany — okazuje się czysto werbalnem założeniem.

Jeśli reizm prowadzi do monadyzmu, jestem reistą, jeśli nie, muszę go uważać jako pozorny monizm — to pozorne nie „pozorna nazwa".

Otóż to odrzucenie całej tej kupy istności pod etykietą nazw pozornych i bezpośredniobytnych jest zupełnie dowolne: robi się to tak jak „epoché" Husserla, bez dowodu, bez podania powodów choćby — skutki mają się okazać: okazują się według mnie złe = tworzy się pozornie coś wyjaśniający system, który nie jest opisem rzeczywistości takiej, jaką ona faktycznie jest.

Muszę przejść jednak kilka zasadniczych typów „istności" odrzuconych, aby zaznaczyć ich różnice, które Kotarbiński umieściwszy ich jednym rzutem wspólnym: że nie są rzeczami rozciągłemi i bezwładnemi, zupełnie pod etykietą „nazwy pozornej" zamazał.

A więc weźmy na razie „barwę" najbardziej rzucającego się w oczy: kolor czerwony. Czy można powiedzieć, że kolor czerwony



<u>jako taki</u> nie istnieje, a istnieje tylko rzecz czerwona. Ale od początku jak wszystkie najtęższe łby świata analizujący od wieków pojęcie rzeczy, nic nie mogli w niej znaleźć prócz jej własności: 1) analitycznych, tkwiących w definicji czy syntetycznych, które można było zdobyć przez doświadczenie (rozciągłość n.p. z jednej strony a z drugiej ~~[illegible]~~ topliwość przy odpowiedniej temperaturze, czy zdolność spalania się, albo rozpuszczania w wodzie); 2) istotnych, bez których rzecz ta jest nie do pomyślenia, należących do niej, a nie do naszego jej odczuwania i tych, które w nas powstają, pod wpływem ukrytych tej rzeczy własności istotnych, które jednak bezpośrednio poznajemy tylko przez nasze czucia, których rzecz jako taka sama nie posiada (n.p. forma czyli kształt danej rzeczy, jej ciężar i nieprzenikliwość z jednej strony, a z drugiej barwa, smak, zapach, zdolność takiego, a nie innego drażnienia (zimność i ciepłość) szorstkość lub gładkość i t.p.) — chociaż te ostatnie własności to jakby drobne własności formy, a więc jakby bardziej istotne od barwy, która znika bez śladu gdy na nią nie patrzymy; ale jeśli tak dalej będziemy szli, to dojdziemy, że formy i zapachy i do tej własności a formy" pewnego rodzaju, bo rzecz tę rozbijemy na drobiny (dla zapachów) na elektrony drgające czy coś takiego (dla barw) i znowu mamy własności „formy" – trochę inne, bo wyrażające

przez różne rozmieszczenia cząstek jednorodnych (dlatego też sprowadziliśmy do wspólnego mianownika i cały rzeczy = do elektronów) do różnych układów, jakości formalnych przestrzennych zmiennych, t. zn. do cząstek zmieniających w pewnych określonych granicach czyli prawidłowo swą lokalizację. Otóż bezwzględnie jest jakaś różnica istotna między pierwszemi i drugorzędnemi własnościami rzeczy, tu dlatego miał bezwzględnie rację, mimo iż prawdą również jest że wszystko ostatecznie do następstw kompleksów jakości się sprowadza, o ile rozpatrujemy byt sam dla siebie, czyli (JP) od środka, czyli kiedy jesteśmy w poglądzie psychologistycznym. Że pierwsze własności rzeczy nie potrzebują być w pierwszem przetransponowaniu na pogląd fizykalny tłomaczone ilościowo — dalej oczywiście tak jak wszystko sprowadzone będą do wspólnego mianownika energji, jak i tony, barwy, zapachy i smaki, ale na razie rozciągłość, ciężar, nieprzenikliwość przechodzą jako objektywne własności rzeczy, podczas gdy w tem ujęciu pomyśże jakości drugorzędne, znikają zupełnie wraz ze zniknięciem (JP) traktowanego od środka, co ma miejsce jeśli przechodzimy na pogląd z punktu widzenia całości istnienia, który bierzemy wprost z niezróżnicowanej masy poglądu życiowego, w którym mamy poglądy: z punktu

widzenia (JO) od środka i ten całościowy zmieszany razem w jedną teoretycznie bezkształtną, a życiowo pożyteczną kupę.

Przy dalszem uściślaniu oczyszcie [różnice z grubsza-[illegible]:] „objektywne własności rzeczy" jeszcze bardzo pachnące stosunkiem do „istności" z poglądu życiowego w jego psychologistycznej części [tam gdzie mowa o „ja", o (JO) od środka), „objektywizujący" uzupełnie: 1) czysta rozciągłość, abstrakcja jednego niesamodzielnego momentu złożonych [jak wszystkie jakości] czuć dotykowych i wzrokowych usamodzielnia się najpierw: bezwzględnie tam gdzie dla mnie kończy się moje ciało (a zaczyna) stół n.p., a dalej gdzie kończy się stół, a zaczyna powietrze, tam musi być jakościowo coś innego; może nie jest wprost wyrażalne różnicami jakości ale coś innego jest, na razie musi być przyjęte w postaci nieokreślonej. Fizyk mówi że tam są inne połączenia, tam inne, sprowadzalne do typu jednorodnego elementu ostatecznego: elektronów, poprzez kombinacje różne tychże = atomy pierwiastków, różniące się tylko ilością elementów i ich konfiguracją. Monadysta powie, że tam są w ostateczności różne zbiorowisko (ISN), fakt, który fizyk w przybliżeniu wyraża w swoich formułkach mówiąc o elektronach i atomach z tem znaczeniem ich realności, co my w życiowym poglądzie o wszystkich rzeczach i systemach pośrednich.

(tu mechanicznie zarazem te związki organiczne (cellulosa itp. „martwe" t.zn. względnie niezmienne (stół gnije oczywiście ale powoli) powstałe z tych, które nazywamy „żywemi" (w chemji dla skrótu oczywiście), a dalej związki „żywe" t.zn. bardzo wieloatomowe, nietrwałe drobiny złożonych bardzo ciał ciągle zmieniają się = ciała

Potem ciężar zamienia się w masę, na którą działa siła (ciężkości) i ostatecznie obiektywny ciężar przechodzi w system stale działających sił, i rodzaj energji potencjalnej i może być z aktualizowana — wtedy (energja masy w ruchu zdolnej wykonać pracę) staje się kinetyczną. Nieprzenikliwość, jako pochodna oporu, który stawia działaniu innych ciał nasze ciało, a także inne przedmioty innym jeszcze przedmiotom (i działania tychże wzajemne tj: ciał i przedmiotów) wszystko to wyrażalne w terminach zmiany natężenia jakości dotykowych, staje się własnością struktury cząstek – luźniejszej lub ściślejszej i w ten sposób poniekąd jakościowe różnice między ciałami stałemi, ciekłemi i gazowemi, znowu są sprowadzalne do różnic ilości elementów w danej przestrzeni i ich konfiguracji. Najdziwniejsza jest ewolucja rozciągłości: ta najbardziej istotna własność materji, w sobie sama pusta, jako wycinek jednej ze stron dwoistej formy istnienia = Przestrzeni, nie istnieje, nie wyobrażalna jest jako ograniczona bez czegoś, co ją wypełnia. Tylko w geometrji, rozważamy granice z punktu widzenia rzeczywistości, formy były abstrakcyjne, i stosunki ich niezależne od wielkości – pomimo to nie możemy pomyśleć rozciągłości bez treści; poczynając od czystego pola widzenia, które jakąś barwę mieć musi, aby być – aż do rozciągłości niemal abstrakcyjnej, niewyobrażalnej – niemal, fizyki dzisiejszej, idealistycznej, która do

który możemy teraz nazwać bezwładnością i który jest funkcją położenia innych mas bezwładnych w stosunku

rozciągłości musi być rzeczywistościowo i inter- 14/III
pretowalna, choćby z punktu widzenia
poglądu życiowego i wyobrażalności
zupełnie niemal werbalnie, musi
wypełnić się czemś: polami, liniami
sił, paczkami fal, wogóle energją w
ruchu i może mieć postać nawet nie-
zupełnie określoną, ale musi być roz-
ciągłością czemś choćby zupełnie nie-
określonem, istniejącem jako „pewna wielkość"
w równaniach, wypełnioną. Tak więc
w następnych transformacjach wszystko
sprowadza się do wielkości czysto fizykalnych
do rozciągłości wypełnionych czemś, co
nadaje ruch, co działa, czemś absolutnie
pierwotnem, niepodległem definicji —
i to rozciągłości w ruchu, wynikłym
z tego właśnie czegoś, którem one są
wypełnione — jednakże coś występuje
pod dwiema postaciami: cząsteczkowej (chociaż i to wątpię) *)
i ciągłej, ale może się udaje sprowadzić
do jednej i fizyka okaże się krajem
bez problemów = „ein Problemloses Land".
a jeśli nie da się sprowadzić, to będzie
krajem dwoistym. Trzecie wyjście będzie
ułomnościowe, jak z indeterminizmem:
nie możemy ~~[illegible]~~ tego „czegoś" opisać
bez dwoistości, ale wierzymy, że jest ono
jednem, jedynem, niesprowadzalnem,
ostatecznem. W każdym razie najpierw
Grupy własności zwane drugorzędnemi
(dlatego tak zwane są właśnie.) tj. w mojej

nota
*) Mam wrażenie, że dualizm ten jest istotniejszy niż się wydaje, chociaż „rozciągłości w ruchu" możemy sobie wyobrazić wypełnione tem samem „czemś" (energją) w formie falistego promieniowania, to jednak jest coś sztucznego w tej koncepcji — jakieś zadowolenie się przeddualistyczne. Nieprzezwyciężony dualizm podobnie jak indeterminizm znamionuje kres teorji fizykalnych w nowym układzie.

terminologji jakości jednoiste luksusowe w przeciwieństwie do własności pierwszych), którym odpowiadają subjektywnie „jakości" konieczne dla założenia istnienia (JS) wogóle, a sprowadzalne do jakości dotyku, dwoistej w swym wewnętrznym i zewnętrznym składniku (czujemy i przedmiot i powierzchnię naszego ciała) przyczem składnik wewnętrzny może być jakością samodzielną, jako czucie organów wewnętrznych, ścięgien i stawów — przy tych jakościach mamy dane tylko nasze ciało — przy poprzedniej dwoistej i ciało i przedmioty zewnętrzne. Otóż dziwna jest „pustka" samej rzeczywistości — może na niej najlepiej widać czem są niesamodzielne momenty danego stanu rzeczy. Nieprzenikliwość i ciężar są już własnościami „czegoś", cośmy wprowadzili jako ich substrat (jest to sam korzeń tej istności „materjalności", który mamy dany w postaci czuć naszego ciała, a prawie innych przedmiotów) — niby definjujemy (MM) przez te własności; nie czując tego, żeśmy już coś założyli, do czego je przyczepiamy. W samej koncepcji (MM), która tylko do ruchu własności (nie sumy ale ruchu) sprowadzić się daje tego niby niema, ale genetyczna kiszeczka, przypomina cienko jak włosek, łączy tę koncepcję z bezpośrednio danem nam w specyficznych czuciach ciałem, którego niby w koncepcji tej śladu

15 III

(wzrokowe, słuchowe, smakowe, węchowe — takie przy których doznawaniu nie doznajemy samego ciała jako takiego — nie czuję siatkówki patrząc n.p.

niema, a które wypełnia mimo to treścią swą, luki w definicjach, które tylko przez oparcie się o obrazy cielesne mają znaczenie istotne: że przedmioty (rzeczy), które zwykle rozważa się jako coś pierwotnego, pochodne są wprost od naszego ciała: nastrykujemy je trójwymiarową treścią, na tle zetknięcia się ich powierzchni z powierzchniami naszych ciał, od wewnątrz, od środka: przez to nabierają one dla nas realności; że wczuwamy się w ich przestrzenny byt naszą muskularno-ściśnieniowo-skrętową aparaturą (wywołaną odpowiedniemi jakościami przez t. zw. zaznaczone ruchy — też następstwa silniejszych co do natężeń wymienionych jakości, o określonych kierunkach przestrzennych: kompleksy jakości-wektory. Nawet patrząc na dalekie ogromne przedmioty (góry n.p.) wyolbrzymiamy w wyobraźni nasze ciała (w postaci tych wektorowych kompleksów jakości), i macamy wszystko na odległość. W tym mechanizmie tkwi istota „aktów", spatynowanych fałszywą introspekcją pewnych (właśnie takich) kompleksów, które zawsze prawie są w naszej świadomości, jeśli nie jako takie, to w tle „(w zwięzłej z góry powziętej ideologji" zmięszanem", i a następnie gruntowanie na tle tej ideologji (jakiegoś (zaś) arystotelesowa- (a nie platońskiego) tego realizmu pojęciowego - powszechniki w rzeczach i jako oddzielne „istności") zupełnie mylnie zinterpretowanych. *)

*) Patrz, Kocie, moja rozprawa „o przedmiocie" (biurko autora) (tej krytyki)

17
III

właściwość rozciągłości jako taka jest jakby
bardziej jeszcze niesamoistna niż same
właściwości, chyba, że nadamy jej w wyobraźni dotykowe znaczenie, w rodzaju
wymienionego poprzednio: nastrykującą
muskularną wyobraźnią i skórną (popierwiastkowaną) schematu
czysto wzrokowego, w granicy przedstawiającego czysto geometryczne widmo.
Dlatego jest zaiste tak, że pojęcie rozciągłości nie
musi dotyczyć już skonkretyzowanego
w myśli (czy w wyobraźni) przedmiotu,
tylko wycinka samej formy przestrzennej
istnienia, mimo że pustej to jednak
w pewnym sensie rzeczywistej jako
miejsce rzeczywistych odstępów
między rzeczami między sobą i naszemi ciałami, lub inaczej miejsce
lokalizacji „żywych" aktualnych, lub
byłych (wspomnień) jakości – wspomnienia nasze przestrzenne lokalizujemy w tej samej przestrzeni jednej
i jedynej wyobrażonej (jako miejsce
lokalizacji jakości „żywych" aktualnych), co
rzeczywistości, danej w postaci tych ostatnich. Rozciągłość jest jakością formalną –
musi być czemś wypełniona – tak samo
jakości wypełniające: dotyki, barwy, ciężary
i t.d. muszą być przestrzenne. Chodzi mi
tu o to, że jakkolwiek definiujemy rzecz
nie wyjdziemy poza związek (nie sumę)
jej własności – nie wydobędziemy dla ukonstytuowania rzeczy określić ją jako

Sumy w postaci t.zw. „przedmiotu immanentne- 18 III
go", t.zn. tego, co w „różniczce psycholo-
gicznej" czasu (w ilości minimalnym
(to) który musi trwać dana jakość aby
wogóle „być" w „trwaniu" naszem) tylko
trzeba ją pokazać jako tzw. „przedmiot
transcendentny", jako prawidłowy
t.j. powtarzający się stale, związek kom-
pleksów jakości. Taka jest pełna definicja
rzeczy psychologistów, w rozwiniętym psychologistycznym
poglądzie ~~[illegible]~~ jak np. u Corneliusa, a nie
w szkicowej formie Macha, która zupełnie zmy-
liła np. Metallmanna w jego krytyce
tego kierunku, zbyt już niesłusznej i
nie podnoszącej żadnych zasług jego
twórcy. (Czyż Cornelius nigdy nie będzie
u nas znany?) Tenże związek ostaje się
jako coś w znaczeniu własności owej
fikcyjnego, nienamacalnego, a jednak
rzeczywistego: trzeba sobie uświadomić, że
rozpatrywanie rzeczy, jako przedmiotu
immanentnego, niszczy ją zupełnie
po odebraniu jej własności stałych,
niezmiennych — dopiero jako „przed-
miot transcendentny" (ukonstytuowany
na tle poprzednich doświadczeń, a następnie
wyobrażeń i oczekiwań) rzecz zostaje
po odebraniu jej własności jako ich
możliwy związek w czasie, przy różnych
jej aspektach. Chociaż i ta zasada nie
jest bezwzględna, to możemy mieć rzecz
daną bezpośrednio. ~~[illegible]~~

[illegible] k. 15

w jakościach dotykowych (kulka w ręku, kulka w gębie) odrazu, a nie w następują- 19 III cych po sobie aspektach [Abschattungen Husserla]. Chodziło mi o to, że puszczenie pojęcia rzeczy jako czegoś pierwotnego [z dodatkiem co ma własności — jak? — samo w sobie, czy dla nas? — czy rzeczywiste, czy złudzeniowe? w jakiem znaczeniu? czy to jest fakt pierwotny i niewyjaśnialny: mieć własności i być rzeczą?] bez analizy tego pojęcia jest o tyle niebezpieczne, że powoduje złudzenia dość łatwo rozprawialne, poczem całe „wyjaśnienie" problemu i monizm, który u początku tej koncepcji może tak bardzo cieszyć, zdają się dość iluzoryczne. Ciekawem jest również to, że nie możemy podać definicji rzeczy martwej w stosunku do żywej, (definicji różniczkowej) jak tylko w sposób negatywny: jako czegoś nie-żyjącego, bo rozciągłość, nieprzenikliwość i ciężar mają również „rzeczy doznające". Następnie musimy zauważyć, że właśnie „ciała żywe" czyli „rzeczy doznające" [mówiąc „naukowo" bez cienia metafizyki — hehe — (jak mówiono za czasów Młodej Polski) z wyjątkiem metafizyki materjalistycznej] nie są doskonale bezwładne, t.zn. absolutnie w ruchach swych zdeterminowane ruchami i działaniami innych ciał w wymiarach makro oczywiście; jeśli założymy z góry, że nic niema prócz elektronów, to i w wymiarach makro stają się one pośrednio zdeterminowane, jako złożone ze zdeterminowanych (absolutnie czy absolutnie statystycznie)

czystaciek. Nie można cechy bezwładności w absolutnem znaczeniu, a tylko o takie znaczenie może chodzić tu Kotarbińskiemu bo nie rozumie tego pojęcia wcale — w tem jest właśnie dowód —
stosować na równi do rzeczy żywych
i martwych: bezwładność martwa jest
granicznym wypadkiem względnej
(określonej ciężarem w stosunku do
„siły żywej" organizmu) bezwładności
żywej. Nawet człowiek uśpiony
nie jest klocem — w wymiarach
makro, bez materyalistycznej meta-
fizyki, która z góry ten problem nega-
tywnie rozstrzyga — inaczej on się
zachowuje niż kamień, czy inna
martwa masa odpowiedniej wagi,
bo jego organizmu komórki żyją, i wszystko w nim
się rusza ruchami własnemi lub
ruchami rozwinięcia, które nie są w wymiarach makro właśnie
~~[illegible]~~ zdeterminowane — na tem pole-
ga ich „własność ruchów" (w znaczeniu
dowolności, „dowolu") - środek ciężkości
jego ulega ciągłym zmianom, które nie
są zależne od koniecznego rozmieszcze-
nia mas w zależności od czysto fizykal-
nych stosunków (temperatury, ciśnienia, ła-
dunków elektrycznych itp.) tylko od funkcji
organizmu jako takiego, jako indywi-
dualnej, podległej odrębnym prawom
nie absolutnie ścisłym, biologicznym.
Jeśli taki twór żywy leci z wieży, to nawet
w stanie zupełnego bezwładu cielesnego
(głębokiego omdlenia n.p.) nie będzie leciał
z wymienionych powodów tak bezwładnie
(absolutnie w granicy, w naszym rzędzie
wielkości według monadystów) jak przedmiot

martwy, nie mówiąc już o wypadku, w którym by się unosił, odpychając się nogami i rękami np: o powietrze, lub inne jakie medjum, bo próżni absolutnej „w istnieniu" nie możemy sobie pomyśleć, jako jakichś Kawałków Nicości Absolutnej i spadanie w próżni jest i wszelkie „zjawiska w próżni", są tylko wypadkami granicznemi, czyli fikcjami fizyki teoretycznej. To samo stosuje się do istot żywych, nie obdarzonych ruchem: roślin, ukwiałów, t.p. Tylko z bardzo grubem przybliżeniem możemy, zdając sobie sprawę z całej niedokładności, traktować je jako Kawałki materji martwej, w których [cała rzekoma] z bezwładnością: pewna bezwładność względna oczywiście jest, ale tu chodzi przecie (o ile mowa jest o fizyce) o wartości absolutne – najmniejsze odchylenie zmienia momentalnie cały gmach fizyki, w której ten musi być, mimo praktycznych niedokładności, stale uświadamiany ideał absolutnej matematycznej dokładności; nawet jeśli prawa jej są tylko statystyczne: U podstaw statystyki w danym wymiarze, w danym rzędzie wielkości, musi być założony porządek absolutny w rzędzie o jeden niższej, u źródeł porządku danego w wymiarze makro – exemplum: teoretyczna wyliczalność każdej cząstki w teorji kinetycznej gazów, ułomnościowa jedy–

21/III

K.T.6

nie niewyznaczalność jednoczesna szybkości i położenia indywidualnego elektronu, a tylko ich wielkich skupisk mas. Otóż czy mamy prawo powiedzieć, że rzecz to wszystek i tem zadowolnić się, jak tego chce Cornelius? Mnie się zdaje że nie: możemy powiedzieć, że rzecz to dla nas wszystek prawidłowy jakości, to prawo, które wyraża możliwe następstwo jakości w naszem trwaniu; ale poza tem czem jest dla nas, rzecz musi być czemś sama dla siebie, a ponieważ nic prócz żywych stworów samo dla siebie istnieć nie może, a rzeczy żywemi stworzeniami jak dla animistów dla nas nie są, więc muszą być zbiorowiskami (ION) – to jest skrócony argument monadystyczny i znany już też mniej w zupełnym idealizmie: są tylko tajemnicze przyporządkowania niemniej nie gorsze od przedustanowionej harmonji.

Realizm z tego czem są rzeczy poza naszą percepcją sprawy nie zdaje i nie może wyrazić ich przez wszystek jakości dla nas, bo nie uznaje jakości. Ale nawet czemś są rzeczy poza ich własnościami dla nas, a nie tylko poza naszą percepcją, realizm nie mówi: po prostu są rzeczy i jakoś istnieją, i chyba, że czystą rozciągłość uznamy za istotę ich bytu jak Decartes; ale rozciągłość jest pusta, niesamodzielna, w granicy widmo. Problem czemś są

22 III

K.78

rzeczy pozostaje w treści nie rozwiązany. 23 III
A cóż możemy powiedzieć o systemie,
który tego problemu nawet postawić
jako nierozwiązalnego się nie stara: że
nie jest systemem filozoficznym, tylko użytko-
wem rozwiązaniem, które są dobre w obrębie
nauk przyrodniczych, ale nie w filozofji.
Po „odrzuceniu" przez reistę cech, dyspozycji
i.t.p. umysłowych w czambuł, które nigdy
i nigdzie nie zostało uzasadnione co do swego
celu i konsytuacji, poza oznajmieniem, że rzecz
jest elementem pierwszym istnienia, nie
możemy też zrozumieć co się dzieje z
temi wszystkiemi odpowiednikami naszych
pozornych = w jaki sposób one znikają po
odrzuceniu, co je zastępuje, gdzie się po-
dziewają. Przedewszystkiem jest gruba różnica
między temi różnemi „istnościami" — tu
zgadzam się z Kotarbińskim, że nie należy
stoła przedmiot postponować, uważając za
przedmiot wszystko co jest podmiotem w
zdaniu, bo to prowadzi do strasznych niepo-
rozumień w kwestji tzw. „przeżyć intencjo-
nalnych", według mnie razem z „aktami",
istności zupełnie urojonych, które conajwyżej
w przyszłej psychologji jako skróty
funkcjonować mogą. Ale między czerwie-
nią pudełka, a odległością, a dalej
przeświadczeniem, czy dyspozycją umysłową
są przepaście, których nie zasypuje określe-
nie pogardliwe powiedzenie to ważny pozorne-

wogóle co to jest pojęcie pozoru w tem znacze-
niu i czemu te właśnie nazwy są pozorne,
Kiedy we wszystkich językach świata funkcy-
onują one jako nazwy rzeczywiste: każde coś
można nazwać; nie tylko twarde bryły i
miękkie flaki: rzeczy i stworzenia. Sądzę
że termin jest źle wybrany i zanadto jest
w nim zlekceważony problem jakiegoś
istnienia wyżej wspominanych istności:
czerwień jakoś jest na czerwonem pudełku;
długość [illegible] drogi z Zakopanego do Poro-
nina też jest — jest stała i muszę wydać ener-
gję aby ją pokonać; mam jako „rzecz doznająca"
fakt do a dalej dyspozycję: zamiłowanie do
matematyki i wstręt do logistyki — oczywiście
niem nie odpowiada temu żaden przedmiot,
t.zn. rzecz bezwładna i rozciągła, ale są
rzeczy czerwone, są przedmioty o tyle a tyle
odległe, są faceci robiący z przyjemnością
w matematyce i ze wstrętem w logistyce. Ale
co nam daje to postawienie kwestji. Poza
straszliwem w swej prostocie pytaniu zasadni-
czem „co jest z rzeczami gdy ich nie doznajemy"
pozostawionem bez odpowiedzi nie daje
nam to absolutnie nic, poza złudnem uspokojeniem
się w sztucznym monizmie (= stół i ja to
rzeczy — poza tem nie ma nic — tylko „jakoś"
„bodaj" (trzecie ulubione słowo Kotarbińskiego)
[illegible]!) (czerwień pudełka jako moment nie-

samodzielny całości wrażenia wzrokowego jest tak samo realna jako wrażenie doznawane jak i jego kształt kwadratowy = drugi moment niesamodzielny. To, że prawidłowe następstwo takich elementów, złączonych w niesamodzielną całość nazywamy (w życiowym poglądzie) rzeczą „materjalną", prawidłowe następstwo, którego elementów doznać jednocześnie nie mogę tylko konsekutywnie (nie byłoby inaczej następstwa!), nie dowodzi jej realności większej od jej poszczególnych aspektów, rzutów, abszattungów, „przedmiotów immanentnych" – jak kto chce. Nawet przeciwnie: przedmiot transcendentny (= rzecz), który tylko w wyjątkowych wymienionych przezemnie wypadkach (danie w jakościach dotykowych, małości rzeczy danej w stosunku do „rzeczy doznającej" do mnie n.p., zdolność objęcia rzeczy tej mojem ciałem, lub jego częścią) jest bezpośrednio dany – wypadek który przekreśla cały teorję „przedmiotu wogóle" (fizyki, filozofji) jako czegoś, co zawsze tylko w „abszattungach" Husserla dane pośrednio być może – zdaje się być, jeśli chodzi o jego spostrzeganie (a dotąd nie mówiliśmy i w teorjach (psychologistycznych tak jak fenomenologicznych o tem, jaki jest przedmiot sam w sobie, o tem się wogóle nie mówi, o tem mówić nie wolno!) czemś mniej realnem, właśnie w wymiarach spostrzeżeniowych, a nie w (wymiarach „rzeczy samej w sobie", niż przedmiot immanentny" = (rzut rzeczy trójwymiarowej aktualnie oglądany, lub „rzut" w marzeniu

K. 20 [illegible]

przenośnem „macany"), który jak byk oto w całej swej „unmittelbarer Selbstgegebenheit" tu przede mną (stoi) (w całej swej „krasie" (ohydne słowo) aktualnych jakości, ociekający (niezmiernie na) żywo oglądanemi właściwościami się prezentuje. Oczywiście z wyjątkiem wypadku kulki w ręku i temu podobnych*), bo tam nic z żadnych „abstraktów" tylko mam cały ów mityczny „transcendentny przedmiot" w łapie, a cała „intencjonalność" to wyobraźniowe (wzrokowe, a przez wzrok dotykowe) – macanie przedmiotu transcendentnego na odległość ze wszystkich stron. Tu nie mogę się nadtem rozwodzić, odsyłając do rozprawy o przedmiocie: (biurko – potem zbiorowe wydanie pośmiertne w r. 1954) nieuchwytny „pojęcie" (ohydne słowo) wprost,

Otóż dla mnie, monadysty, rzeczy to są dla mnie właśnie „prawa następstwa wrażeń", niektóre, we właściwych warunkach bezpośrednio dane, a w rzeczywistości (czyli jako rzeczy same w sobie są to) zbiorowiska (ISN) – (po bliższe objaśnienia odsyłam do mojej „popularnej monadologji" (część II niniejszej pracy) – ale czem są dla czystych niewiadomo. A więc jeśli w spostrzeżeniowych wymiarach (a w nich ciągle jeszcze jesteśmy o ile nie mówimy o „rzeczy samej w sobie") przedmiot immanentny**) jest bardziej rzeczywisty od transcendentnego (z wykluczeniem

*) Pomijam na razie tę kwestję przeoczoną zupełnie przez fenomenologów, że pierwszym przedmiotem danym bezpośrednio bez żadnej intencji (bo źródłem jest wszystkich pseudo-intencjonalnych przeżyć i aktów) jest przedewszystkiem moje ciało, dzięki któremu, jego pozaznaczonych ruchów wyrywam się dopiero wyobraźniowo-dotykowo w inne przedmioty.

**) Używam tej wygodnej terminologji przeciwnych mi kierunków myśli jako skróty w cudzysłowie.

na razie mojego ciała, jako pierwszego przedmiotu pseudotranscendentnego, bezpośrednio w specyficznych jakościach mi danego} – ta rzecz dla mnie pewna, wymagałaby bliższej analizy, dokonanej zresztą we wspomnianej rozprawie) bo jest konkretny, a do tamtego poprzez ten „odnosimy się dopiero w specjalnym akcie", czyli poprostu wżywamy się w niego wyobrażenia dotykowego (muskularnego) i wzrokowego. Cóż dopiero mówić o pojedynczych jakościach, które go składają, i to nie mówiąc już o dotykowych, których stosunkowo realności znamy prawie wszyscy z przeżyć erotycznych, ze wstrętnych bójek, wojny itp. i to realności ich jako takich, a nie jako własności dotykanego przedmiotu" – (na to mi ktoś odpowie: „tak i z własności rzeczy doznającej, mnie samego w postaci ciała" – zaraz przejdziemy do tego problemu) – ale realności samych barw jako takich na przykład, które jakoby artysta-malarz znam tak dobrze, a i „niektórzy" laikom jako oddzielne istności są znane. Owszem, zgadzam się że są one jak i własności dane dotykowo własnościami rzeczy (nie zawsze jak to postaram się udowodnić) ale prócz tego mogą (na podstawie analizy kompleksów popatrz, kotku, do Corneliusa, czyli wyszczególniania przez bezpośrednią abstrakcję danych momentów danego stanu rzeczy, który 27 III

13. II Mar.

zawsze jest kompleksem *), na mocy występowania pewnych treści jako takich na tle zmięszanem) być jako takie, w uniezależnieniu od noszącej jej rzeczy-widma, rzeczy-prawa, rzeczy-związku, oglądane. Przyjąć istnienie jedynie rzeczy: doznających i niedoznających (rozumiejąc pod temi atrybutami właściwości stojące na jednym poziomie jak np. twardość i czerwoność, jest to przyjąć ordynarny dualizm poglądu życiowego, bez usiłowania żadnego sprowadzenia go do jakiegoś wyższego poglądu (choćby bez skutku sprowadzający materjalizm, według mnie z skutkiem czyniący to monadyzm) pod pozorami czysto-werbalnego monizmu „naukowego" jakbym powiedział. Nie możemy wyrzucić jakości samoistnej poza nawias, tembardziej, że w kwestji tego złączenia właściwości „z rzeczą", z rzeczą wydają się zachodzić ciężkie nieporozumienia: mogą być rzeczy z (jakościami jako z) właściwościami i mogą być jakości „swobodne", wyzwolone od swej pozornej funkcji tworzenia właściwości rzeczy — mogą one być z pewnego, nieodpartego logicznie również jak i życiowo punktu widzenia tem, z czego dopiero rzecz się konstytuuje. Po co upierać się i deformować rzeczywistość w imię tego, że jakości muszą być koniecznie absolutnie właściwościami rzeczy, kiedy rzeczywistość temu przeczy dość gwałtownie, jeśli że

28 III

*) Omylił się bardzo Metallmann, który najwidoczniej nie znał Corneliusa i identyfikuje z biednym Machem, który zaledwie naszkicował psychologizm, tak wspaniale przez Corneliusa rozwinięty — niema oddzielnych jakości. Tylko zawsze kompleksy w tle zmięszanem, w którem jest cała pamięć.

bardziej stanowczo niż w kwestji bezpo- 29 III
średniości i niebezpośredniości dania
przedmiotu (realnego = rzeczy oczywiście, a
nie wogóle, bo takiego procederu wogóle, który
się ai na przedmioty idealne w „intencjonal-
nych aktach ideacji" – czy jak tam = rozciągał
wogóle niema) która też dogmatycznie
była rozstrzygnięta, mimo, że stan faktycz-
ny przeczy temu najwyraźniej, w czem
żadnej kapedji; jak wogóle w żadnym
rzeczywistym, a nie urojonym obrazie rzeczy
być nie może, chyba w stosunku do z góry
powziętej idei i wygranego z nią systemu
pojęć, który stan rzeczy rozwala i niszczy.
Można się wydobrać czasem przez transfor-
macje pojęć jednego systemu w drugi, przy
pomocy odpowiednich wzorów transfor-
macyjnych, co proponuje fenomenologom
w stosunku do Corneliusa – ale oni tego
słuchać nie mogą, bo co mogą
wiedzieć oni o jakimś zapoznanym
polaku, a do tego zadeptanym przez wszystkich
zakopiańczyku. Otóż nie wiemy ciągle
w jakiem znaczeniu „niema • oto" jakości;
bo nam tego zresztą nie mówi: „Jakości"
się podwały, oblepiające rzeczy, tulące się
do tych urojonych stworów, z nich samych
jedynie bez reszty zrobionych: rzecz wydaje
wysoce paradoksalna. I tu przychodzi
myśl straszna: czy właśnie nie jest odwrotnie:
czy to nie rzecz jest czasem hypostazą
a nie jakość? I jeśli już wogóle stosować
pojęcie hypostazu do dwóch realnych
istności, co mi się wydaje niestosownem –

(b) jakość jest tak samo rzeczywisty jako swój aspekt immanentny, jako kompleks jakości jak i sama jakość, zupełnie w tym samym stopniu, tylko jest ona prosta, a kompleks złożony, a jeśli weźmiemy kompleksy jakości w czasie nie będące absolutnie rzeczami (jak melodje, sonaty, symfonje i t.p.)*) to i „przedmiot transcendentny" jako następstwo prawidłowe w czasie nie będzie nic od jakości ani mniej ani więcej realny. Ale (rzeczy ściślejszej) biorąc ogólnikowo, czyli z racji bliżej życiowego poglądu i nie wprowadzając analogji między kompleksami (rzeczami i zjawiskami) w przestrzeni i w czasie (xx) jako mogącej się zdać „niejednemu" „bodajże" naciągniętą, możemy stwierdzić, że w wymiarach spostrzeżeniowych niema istotnej różnicy między jakościami, a ich kompleksami = rzeczami. Bo co innego będzie jeśli będę brał pod uwagę siebie: tam po redukcji na temat właściwości pozostanie zawsze pewne irréductible jądro mojej jedności osobowości, tak w danym przekroju w minimalnym czasie (t_0) jak i w dłuższem czy całkowitem trwaniu samem dla siebie, które to jądro jakkolwiek stanowiące z pewnego punktu widzenia niesamodzielny moment całego samu rzeczy, jako że bez jakości

**) A dla Whiteheada nawet „events" są istotne, a rzeczy są to tylko sztucznie unieruchomiałe przestrzennie, ale w czasie „ruchome" rodzaje, czyli „iwentów" = zdarzeń, zjawisk.

*) Dla ścisły to nie są realne zjawiska odpowiadające do pewnej odpowiedniej rzeczom, tylko jest to „cośle co": „jakości" są słyszy kupy drgających drobin powietrza. Ale to jest już wyraźne naciąganie.

je wypełniających (ani naodwrót one bez niego) wyobrażonem być nie może, to jednak nie znika ona w ten sposób jak rzecz pozbawiona jej jakości, z której to rzeczy dosłownie nic (prócz rzeczy samej w sobie) nie pozostaje: a rzecz sama w sobie w tem znaczeniu, jako odpowiednik naszego kompleksu jakości, to albo jakieś żywe stworzenie poza nami, albo ich zbiorowisku poza nami, w związku z organizacją (ISN), którą my jesteśmy, albo stosunki (ISN) nasze ciało stanowiących — to ostatnie w wypadku n. p. wzrokowej lub dotykowej halucynacji. Odkładając dalszą polemikę z twierdzeniem o jakościach na później (do krytyki „wykładu oxfordzkiego" tego najbardziej istotnego jakkolwiek nieskończenie niemal krótkiego wyznania wiary zeisty) ~~przejdźmy do innych~~ „nazw pozornych". (przestrzenna, j. n. p. dwóch punktów) Długość odległości jako długość drogi do przebycia, która je dzieli: czemu to odrzucać jako jakiś pozór (nie wiadomo co to jest pozór?) i nazwy tej istności nazywać pogardliwie „nazwy pozorny", zamiast uznać też, że rzeczy nieistniejące są dane we wzajemnych stosunkach przestrzennych, zanurzone w przestrzeni, która nie tylko je obleka jak woda, ale przenika aż do najdrobniejszych, aktualnie nieskończenie małych ich cząsteczek — stanowi zupełną jedność z rzeczami w swych wycinkach, jest formą Istnienia nie Nicości, stanowiącą jedność z Czasem w przeżywaniu bezpośrednim każdego (ISN), jako jedność jego trwania z jego rozciągłością. Raczej nie rzeczy są stanem dane tylko

32 II

przebieg naszego trwania, w którem kompleksy pewnych jakości konsolidują się w rzeczy, na tle zasadniczego pierwotnego istnienia nas samych jako ciała. Też mamy złożony stan rzeczy, w którym wyeliminowujemy pewne momenty niesamodzielne, a jednak wyróżniające się na tle całego splotu zdarzeń, i nazywamy; niechże się sobie nazywa nazwą pozorną: możnaby cały konflikt traktować czysto terminologicznie, gdyby inne nazwy (nazwanie „nazwami pozornemi") nie pociągało konsekwencyj ontologicznych, jak np. odmówienie jakościom wszelakiej realności („nie ma cech"). Dlaczego Kotarbiński nie chce zatrzymać się na pansomatyzmie i nie może zdobyć się na traktowanie nazw tych jako bezprzedmiotowych (w znaczeniu tem, że nie odpowiadają one namacalnym rzeczom, też inne znaczenie bezprzedmiotowości niż zwykłe.), a jednak realnych jest tajemnicą. Przecież stan rzeczy składa się i z rzeczy, i (z rzeczywistych a nie urojonych) stosunków między niemi: mniejszości i większości, zawierania i bycia zawieranemi, położenia w przestrzeni i odległości — czemuż to wszystko uważać za nic, zamiast opisać to w terminach, które się po prostu same narzucają i w jakim celu się tego wyrzekać? Dla wyższej wartości monizmu, a raczej dla możności nazywania innych stworzeń rzeczami. Przecież długość drogi do przebycia jest czemś, dzięki z punktu widzenia wysiłku, który trzeba zrobić aby ją przebyć: dla zmęczonego (i ambitnego) turysty odległość od szczytu, który ma zdobyć jest czemś tak realnem, jak szklanka zimnej wody dla sprag-

niowego w pustyni. To samo stosuje się do
nazw ogólnych takich jak cnota, zbrodnia, miłość,
wstyd i t.p. Są to nazwy, którym odpowiadają
realne uczucia i zdolności w społeczeństwie
i indywiduach. Czemu mamy się im wyrzekać
stwarzając tak sztuczne rzeczy jak „wstrętna
żaba", do której nie mam prawa mieć wstydu
jako takiego pod żadnym pozorem, mimo
tego, że wyraźnie oddzielam wstręt mój do żaby i
mój wstyd do niej – to jest introspekcyjnie
bezpośrednio dane. A co mówić o wstydach
nieokreślonych, bezprzedmiotowych? Wtedy
szkoła będzie starać mi się wmówić, że ja sam
jestem sobie wstrętny, a jeśli nie potrafi mi
wmówić, że w smutnym moim nastroju odmiennie
wyglądają otaczające mi rzeczy, to uzna ostatecz-
nie smutek za właściwość rzeczy doznającej
t.j. mnie. Jak nie tak, to tak, i to z całkiem
innej strony i innym sposobem: to jest me-
toda reistyczna. To samo stosuje się do
potrójnych źródeł reizmu: jak nie pogląd
życiowy, to język idzie na ratunek: jak nie
język to gramatyka. Nie ma koncepcja ta
jednolitego podłoża, nie jest oparta o naprawdę jednolity, konieczny
punkt widzenia pierwotny, tylko o
werbalne założenie, do którego stara
się wszystko dociągnąć, ratując się środkami
różnorodnemi, z różnych sfer pochodzącemi:
„Wszak reizm [do którego się zresztą (podkr. p.K.)
przyznajemy] nie wydaje się nam bynajmniej
jakąś znaczeniową odmianą materiali-
zmu" – co znaczy „zresztą", „znaczeniowa odmiana"
i „materializm" w cudzysłowie. Wszystko to

Są sposoby odebrania wagi temu, co się mówi, a jednocześnie aby to mimo wszystko było „jakoś" „bodaj" podtrzymane. To jest ta właściwość, która człowieka o zdeklarowanych poglądach doprowadzać musi do wściekłości i prowokuje do agresywności. Dlaczego do wypowiedzi, w których figurują nazwy pozorne nie można przykładać strukturalnych „kryterjów prawdziwości (co to jest?) i przyjmowanych dla zdań, operujących właściwemi nazwami"? Czemu zdanie „stół stoi na podłodze" ma mieć inne kryterja prawdziwości niż „zachód słońca nie rozpoczyna się o piątej" — gdzie i „zachód" i „rozpoczynanie się" i „piąta" są wszystkie 3 nierzecznemi nazwami pozornemi.

2

Realizm radykalny (odczyt w Oxfordzie 1930 r.)

W odczycie tym Kotarbiński znowu zaznacza, że nie istnieją „treści" i nie podaje zupełnie w jakiem znaczeniu to mówi, bo przecież nie unicestwi „czerwoności róży" (czy róża jest „rzeczą" rozciągłą i bezwładną — rozciągłą to tak może, już uprzemy jak mrówkojady, ale bezwładną, jeśli się nie jest, chyba, że ktoś powie, że nie zniknie, nie pojawi się bez przyczyny — siła jako przyczyna?), temu A, bólu brzucha (który po to brzucha, jako rzeczy bez tego bólu nie odczuwamy — to znamy jego wnętrza, a nawet i bóli różne mniej wyraźne czucia wewnętrzne nie odczuwamy jako własności określonej rzeczy, tylko nieokreślonego wnętrza ciała, danego nam właśnie tylko w postaci tych niedokładnie zlokalizowanych czuć; nie możemy wiązać tych odczuć z daniem

powierzchni ciała, jako powierzchni rzeczy, bo to jest coś zupełnie innego. Co innego mówić że ciosami wytrzymałości dają znać o sobie jako rzeczy, wyraźnym dotykiem wewnętrznym, jako powierzchnia. Ale prócz tych jakości wyznaczających rzeczy są napewno jakości wolne — o tem później. Co innego, że to nieokreślone poczucie wewnętrzne jest podstawą naszego samopoczucia, jedności naszej osobowości; można by więc na upartego powiedzieć, że to własność „rzeczy dominującej" = nas samych. Ale tu właśnie kwestjonuję istotność takiego powiedzenia i staram się dowieść jego werbalności w kwestji ujednolicenia, ujednostajnienia elementów rzeczywistości ostatecznych) zapachu kota i t. p. Można conajwyżej powiedzieć, że jakości wyznaczające faktycznie rzeczy w normalnem znaczeniu (bo nawet dotyki zewnętrzne = powierzchni ciała) nie może faktycznie od rzeczy oddzielić i to nie we wszystkich wypadkach, jak to postaram się wykazać. Nietylko nie istnieją treści, ale i „całości" z nich utworzone" (czyli rzeczy poprostu) — tu już wszelkie możliwości porozumienia są wykluczone — realizm jest radykalny naprawdę i bezładów. Ale póki Kotarbiński nie powie co zostało z rzeczy po odebraniu jej własności nie możemy przyznać za nic innego jak za radykalny realizm werbalny. Zastanawianie się tem że z chwilą postawienia takiego kwestji, t. j. z chwili odebrania jakościom jakiegokolwiek, nawet fenomalnego bytu i uznania ich za hypostazy, a nazwy im odpowiadające

za marny pozorne, nie wolno już mówić oddzielnie o jakościach jako takich (bo nie można mówić o tem czego nie ma) jest psychologicznym trickiem, który do wszystkiego można zastosować. N.p. stwierdzić że przestrzeń (w której żyjemy) rzeczy i osobowości są złudami, hypostazami, oznaczonemi nazwami pozornemi, bo rzeczywistemi są tylko n.p. elektrony i o nich tylko wolno mówić, jako o czemś objektywnie, eksperymentalnie stwierdzonem i matematycznie choćby statystycznie en gros wyliczalnem a rzeczywistą jest tylko przestrzeń Diraca. Logicznie nic temu zarzucić nie można i materjaliści fizykalni, jeśliby tylko o logikę chodziło, mieliby takąż samą rację jak reiści, psychologiści, solipsyści i idealiści. Musimy patrzeć co dana teorja nam daje i na ile nie przeczy oczywistościom poglądu życiowego.

To że jakości i wszystkie wymienione poprzednio istności w jakiś sposób istnieją jest pewnikiem absolutnym. Lepiej przyjąć że pojęcie Istnienia jest wieloznaczne, a następnie założyć zgodnie z normalną rzeczywistością istnienie stanów rzeczy złożonych i ich momentów niesamodzielnych, niż walić razem po łbach całe masy istności w imię z góry powziętej i nawet pragmatycznie nie udowodnionej zasady. Mnie się zdaje, że wyjście to z sytuacji było zawsze i

tylko widziane dla wielu myślicieli jako
możliwość; a że nikt z niego nie sko-
rzystał, nawet materjaliści fizykalni,
dla których byłoby ono szczególniej wygodne,
to dowodzi, że właśnie jako zbyt werbalne
i gołosłowne, a implikujące ciężkie
nierozwiązalne problemy jako kon-
sekwencje (istnienie rzeczy kiedy np.
my ich nie widzimy) nikogo niezaśle-
pionego specjalnie by nie zadowoliło.
(czemu proste zdanie o nieistnieniu plamy
formułować tak nudnie: „nieprawdą
jest, iżby dla pewnego x, x było plamą" —
pocoto?) Nawiasem wspomnę, że Złudzeniem logistyków jest też, myślą
~~[illegible]~~ że gdy wszystko opatrzą
znaczkami i opiszą świat, takim, jakim
im się w poglądzie życiowym bez żadnej
problematyki wydaje, to wszystkie proble-
my znikną same przez się, wessane
przez bagno znaczków i operacji logicz-
nych; oczywiście logicyzują oni zgóry od-
problemiony pogląd życiowy i nie mo-
gąc wyjść poza niego przez sam pro-
ces znaczkowania, bez postawienia
otwartego, zawartych w nim problemów
ontologicznych i potem im się zdaje,
po skończonej operacji, t. j. po przedsta-
wieniu jedynie trochę ściślejszem uj-
ęciu życiowego poglądu, że wogóle
problemów nie ma i że wszystko jest
załatwione. To wynikło, co włożyli w ich
maszynę — wynikło tylko w innej formie-

38 III

Forma bezsprzecznie jest inna, jak forma kawałka mięsa przepuszczonego przez maszynkę do mięsa, z której wychodzi ono w formie małych kiełbasek. Ale jeśli chodzi o transformację [jakościową] mięsa, to on ani drgnął nawet: pieczeni się z niego nie zrobiła. Na to trzeba je omaścić i upiec: to jest proces zaproblemowienia i podania rozwiązania: to jest właśnie filozofja. Widać to dokładnie na systemie Carnapa, który nic absolutnie nowego nie wniósł. Zastosowanie Chwistka są zupełnie komedjowe, a siły wytworzonych (implicite) Russella i Whiteheada również do prezultatów mimo pozornych różnic — o tem szczegółowo na innem miejscu. Wracając do kwestji poprzedniej: „nieprawdy itd. żeby x było plamą" — zanalizujmy szereg istności danych nam w jakościach, które wyznaczają w większości wypadków rzeczy, t.j. są połączone w większe prawidłowe i jeśli same nie są takiemi, to w każdym razie dają się związać z następstwami jakości dotykowych, a więc n.p. będą to czucia barwne. Mamy najpierw kolor muru szary; widzimy jednolicie lub mało co różniący się wszystkim szary mur. Pomijając psychologistyczną teorję, która ma prawo oprzeć się o istnienie

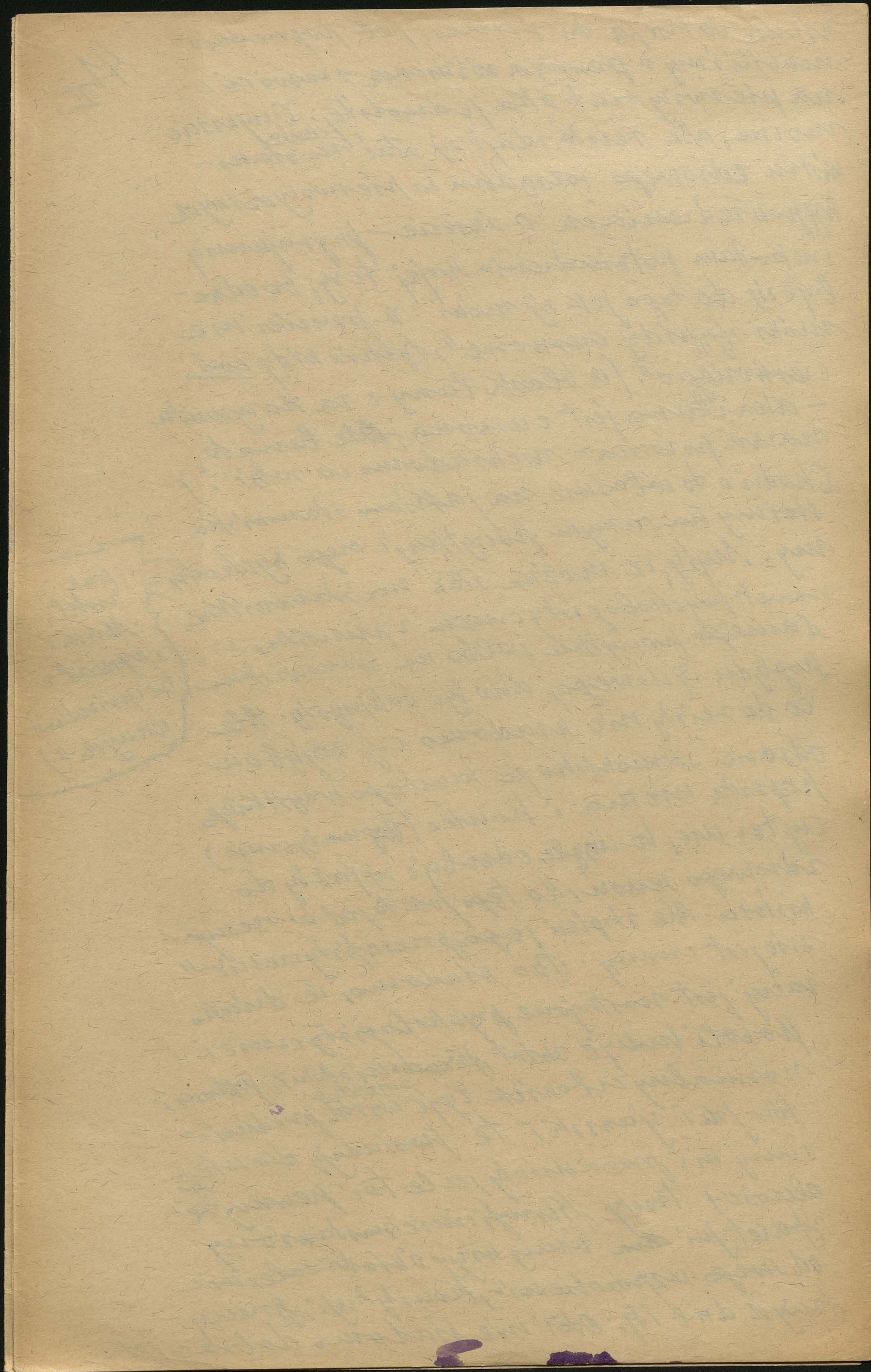
jakości „wolnych" i wszystko z nich złożyć
(bo co z niemi począć w realizmie jeśli one
jakyś mieszą) możemy, według naszego
mniej radykalnego poglądu, według
którego i w pewnych wypadkach jakości mogą być wolne, a przedmioty
bezpośrednio dane, że widzimy szary
przedmiot, na podstawie wcielenia się
w niego naszem ciałem przy pomocy wyobraźni dotykowej
(„Chapczywości" naszego ciała, przez to określiłem w wybranej rozprawie o przedmiocie)
niemal jako przedmiot, rzecz odrazu
daną, w związku z poprzedniemi do-
świadczeniami, oczekiwaniami, wszy-
stkiemi możliwemi asocjacjami.
Percepcja istotna przedmiotu jest mało
co różna od tej, która zachodzi w po-
glądzie życiowym, gdy nie myślimy
filozoficznie, tylko przeżywamy rzeczy-
wistość bezpośrednio; właściwie różni
się tylko uświadomieniem sobie różnych
momentów samo- i nie-samodzielnych
całości zjawiska, zanalizowaniem
kompleksu danych, który zresztą trwa
dalej taksamo prawie, jak akord słyszany
bez analizy i słyszany znów rzeczywiście
po zanalizowaniu go bezpośredniem
— przez wytamowanie składających go tonów
podczas (samego) słuchania. Widzę więc szary
mur, a nie szary prostokąt w polu
widzenia, który sądzę że jest murem
na podstawie poprzednich doświadczeń.
Nie potrzebuję do tego wypełnie również specjalnego
„intencjonalnego aktu" w którym by
się zwracał ku „transcendentnemu
murowi", na podstawie „mnim ima—

neutnego – to wszystko daje się sprowadzić do wyobraźni dotykowej i zaznaczonych wzrokowych) na tle realnej jedności (nie zawieszonych gdzieś w jakiejś abstrakcyjnej czystej świadomości jako) mojej osobowości, mego „ja", jedności która istnieje zarówno w danym przekroju mego trwania, jak i w jego całości od urodzin do śmierci. Tu rzeczywiście nie widzę szarości, jakkolwiek w każdej chwili mogę ją (jak nutę daną w akordzie na tle innych tonów) wydzielić jako dotkę z całości wrażenia: wtedy forma muru, jego chropowatości; wspaniały zapach świeżej murarskiej roboty, zimno które od niego wionie, wszystko co mogę na podstawie przednich doświadczeń o murze pomyśleć (dzie „wou"), a w mojem trwaniu jako dotka jest szarość, oczywiście na tle zmieszanem (unbemerkter Unterschied Corneliusa) tamtych wszystkich momentów całości zjawiska, z których jedne, jak n.p. forma muru, bliżej są związane, złączone nawet jako momenty niesamodzielne, z szarością, inne dalej, jako samodzielne momenty całości zjawiska: percepcji muru. „Aliści" na murze pojawiła się czerwona plama. Otóż bezpośrednio, przy pomocy „Komonsensu" czyli po polsku zdrowego rozsądku charakteryzujemy to zjawisko jako plamę (barwną) na murze, a nie znowu chwilowe zabarwienie tej części muru. Oczywiście, że można tak powiedzieć, że mur ma tu zabar-

wienie takie, a tu inne, jak poprzednio
mówiliśmy o pewnych różnicach szarości,
na pierwszy rzut oka jednolitej. Oczywiście
można, ale zawsze zdaje się stać (chyba) na stano-
wisku zdrowego rozsądku w pierwszych
wypowiedzeniach o świecie — przynajmniej
szukam potwierdzenia swojej tezy, bo odwo-
łuję się do tego jak się mówi: » przecież nie
mówi się: „widzę czerwone", tylko „widzę coś
czerwonego". (A blask łuny z za horyzontu
— aha: łuna jest czerwona; ale łuna to
nazwa pożaru — niewiadomo co robić?)
Chodzi o to właśnie na jakiem stanowisku
stoimy na samym początku, z czego wychodzi-
my. Myślę, że można stać na stanowisku
nawet psychologistycznem z punktu, z
samego początku, albo na stanowisku
poglądu życiowego, albo być solipsystą. Ale
co do zasady nie wiadomo czy zajęłam
odrazu stanowisko, że tamtego wszystkiego
poprzedniego nie ma i koniec (dogmatycznie)
czy też nie, bo ciągle odwołuję się jakby do
zdrowego sensu, do tego jak to jest w rzeczy-
wistości. Ale stopień jego „przesofistycznienia"
nie jest znany. Bo wiadomo, że dziecko
raczej jest nastawione psychologistycznie i
powoli buduje świat przedmiotów z jakości;
normalny człowiek żyje zarówno wśród przedmio-
tów jak i zjawisk, te posiadają dla niego
inny mi przedmioty, ale też pewną re-
alność; i trochę filozoficznie nastawiony
facet już ma inny obraz świata zależnie
od swego usposobienia, konstytucji, przeczy-
tanych dzieł itp. Otóż nie wiadomo dobrze jak

(tak zrobił Mach i wyszedł z „bezpośrednio danych")

nr 33



mamy się ustosunkować do rzeczy, ten-
dencji że ~~[illegible]~~ w pewnym stopniu
swych twierdzeń musi się uciekać do fizyki-
ale z czego się do niej ucieka dobrze nie
wiemy. Będziemy się więc my przynajmniej
trzymać na razie zdrowego sensu i zoba-
czymy co z tego wyjdzie. Otóż dla zdrowego
rozsądku „plama na murze" jest „plamą
na murze", a nie jego miejscowem
zabarwieniem, jest czystą jakością wolną -
dlatego się tak nazywa: nie jest „zabarwio-
niem jego części, bo po pierwsze takiej od-
dzielnej części jego jako rzeczy niema,
jest kawałek powierzchni, a to w żadnym
razie rzeczy nie jest, chyba, że zrobimy
lekkie rozciągnięcie i za rzecz tę uzna-
my wycinek przestrzenny muru pod
tą plamą się znajdujący - ale to byłoby
wyraźne naciągnięcie / jak że dowód, środkiem
przedmiotu* transcendentalnego
nie danego w wizji przedmiotu ' między
neutnego. Plama jest plamą pewnego ima-
kształtu, bo jakości czyste absolutnie jednoiste ściśle biorąc nie
istnieją oddzielnie, tylko zawsze związane
ze swoimi jakościami formalnemi:
Kolor musi mieć jakiś kształt, musi
wypełniać pewną część pola widzenia,
tudzież musi trwać określony czas, aby w
naszem trwaniu „zaistnieć" (jednoczesne
wrażenia, bo niema koloru, bez zróżnicowa-
nia dla nas - trwać musi ten czas to, co go
wyrabia) - podobnie każda jakość [illegible]

trwaniowa ma swój element przestrzenności, swoją mniej lub więcej określoną lokalizację – inaczej nie mogłaby być skojarzona, co do miejsca z innemi jakościami bardziej przestrzennemi (dźwięk dzwonu z dzwonem, smród zdechłego kota z jego wstrętnym wrakiem, bo o dotykaniu padła, nawet [illegible], mówić nie będziemy). Tak więc będzie to jakość „wolna" złożona, a ponieważ jakości „same nigdy nie występują tylko w kompleksach, na tle „tła zmięszanego niezauważonego jako takiego" (taki jest pełny tytuł tej istności wspaniałej wynalazku Corneliusa) więc i ta plama z będzie wycinkiem całego pola widzenia, które tylko w jej najbliższej bliskości będzie wyraźne, a dalej będzie tłem jej w dostatecznem ma-cieniu, barwnem, przestrzennem, jak i tłem dalszem będzie jednoczesna audycja radjowa z sąsiedniego okna i huk samochodów, a jeszcze dalszem cała przeszłość (niepowtarzalnie jedyny, nigdzie już) danego osobnika, który tak będzie te plamy widział, jak nikt inny przez wieczność całą w nieskończonem Istnieniu. Reista zarzuca, że odwoł się on do „obserwatora naturalnego, czyli nie dorastającego wątpliwości antykrytycznych, wskutek refleksji nad warunkami spostrzegania" – świetna definicja t.zw. popularnie „zdrowego rozsądku"=

Nazwiemy więc „początkującego" zeistę (zwracam uwagę na ważność tego terminu, co się okaże później w związku z trzema źródłami zeizmu) uważać za równoważnego z przedstawicielem „Komonsensu". Otóż on powiada, że nie widzi nigdy „(jako takiego) czerwonego", tylko „coś czerwonego" – dobre, w wypadku „pudełka" zgoda – ja nie jestem fanatykiem żadnej idei monistycznej, mam w tej kwestji tę beztroskę, jaką mają empirystki à la James, Chwistek, Russell i t.p. w kwestjach wogóle filozoficznych: ja przyjmuję że tak jak mogą być bezpośrednio i niebezpośrednio dane przedmioty (rzeczy) i nie robię tragedji z przepaści między przedmiotami: „immanentnym" i „transcendentnym", tak samo mogą być i jakości wyznaczające rzeczy bezpośrednio i pośrednio, {t.zn. jako przedmioty fizykalne (n.p. elektrony) a nie rzeczy poglądu życiowego – te ostatnie jakości nazywam „pełnemi". A więc dobre: widzę pudełko „czerwone" a pod żadnym pozorem nie czerwień pudełka o barwy czerwonego pudełko oznaczam kompleks jakości o prawidłowym (przestrzennym) wyglądzie – nie istnieje taka rzecz dla zeisty, ale na razie mniejsza z tem: Ale w wypadku plamy widzę plamę, jako taką, i to ma znaczenie nazwa „plama", że właśnie nie widzę rzeczy tylko plamy; a wypisz, czy dlatego zeista zechce traktować plamy, kleks, zabrudzenie kawałka muru, ślad atramentowego, brud zakakanych gracji jako rzeczy pozorne – on raczej gotów potraktować te istności jako rzeczy, i nawet tak je traktuje faktycznie. Ale jak? Odpowie: [illegible]

44 III

i choćby to jest codzienny proceder t.zw. zwracania uwagi na własności rzeczy poprzedzający analizę bezpośrednio danych kompleksów Cornelius.

rzeczy: mogę sobie odpowie, bo dotąd nie
odpowiedział: wobec niezrozumienia aktu- 45 II
alnego realizmu przeciwnik sam musi
tę koncepcję „rozbudowywać". A więc jeśli
wyłupię z muru odpowiedni kawałek,
będę miał czerwony kawałek gruzu,
jeśli wytnę kleks z płótna, żyda z papieru,
brudny kawał gaci to będę miał kawałek
płótna koloru kleksu, czy brudu gaciowego,
lub kawałek fioletowego papieru. Tak
mogę iść dalej i dzieląc przedmioty zawsze
„robić" [ale muszę tego materjalnie czysto
(jak przy murze) pracy dokonać] z jakości
siły żywej, własności danej rzeczy. Ale
tu nie mówimy o tem: wyobraźmy sobie że
tego robić nie wolno, ani nawet jako
eksperyment myślowy, a nie tylko przez
czyniąc eksperymenty w kierunku fabrykacji (nowych rzeczy)
wyrzynanie tych rzeczy. Bo gdybyśmy
zaczęli? – oto wstęp do fizykalnego po-
glądu. Bo dzielić tak w wymiarach wi-
dzialności i macalności nie moglibyśmy ni-
bez końca, a wiadomo, że materja dzieląc
rozpada się najprzód na kawałki, potem
na drobiny, na atomy (to już jest gorzej) mas. 35
a potem elektrony, których nie możemy
sobie już wyobrazić; tylko możemy
za nie formuły Diraca, de Broglie'a, Schrö-
dingera czy innego djabła, i co wtedy.
Z Komonsensem", ze spokojem człowieka,
który widzi, ogląda, maca, wącha i spokojnie
to opisuje. Koniec. Komonsens jeży się

od najpotworniejszych problemów. Nie pomoże rada Chwistka (tego demonicznego poczciwca w gościnnym stołem) aby sobie patrzeć spokojnie na Wieżę Mariacką (najlepiej) i potocznym językiem opisywać to co się widzi; tworząc „indywidualny system" bez pretensji do prawdy (w filozofji to coś poza kategorjami prawdy i fałszu), równiutki nawet dla dowolnego w stopniu szelopiątego w umysłowem ubóstwie polskiego literatnika: Kto nie widzi problemów takich [?] w poglądzie życiowym, jest „ideenblind" jak mówi Husserl i niegodny miana, zbezczeszczonego zresztą przez durniów, filozofa. Doszliśmy do fizyki, która operuje takiemi samemi przedmiotami jak pogląd życiowy, tylko mającemi [?] bardzo i jednorodnemi – z nich to mają się składać nasze codzienne rzeczy, płyny, gazy, a nawet promienie różnych gatunków – aż do jakichś bądź co bądź zasadniczości [?] w środku czy to elektrony czy pola, czy fotony czy fale względnie niego [?]. Od tego schematu fizyka się nie uwolni, o ile jakkolwiek jej równania mają być rzeczywistościowo interpretowane. Albo też wypełniony [?] idealizm psychologiczny jako jedyna ucieczka przed twierdzeniem, że rzeczywistość składa się z urojonych elementów, które tak cienny [?] (nieświadomie nawet) ontologicznych idealików. A więc jesteśmy u drugiego źródła zeizmu [?], ale o tem potem. Jest komasowany [?]

facet, jako ten co patrzy na świat i jak
cała ludzkość dochodzi do fizyki: ontoge- 47 III
w fizyderejn
neza i filogeneza w swoim rodzaju. Ale jeszcze
jest [illegible] prócz tego „Kommonsensman" (Zdroworozsądkowiec,
życiowopoglądowiec, bydłostańczyk, prostopatrzca,)
widzi, patrzy na świat bez przesądów *), to
co „on że" mówi: on mówi że nie są ma da-
ne barwy, kształty, uciski (a co z zapachami,
smrodami, dzwiękami, czuciami nieokreślo-
nemi wewnętrznemi i t.p.? – o tem później – tam
się
zeizm musi zdrowo naciągać aby wytrzymać
napór „swobodnych" jakości) tylko coś
barwnego, kształtnego, uciskającego it.p. Wypo-
wiedzi te mają być wypowiedziami nie ze-
psutego faceta określonego poprzedniego ale nie wiem
Ostatecznie wziąć, w sposób zupełnie bez- czy nie przeka-
przesądowy mówiąc, plama jest właśnie ją się tutaj
plamą, t.zn. plamą barwną, czy stanie- formy mowy,
my wprost niem, czy ukosem do niej, podobnie jak
nic to nie zmieni jej istoty jako pla- Russell tylko
my [illegible] chyba że podamy inną definicję naodwrót: uro-
plamy na podstawie wyżej wymienio- wy ten twierdził
odpowiedniej
nych możliwości przeróbki materjal- zniów że nie ma
nej" przedmiotu ukrywanego. żadnego „ja",
Inaczej, jeśli to nie będzie dozwolonem, tylko są nie-
to Kommonsensman odpowie nam, odpowiadające
że "widzi czerwoną plamę, a gdy go- istotnej rzeczy-
poprosimy o definicję jej, to [illegible] powie wistości formy
może jest to farba rozmazana na językowe.
murze, wyrażając nieściśle to co chciał

*) Świetny skrót życiowego poglądu na który jako w klasycznej
opis jego można zawsze się powołać, daje Ingarden w swojej
krytyce „fizjologicznej

powiedzieć: dla niego to jest właśnie
czysta czerwoność; ale ponieważ nie — 48 III
(i tu dotykamy ważnego dla realisty, a nie
dość uwypuklonego problemu stosunku wiedzy
"wiedzy przez znajomość" (knowledge by — wiedzy "wprost"
aquintance B. Russella) i wiedzy przez
poznanie (za pomocą ~~[illegible]~~ zawiłych opisów
i przy pomocy pojęć) że plama sobie się rozmazującą
farbą pendzlem, więc nie mówi o tem
co widzi, tylko jak to co widzi jest zrobio-
nem, a to zupełnie co innego. Ale zwykle
z dalszą ewolucją realisty, oba te źródła
wiedzy są dozwolone na równi, jako pod-
stawa realistycznego poglądu i tu jest pierwszy
niedozwolony chwyt realizmu, który zanadto silnie
opierał się na pewnych wypadkach
zdrowego rozsądku, a potem gdy mu
tenże we wszystkich wypadkach pomocy nie
okazał, za szybko zmienił korta, czy
wykręcił woltę, przy pochlebiającej mu hypotezie
wiedzy fizycznej. Niby to ona z tego
Komonsensu się genealogicznie wyprowadza
ale to co innego: to, że jego przodek, o którym explicite coś jest wiadomo w historji,
pasał bydło w Mieście I nie ubliża
niejednemu ważnemu, ale gdyby się
tak z nim teraz na łące spotkał
toby może się doń nie przyznał.
A więc na zarzut, że Komonsensowi
plama przedstawia się jako plama w prze-
ciwieństwie do rzeczy, realista odpowiada, iż
plama "tylko, co" warstwa czerwonej farby
o pewnej grubości (to jest ważne — ta grubość
nieskończenie cienkich istności przestrzelanych

49 III

nie ma — gdyby była do zbadania może to właśnie
owa niedościgła cząstka jakości wzrokowej) czyli
rzecz tak dobra jak każda inna, a to że zczepiona
materialnie nierozdzielnie z inną rzeczą
„prawdziwą" murem to nic jej nie ubliża —
Kolczyk w uchu to także rzecz niezależna od
samego ucha przyczepionego do ciała i od samego
ciała. Tak jest z pewnością; chodzi tylko o to, że
tu już nie mamy samego patrzenia na świat
nie skażonego przez żadne analizy i nauko-
we wiadomości, tylko właśnie wiedzę o tem
czem jest plama, poza naszą bezpośrednią
jej obserwacją, a założenie tylko, że bierzemy
na przykładowego zeisty Boga duchownego
człeczynę, dla którego życiowy pogląd do świętości;
To przecie ten sam facet, co mówił, że widzi
zawsze coś "czerwonego", a nie samą czerwień
(odróżnić od czerwoności) i ten jego sposób mó-
wienia miał być dla nas nienaruszalną świętością.
To jest przejście delikatne (nawet nie bardzo
delikatne — to ono jest, wie się, daleko się wydaje)
do wiedzy przewyższającej przedtem daną wiedzę
poglądu życiowego o wiele całe, do fizyki.
Do skonstatowania tego że plama to
warstwa o pewnej grubości; wystarcza chwila
zastanowienia (zwłaszcza u malarza, nawet
pokojowego) i dobra lupa jako instrument
pomocniczy. W (zaś) akwareli (lub tuszu) jest już nieco
trudniej: tam nie mamy już warstwy
farby tylko drobną zawiesinę koloru w
płynie (roztwór, czysto kolorowy), a ten płyn jednorodny: tu przejście
do fizyki jest wyraźniejsze: musimy
tu nie brać jednej rzeczy, tylko traktować
kolektywnie wielką masę cząsteczek farby,
które zostają po wyschnięciu wczepione

[margin:] powierzchownie sądząc

[margin:] „naukowców poznania" i tym podobne wiadomości

[margin:] zwłaszcza jeśli chodzi o malarstwo olejne.

[margin:] (w tej chwili nie wiemy są takie płyny nawet)

Maja

28 oktobra

w papier, czy mur, czy brudne gacie – wszystko jedno. To już nie to, ale ostatecznie kupa małych rzeczy: szczątecek – różnica tylko ilościowa: tam duże, tu małe – można wytrzymać. Ale to już pełna „mądra" – nic w niej nie ma już naiwnego poczucia, którego zostawiliśmy daleko w tyle za sobą. Nie jest to jeszcze mądra dzisiejszej fizyki, ale jesteśmy jej niedaleko, bo oto pojawiło się w letni dzień „wiśniechów przez łzy", tęcza ponad lasami, przesłaniając dalekie góry, i zadzierając łuk swój podwójny wysoko ponad spiętrzone kumulusy – „Dyć to panie przecie czysta barwa – raczej ostyga barw zamieszana w powietrzu" – dostatecznie wolne jakości przeskoczenie do tego ułożone. – „Gdzie tam" – powie nasz ździsio, który z naiwnego poczciwca stał się nagle wcale uważnie (stosunkowo) obkutym fizykiem – „To wcale nie barwy czyste, tylko rzeczy (wiszące sobie jakoś" w przestrzeni) w pewien sposób się zachowujące, a mianowicie łamiące światło w pewien specyficzny sposób: to kuleczki drobne pary wodnej, które z bliska nawet gołem okiem byś widział, jak to jest n.p. z parą (wychodzącą z) od imbryka". Dobrze – ale w chwili patrzenia na tęczę „ouże" ździsio nie widzi kulek pary jako takich tylko (właśnie same, wiszące sobie jakoś bezprzedmiotowo w powietrzu) barwy. Może powie on, że tęczę widzi barwną, a teraz do rzeczy, to coś, co nie nazwa pozorna, bezprzedmiotowa jej jak była stoi przed nami. Ale by nawracamy do form jej wykonanych poczciwca, że widzi coś = tęczę,

który mówi

jak to sam rzecznik, i formuły (gramatyczna, składniowa) w której jest ~~...~~ nigdy wskazuje: nigdy nie kolory, ale kolorowe rzeczy. Ale tu wracamy się z wyżyny (pewnej) fizyki znowu do potoczności i apelujemy do jego językowych przyzwyczajeń. A przecież tem samem język jest nam tu kryterjum, ten język, który obwinialiśmy za dostarczanie nam życiowych skrótów na nieistniejące przecież według reisty „przebiegi jako takie" (są tylko zmieniające się rzeczy za zjawisko do wy- postaci) – jak język do język – to i nazwy pozorne trzeba było przyjąć za rzeczywiste, bo rzeczywiste zjawiska „naocznie przedstawiające", według terminologji Twardowskiego. Od bezpośrednich wrażeń do języka, od języka do fizyki i naodwrót, szuka w kółko reista na wszystkie boki potwierdzenia swej [illegible]-nej tezy, w którą wierzyć uwziął się poprostu gwałtem – szuka napróżno, bo rzeczy nigdy stan rzeczy pełen rzeczywistych, a niesamodzielnych momentów, przeczy tego spokojnie teorji samem swem istnieniem i mówi: jak prosto to się mnie opisać nie da. Trzeba trochę więcej „porabotat' baszkoj". Nawiasem wspomnimy tylko, że nie mniej niebezpieczne jest odwoływanie się do kryteriów fizyki, która sama przechodzi kryzys piekielny; wszystkie jej pojęcia falują jak roztopiona magma. Jeśli się bo tu wierzy w fizykę (jaką?) jako w adekwatny opis rzeczywistości, to przedewszystkiem jest się fizykalistą, czyli materjalistą – trzeba wyciągnąć z tego wszelkie konsekwencje – nie można tu siedzieć w dwóch ...

jak to prawo mają uznać fizycy w obrębie ich dyscypliny i być jednocześnie i czystościowcami i czysteckowcami. Po drugie niedawno przecie zarzyli jednogłośnie z dzikiej rozkoszy idealiści ontologiczni, że według ich unieważnili Dirac, De Broglie i Schrödinger, tą ekonomiczną trójką „niszczycieli materji" w wyższem znaczeniu, została nienawistna im materja w puch i zastąpiła „wzorami"! Jak to się stało niewiadomo. Oto do czego prowadzi wiara niekrytyczna we wspaniałość w swoim zakresie fizyki. Więc rzeczywiste słoty i góry i planety, składają się z urojonych niewyobrażalnych elementów? A ciała, a my sami, złożeni według materjalistów (w ostatniej instancji) tylko i jedynie z atomów — też jesteśmy nierealni bo te atomy składają się z indywidualnie nieobliczalnych, „względnie" się najdłuższych i ciągnie" w 7mio wymiarowem kontinuum dwu stojących w niebie (jeśli tylko dwa z nich wypatrzyjemy) elektronów. [?] Więc tylko punktualne „metafizyczne" jaźnie i ich przeżycia, a ponadto intencjonalne korelaty tych przeżyć w sobie nieistniejące. W idealizm ontologiczny zapędzić nas może wiara bezwzględna w adekwatność opisu fizyki, — ot co; dlatego to zresztą musi być nieustannie ostrożny (bo właśnie jest ta ostrożność na miejscu) w odnoszeniu się do fizykalnych kryteriów, chociaż dopóki fizyka

53 III

nie wyszła z okresu ~~ostrego~~ stadjum kryzysu owych
podstawowych pojęć. A dzieje się zaś rzecz
przykre – nagonka na pojęcie przyczyno-
wości wogóle, dlatego że ułomności owo
poprostu (istotnie nie technicznie tylko to prawda)
nie możemy dokładnie określić stanu
inicjalnego; zbeszczeszczenie euklidesowości
przestrzeni i nieskończoności świata (już
podobno niekonieczne teraz) w skutek
którego popularyzatorowy wmawiali nam
że musimy sobie to wyobrazić; a tu jedno-
cześnie wyznany przedtem obserwator pakuje się
bezczelnie przez okno – nie to nie jest obraz
zachęcający raczej z fizyki sobie metafizykę
jak to za Newtona jeszcze było wyobrażalne.
Fizyka to nie ontologja – dla nas, którzy
uznajemy przybliżony (jako zbyt dokładny)
opis fizyki w stosunku do nie-absolutnie
dokładnego, ale mającego swoistą względną
przyczynowość świata, złożonego z (ISN) –
monad, których wielość stwarza statystyczny
porządek materji martwej; złudnej jako
takiej, ale rzeczywistej, istniejącej „w sobie"
jako wielość (ISN), dla nas powtarzam
nie ma problemu fizyki w tej jadowitej
formie. Bo dobrze mówić, ale dopóki
nie było fotonów, tych malutkich „rzeczułek"
to co robił Zeiss ze światłem, stwarzającym
łomy w kulkach pary wodnej? Jak mógł
przedstawiać jako rzeczy falowania, czort wie
zresztą czego, te pola elektromagnetyczne

(dla wygody opisu danego wycinka świata (wycinku w stosunku do pojęć wielkości i materii nie przestrzeni jako takiej)

przenoszące się i prostopadle do niego ustawiane, typu podobne rozciągłości w ruchu?
Według mnie metodą tą (w realistycznej swej interpretacji) klapują one te istności z realistycznem pojęciem materjalnej rzeczy i życiowego poglądu, a to oczywiście przecież jest punktem wyjścia realizmu, i to nie klapują mimo to że się genealogicznie z tej rzeczy wywodzą. Wysuwa wszystko drugi element fizykalnej dwoistości energję, pochodną od siły, a to właśnie przez to, że zastępuje w fizykalnem wysublimowaniu „czystości" to właśnie, co stanowi jej materjalności, który ona czerpie się jeszcze wyobrażalności rzeczy życiowego poglądu. Jak zastąpiliśmy elektron przez układ fal zwolniliśmy koniec z interpretatorialności realistycznej pojęć fizykalnych. Wspaniałe „niezrozumialstwo" fizyki w stosunku do pojęć normalnych, przy jednoczesnem sprawdzaniu się przybliżonem fizyki tej w stosunku do rzeczywistości. Ale dość sama problematyka tej sfery dowodzi że nie można czynić z niej kryterjum żadnych filozoficznych stanowisk. Zrozumieć jej (i której) niedostępności dla niespecjalistów, zrozumieć jej istotę, pomyśleć jej rozmo-ciony i z respektem usunąć się jeszcze dalej od niej w chwili rozstrzygania problemów

filozoficznych, wyjąwszy z nich to pojęcia, 55 III
które mogą być użyte jako tezy w obrazie
świata filozoficznym, czyli w uzgodnieniu
zasadniczych poglądów, które implikuje on,
z których jeden to właśnie pogląd fizykalny.
Tak więc dowody reistyczne nie mogą nas
zadowolnić. Przechodzimy do punktu
następnego: błękit nieba. Gdzie tu
jest przedmiot, rzecz błękitna, w bezpo-
średniej wizji dana. Jeszcze z trudem
można to tylko jakoś naciągnąć, że
na tle chmur i lasów widzimy coś
zawieszonego w przestrzeni bardziej
jakby na pierwszym planie niż tamte
istności, jakkolwiek to coś jest nie-
materjalne, nie rzeczowe: widzimy
właściwie barwy — nic nie pomogą
żadne wmawiania, ale widzimy je
nie w nieskończoności, ani nie
nieskończenie blisko, tylko zlo-
kalizowane gdzieś w przestrzeni
przeważnie podobnie jak przedmioty
materjalne — na tem polega złudzenie,
że to jest coś, w rodzaju rzeczy. Ale
znowu, używając [illegible] sposobu mówienia
reisty, czysty jakościowiec, czy raczej ja
kompleksowiec, bynajmniej nie za-
przecza, że mogą być jakości czyste
zlokalizowane w przestrzeni: przeciwnie
daleki jest od tego ~~[illegible]~~ twierdzenia: każda
jakość gdzieś jest zlokalizowana, i choćby

najwidniej nieokreślenie wgłęb prze-
strzeni (n.p. niebo właśnie) do w każdym
razie „jakoś" (czemużbym ja nie miał użyć
tego słówka ?) zlokalizowana kierunkowo.
Nawiązując do tego co zastanówmy się widzimy patrząc na
niebo. Przedewszystkiem zauważyć na-
leży, że zeszta z poczciwiny, co to ledwo że
wiedział, że jest na świecie wogóle, wyrobił się przez ten
czas na takiego fizykalnego demona,
to pewny dość zdolności introspekcyi także
wypada mu przyznać, bo inaczej zrobi-
my [illegible] jakiegoś potwora o nierównych liniach
rozwoju wewnętrznego. Dalej więc
przy założeniu, że zeszta będzie z całą dobrą
wiarą analizował swe wrażenie, nie do-
ciągając ich w interpretacji do sfory powzię-
tych przekonań, bo nic gorszego nie może
być w filozofji, musimy wgłębić się z
nim w niebo, takie jakie widzimy nie
myśląc o żadnej fizykalnej teorji. Jak-
kolwiek „nie widzimy nieskończoności",
bo taka rzecz jest niemożliwa, ale w prze-
ciwieństwie do momentu patrzenia
ponuro w ziemię, mamy przed nami
obraz nieograniczonej przestrzeni, czyli
jak to mówią „toniemy w przestworzach". Biorą
w tem udział, jak we wszystkich wrażeniach,
zjawiska tego, co nazwałem „wyobraźnią do-
tykową". Tylko o ile w postaci zaznaczonych
„ruchów" i wyobrażeń muskularnych porówna-
nych (chociaż) nawet najlżejszego świadomego dla nas
napięcia mięśni, w stosunku do rzeczy widzia-
nych, mamy pewną granicę osiągalną

lokalizacji „spełnionych pożądań dotykowych",
t.j. faktu dojścia choćby teoretycznie nawet „obję-
cia góry", jeśli założymy nas wznoszących się syste-
matycznie w niej oraz zbliżania się do niej, o tyle
patrzenie w pusty błękit nieba, ~~[illegible]~~ bez
obłoków nawet, daje nam to specyficzne bezpośrednie
poczucie nieograniczenia (z którego wniosek
jest pierwszy i zdaje się jedyny sąd synte-
tyczny a priori: „pojęcie nieograniczo-
ności implikuje pojęcie nieskończoności")
polegające na tem, że nie znajdujemy
przed nami określenia zlokalizowa-
nych punktów w przestrzeni, jako punktów
zaczepienia dla spełnienia w wyobraźni
naszej „chapczywości" = fantazji dotykowo-
ruchowych. W każdym razie wrażenie od
nieba odznacza się właśnie cieniem okropnem
dla zeisty, co jest absolutnym brakiem
rzeczy, o ile naturalnie zrobimy abstrakcję
od wiedzy fizykalnej i nie będziemy myśleć
o „kulkach powietrza", w których specjalnie
załamują się promienie słońca. Samo
niebo nie odznacza też [pozornej, bezpośrednio widzialnej jako takiej] błękitnej rzeczy –
jakiegoś klosza [o pewnym pozornym promieniu], który byśmy jako taki właśnie
czuli jako zamykający nad nami nie-
ograniczoną przestrzeń. ~~Może~~ [mimo, że] nie widzimy
tej nieskończoności jako takiej, czyli że
błękit ten nieokreślenie, a skończenie
jest zlokalizowany, widzimy błękit a nie
rzecz. I choćby kto powołał się na Greków,
którzy widzieli kopułę nabitą gwoździami,
jak gwoździami: nie uwierzymy, że

w dzień absolutnie pogodny coś podobnego widzi. Może przenosi te skojarzenia z nieba nocnego, które łatwiej wyobrazić sobie jako skończone ze światełkami w pewnej odległości i widzi je w ten sposób i w dzień mimo, że bez światełek. Czy w tej, czy w innej odległości zlokalizowany, ja widzę błękit, a nie błękitną rzecz. Co do drżenia powietrza, to już omówiłem ten wypadek ogólnie poprzednio. Na to nie do[illegible] już nic więcej powiedzieć.

„Bezpośrednio dane" rozróżnia realista radykalny, czyli reista w dwojakim rodzaju: a) to co spostrzega nieprzesofistyzowany reista opisany ~~powyżej~~ twórczo ironicznie, tj. jest taki który spostrzega tylko rzeczy [i takim ma być naturalny człowiek naprawdę] i b) to co spostrzegamy naprawdę istotnie, nie z pozoru, bez dodatku tego, co jest domyślne. Pierwszy sposób zawiera w sobie obronę przeciw możliwościom, określonym negatywnie przy drugim. Twierdzenie, że dopiero uczony naumyślnie doprowadza nas do spostrzegania czystych jakości nie jest słuszne. Oczywiście stanowisko psychologistyczne, na które i ja już nie wpadam, uważając je za część tylko Prawdy Absolutnej, jest wysokiej marki „wymysłem intelektualnym"*) ale nie dowodzi to, że nie ma absolutnie nigdy i nigdzie nowych jakości. Udowodniłem i że nawet w sferze jakości wyznaczających rzeczy

---

*) O ile wszystko bez reszty i rzeczy i osoby sprowadzamy tylko i jedynie do wystąpień jakości, nie uważając jedności osobowości za bezpośrednio daną.

nie można, bez jawnego przekroczenia faktów i powoływania się na niewspółmierne kryteria zdrowego rozsądku i fizyki (szczególniej dzisiejszej) udowodnić absolutności reistycznego stanowiska. Treść znaczenie „bezpośrednio danego” byłoby według Kotarbińskiego intuicyjnie = to, co spostrzegamy w sposób najpewniejszy – i wtedy twierdzi autor, „spostrzegacz” dany sobie jest on sam, jako ten, któremu się wydaje, że „rzeczy obserwowane są takie, a takie.” Czemu odpowiednio wypowiedzi miałaby być: „Zdaje mi się, że itd”. Nie jest to w każdym razie wypowiedź założonego powyżej reistycznego prymitywa, bo temu mogło się conajwyżej zdawać coś określonego (że n.p. owoc nazwany to owoc naturalny i t.p.) ale jako taki, t.j. jako ten początkowiec nie mógłby on mieć pojęcia o jakiemś „ogólnem zdawaniu się wszystkiego” (że rzeczy są takie, a takie) – dla niego rzeczy są takie i koniec, bez żadnej wątpliwości; ale nie jest tym początkiem, tylko przesofistykowanym wychowańcem XX wieku. Kotarbiński zamiast powiedzieć coś wprost, sofistykował zawsze wielką ilość znaczeń jakiegoś pojęcia i potem, którąś z nich „jakoś” uznaje za takie, którego by się ewentualnie nie wyparł. Oczywiście że powyższe zdanie ze słowem „zdaje się” nie jest zdaniem stwierdzającem istnienie jakiejś treści. Jednak zdań takich, niekoniecznych do przyjęcia, możemy skonstruować bardzo wiele, i chodzi o to czy musimy (typ ich) przyjąć za ogólną formułę opinie rzeczywistości. Sądzę, że nie: jeśliby ktoś wbił nóż w brzuch Kotarbińskiego, to wątpię, żeby on chciał używać

natomiast wyrzekł zdanie: »zdaje mi się, że mnie boli – chyba ktoś musiał dźgnąć mnie porządnie w brzuch!!
a to tyle co: »W nerwach moich jest przebieg, w skrót = nerwy moje są rozdarte, raz siakie i owakie, co zmusza mnie do wypowiedzi prawdziwej – zgodnej z rzeczywistością, a rzeczywistości to rzeczy zmieniające się, że: boli mnie brzuch, a to tyle co: Ktoś [jakąś rzeczdoznającą udać] umieścił jakoś [jakąś rzecz twardą nierzeczdoznającą] pośród moich (skrót) flaków itd. itd.« ← – (pozwalam sobie na Karykaturę) – nie Kotarbińskiemu nic się jako rzeczy doznającej nie zdawało: on by ryczał z bólu i wołał pomocy innych rzeczy doznających. Nigdy nie wątpiłem, że nasz twierdzi że niema rzeczy wonnych, kruchych, ciepłych i plugawych, tylko pytałem co do znaczenia zdania, że takie rzeczy są: na to że ja jestem nic poradzić nie mogę, ale psychologiści – od Berkeleya – dowodzą słusznie, że rzecz da się rozbić, jak i doznanie przez ich jakości; że jest jednak jeden rodzaj elementów całej rzeczywistości bez nacechowania = jakości; a póki coś daje się rozbijać filozof nie może spocząć; bo oto właśnie rozbicie na ostateczne elementy w nauce chodzi: w fizyce inaczej, w filozofii inaczej: rozbicie i wyrażenie we wspólnym jednostkowym całości. W fizyce jest zdaje się jednak na dnie nieusuniony dualizm (ciągłości i cząsteczki) – jest i w filozofii: według mnie: Istnienie Poszczególne i jakości w jego trwaniu. Złudne było wrażenie psychologistów, że zaprowadzili monizm zupełny, eliminując (IP) i upodabniając pogląd

swój do poglądu naukowego, nie przez materyalizmy ale przez zpsychologizowanie wszystkiego i samego materyalizmu też: Okazuje się, że istnienie ma faktycznie strukturę dwoistą niesprowadzalną: „ja” i świat, ale o ile psychologizm może wyjść jako system wyczerpujący system Prawdy Absolutnej, o tyle realizm nie może, bo jest to sztuczny i werbalny monizm, który już z niczem innem pogodzonym być nie może: musi być przyjęty jako jedyna Prawda, jako wieczny dogmatyzm, albo odrzucony: Ja go jako taki odrzucam (z dowodem) ale twierdzę, że jest to zamaskowany i źle sformułowany psychologizm, prowadzący do monadyzmu: jako taki może być po pewnych transformacjach w monadyzm wessany.

Wracając do kwestji rzeczy co począć z takiemi „przedmiotami” (brr - jakie nienawidzę tego sposobu mówienia - widać za niem beztroską, a przez to sproblemowioną twarz logistyka, lub czasopisty, który z wyrazem wyższości (a z jednoczenastawionym [illegible], mniej więcej tak trzeba) chra[illegible] na wszystko z góry, a tortetą travers.) jak powietrze, albo wodę. Jeszcze ta ostatnia dzieli się na rzeki, morza, jeziora - te ostatnie są zamknięte, jakoś ograniczone, ale ocean Atlantycki, albo Amazonka - co to jest u djabła. Czy jeśli wkładam rękę do wody, albo włażę nawet w nią cały, mam wrażenie, że to jest rzecz. To jest bezwzględnie „coś” (raczej wnioskuję, że coś takiego musi być na podstawie doznań dotykowych), ale nie mogę nazwać tego rzeczą w tem znaczeniu jak stół, szafa, a nawet góra, księżyc, Syrjusz i droga Mleczna.

Jest to bezwzględnie coś odrębnego, nawet od rzeczy niedotykalnych, jak dalekie gwiazdy i Droga Mleczna, które rozkładam w umyśle na mnogość takich [illegible] rzeczy jak te gwiazdy. 62 II

To jest pewna nie zamknięta ściśle ciągłość bezpośrednio na cząsteczki swe we wrażeniu nie rozbita. Otacza mnie „coś" (raczej czuję na razie wolny dotyk, swobodną jakość dotykową (nie czując żadnej określonej rzeczy (a chyba zresztą nie można mówić o rzeczach nieokreślonych — one muszą mieć stan ciekły i gazowy, zbudowanych z nadkiego rozumienia rzeczy prawdziwej „takiej jak stoły, kamienie)) i w analogji do dotykanych rzeczy stałych wnioskuję, że może to być wielka kupa małych „rzeczułek", na które rozłazi się (staje się przez to mniej gęsta (w tej gęstości tkwi właśnie cała „rzeczowość" rzeczy, w jej nieprzenikliwości) rzecz prawdziwa, twarda rzecz życiowego poglądu. Weźmy przykład inny na dowód, że jest (jakość swobodna dotykowa) oczyszczenie w pewnym stopniu może — psycholog to może (co innego) przyjąć „stopnie" takie i nic go to nie obchodzi, nie wymaga to jego poglądu) jakość nie tak wyznaczającą określoną rzecz jak n.p. dotknięcie (pierwsze) końcem palca w stół. Sądzę, że polega to na nieokreśloności lokalizacji, a także na dłuższem niezmiennem trwaniu danej jakości.*) Spróbujmy objąć mocno jedną ręką drugą w przegubie: w pierwszej chwili czujemy „rzecz", która nas (my sami siebie) chwyta, ale po chwili trwania tego stanu rzeczy tracimy poczucie rzeczy chwytającej: mamy uczucie, że coś nieokreślo-

*) Było by to w związku z praktycznem znaczeniem tego faktu: jakość niezmiennie trwająca, ze względu na konieczną reakcję na otoczenie, nie potrzebuje nam w tym stopniu „podawać" rzeczy obcej jako takiej, niż jakość zmienna, wyznaczająca zmienną (niebezpieczną) rzeczywistość dookoła.

nego gniecie nas, czujemy ucisk „czegoś"; 63
III
jeszcze chwila nieruchomego trwania tego stanu rzeczy i mamy uczucie zupełnie nieokreślonego „rzeczowo" dotyku-ciśnienia i to nie tylko w ręce zaciśniętej, ale nawet w tej, którą ciśnie palcami; najbardziej zdaje się predysponowanem do odczuwania rzeczy jako takich w ich twardościach, różnicach gładkości i formach. Ale jeszcze gorzej jest z powietrzem. Póki jest nieruchome – nie mamy go bezpośrednio (poza oddychaniem, w którem jako takiego ~~go~~ wprost nie odczuwamy – w każdym razie nie jako „rzecz" w zwykłem znaczeniu bezpośredniem. Kiedy się rusza (o niem mówimy) mamy czyste wrażenie dotykowe (nawet do stopnia silnego gniecenia czy uderzenia, a nie mamy bezpośrednio poczucia istnienia jakiejś rzeczy. Raczej jesteśmy skłonni widzieć w wietrze, animistycznie, czy antropomorficznie jakiegoś nieokreślonego ducha, ale w żadnym razie nie rzecz, bo rzeczy dla zwykłych to przedmioty bezwładne, nieprzenikliwe, twarde, równe, łamne – żadnej z tych własności nie ma wiatr: Opór, może to jedno w specjalnym znaczeniu: nie czujemy oporu rzeczy tylko opór takiej samej siły, która nas pcha lub głaszcze niematerjalnie to jest istoty wrażenia od wiatru i dlatego raczej tłomaczymy go „duchowo" niż rzeczowo.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, że w stosunku do świata należy być animistą, jakby mógł jakiś programowy złośliwiec i niezrozumialec powiedzieć. Chodzi mi o tę warstwę bezpośrednich wrażeń z poglądu życiowego, na który w pierwszej linji zdaje się opierać pogląd swój zresztą. Twierdzę, że ta właśnie pierwsza warstwa: dotyku już zwłaszcza, potem i nie mówiąc o dalszej: wzroku, a cóż dopiero jeszcze dalszych: słuchu zapachów i dźwięków — smak zdaje się być bardziej z rzeczą związany niż dwie poprzednie. Co robić zresztą z bólami (wewnętrznemi), czuciami organów wewnętrznych, mięśni, ścięgien, stawów? To wszystko posiada, własności „rzeczy doznającej" przestrzennej — musi być „rzecz doznająca", aby były doznania. Co zostanie jednak z rzeczy tej, jeśli jej odmówimy bezpośrednio danej jedności osobowości, nie tylko w danym przekroju, skończonym zresztą, trwania, ale w ciągu jego całości od pierwszych chwil świadomości i pamięci, aż do śmierci. Oto „rzecz doznająca" podzieli los zwykłej rzeczy niedoznającej i zwlecze się w proch, jak ta ostatnia, kiedy odebraliśmy jej wszystkie konstytuujące ją własności — ona trzyma się jako taka (t.j. jako „przedmiot transcendentny") tylko tem, że jest kompleksem w trwaniu samem dla siebie, a treści tego trwania trzymają się przez pamięć, czyli [illegible] to, że

> z jakościami zimna i ciepła też nie wiadomo co począć; bo przecie to, że piec grzeje mnie w oddaleniu, ale nie pojmuję bezpośrednio uczucia ciepła (przy zamknięciu oczu) jako własności pieca. Chyba grzeją mnie dancingujące drobiny (i zderzające się) powietrza, a nie bezpośrednio dane, ale to jest wysoka fizyka.

w ciągu całego Korowodu zmiennych prze-
żyć, trwa stale ~~identyczna~~ jedna i ta sama ze sobą osobowość,
której świadomość (mówiąc skrótowo) jeśli
nie jest w trwaniu jako taka, to w każdym
razie stale jest w tle zmięszanem Cornelius'a,
obecnem i w tej jego części, która jest przenikającą-
bez tego niema nic z "rzeczy doznającej" —
jest ona tylko rzeczą w znaczeniu
zwykłem, a nie perfidnie-realistycznem — bo
nie mogę tego nazwać naiwnym radykal-
nym realizmem w żadnym razie. A więc:
Wchodzę do pokoju, gdzie czuć zdechłym
Kotem (o tem nie n.p. moją służącą) a ja
Kota zdechłego nigdy jeszcze nie wąchałem
(niema się z czem chwalić — ponieważ może Kobie-
trudno.) i pytam: "co to za smród?"; —
jestem w tem pytaniu szczery: czuję smród,
a nie śmierdzącego Kota — potem się o tem
dowiaduję i na drugi raz, przez skojarzenie
węchowo-wzrokowe będę już czuł Kota, ale
to nie należy nawet do Kota objektywnie:
to się z niego wydziela, ale unosi swobodnie
w powietrzu (w postaci kuleczek drobnych
zdechłego kota — ja wiem — ale to jest druga
naszpikowana! między) jest to swoboda par excellence
jakość wolnego smrodu. A cóż będzie z rozpy-
łonym eterem? Czy to śmierdzi butelka
eteru, której już w pokoju niema? Nie —
to drobiny eteru śmierdzą. Nie — drobiny
smród wywołują w moim nosie przez che-
miczne działanie, przez nerwy węchowe, mózg it.d.

ale drobiny nie śmierdzą, tak jak nie przyj-mnie ciepłem swem drobiny przyjaznych ciał, tylko mechanicznym ciepło wywołują. A dźwięki? Sądzę, że to jest dla każdego najtrudniejsze. Słyszałem zdanie, ale nie ręczę za jego prawdziwość, że w ujęciu tem Symfonja Karola Szymanowskiego n. p. będzie tylko kupą drgającego powietrza, które to drganie „jakoś" (takoś?) (!) my słyszymy – ha, trudno, tako jest wtórność „doznającej rzeczy" *) Nie – to już jest wyraźne naciąganie. Fizjologiczne t. zw. rozbicie „przeżyć" na jakości „(swoją ograniczoną) mądrzają", ale to nie jest rozbicie na istotne składniki, tylko zawsze łatwo [illegible] stanu rzeczy na rzecz z góry powziętej doktryny.

Na końcu okazuje się, że (jednak) jeden z głównych argumentów na rzecz realizmu radykalnego jest „konsekwencją" analizy sensu nazw elementów treści jak czerwień, okrągłość, słodycz i t. p. Więc to jest źródło ostatecznie! O, na jakich [illegible] podstawach polega cała transformacja. „Są to wszak nazwy pozorne, w języku ludzi trzeźwo myślących" – tylko tyle i gdzie dowód tej „pozorności"? Oto tylko w tem, że jako istniejące przyjęliśmy jedynie (i to niewiadomo czy istniejące dla kogoś czy same w sobie – różnica psychologistów, tylko owiele przyjemniejszego gatunku.

*) Dla mnie np. to pojęcie „doznającej rzeczy" jest wprost sprzeczne. Bo dotąd rzecz to był rzecz martwa – zaś to była osoba, stworzenie i t. p. Kotarbiński narzucał sobie osoby żywe rzeczą dodając jej sprzeczny z nią w istotnem pojęciu atrybut doznawania; nie [illegible] że zaprowadził jedność poglądu na świat. To samo zrobienie co

67 III

Kardynalne – (bez tego rozróżnienia pojęcie istnienia traci sens wszelki – staje się wieloznaczne, nie-do-użytku) rzeczy rozciągłe i bezwładne. Ale i to jest właśnie założenie dowolne, które należałoby udowodnić; a następnie zastanowić się czy mamy prawo z jednej strony zwężać tak pojęcie istnienia, zamiast go różniczkować (co robi bowiem z rzeczywistością bycia nieomal czerwonego koloru n.p., i formy A), a natomiast rozszerzać nadmiernie pojęcie rzeczy wprowadzając bałagan formalny do przyjętych słusznie w zwiężonym poglądzie znaczeń pojęć. W ten sposób można cały słownik wywrócić do góry nogami, ale nie wiem czy rzeczywistość by się zmieniła, gdybyśmy ciało nazwali lokomotywą, a jabłko krową. Jest to właściwością logistyków, że wierzą w magiczną siłę słowa, jak ~~magicy~~ totemiści lub wieszczowie dawnej Polski, a nawet Polski przedwojennej. Im się zdaje, że dość jest coś uznaczkować, przestawić sensy i znaczenia, a potrząsnąć i samo się wszystko „jakoś" załatwi, podobnie jak wieszczom zdawało się, że dość jest ma-leć formułkę słowną, aby Polska powstała jak kulka z serwety prestidigitatora. Nic nie pomoże im logiczny kanał, jeśli go nawet przeprowadzić zdołam, jeśli rzeczywistość będzie temu przeczyć: Sofizmatem nikt nie zmusi swobodnej jakości, jakoś w pewien sposób dla mnie!

w mojem trwaniu istniejącej słyszę ton A, który bezpośrednio nie jest własnością kiszki baraniej ocieranej o końskie ogony – jest tonem odrębnym od wszystkiego. Tylko doświadczalnie mogę go z danym kompleksem połączyć, ale żadne drgania kiszki jakiekolwiek nie przejdą mi w bezpośredniem przeżywaniu w ton. Tu w zasadzie tkwi ukryty głęboko pod pozorami naiwności dziecięcej niezepsutego człowieka, a z drugiej strony pod sztukami najperfidniejszego logicznego akrobaty, wykręty, powiedziałbym dziewiętnastowieczny materjalizm, który nawet z dzisiejszą fizyką rady sobie dać nie potrafi. Niedarmo dzisiejsi fizycy uciekli, z bardzo małemi wyjątkami w psychologizm: tylko w koncepcji grup symboli przyporządkowanych (czyli kompleksów danych jakości) grupom przeżyć a nie atomistycznie traktowanym elementom à la Mach) jest ich ratunek i jako taka możliwość interpretowalności wzorów fizyki. Czysty naiwny materjalizm, wyrosły z podreizmu musi nawet wobec dzisiejszej fizyki czuć się bezradnie i to jest jego tragizm. Raczej (i to zupełnie [illegible] niesłusznie) cieszyć się z niej będą ontologiczni idealiści, powtarzający jak dzieci klaszczące w rączki: „materji niema! rozwiała się w puch!" – Jest materja, ale „żywa", zindywidualizowana – trwająca sama dla siebie – a w niej statystycznie [illegible] jest martwa. Wszystkie drogi prowa-

[illegible] 55

dzy do monadyzmu i nie wyrzekłby się
od niego Kotarbiński, gdyby zbudował
odważnie cały swój system, a nie bawił
się w ostrożne przycinki „o różnych
znaczeniach słów" przyznając się bodajże"
do jednego z nich, najwyraźniej pachnącego
materjalizmem „martwym". „Obecności
rzekomych nazw elementów treści
[illegible] (nazwy z pozornych kształty [illegible] rzekome)
[illegible]
wymaga domysłu (!!) istnienia elementów
treści. Ujawnienie pozornego charakteru
tych nazw pozbawia ten domysł (!) reszty
uzasadnienia". Otóż „ujawnienie" nastąpiło
czysto werbalnie, (dowolne) przez założenie, że w żaden
sposób nie istnieje (ani osobowo, ani rzeczowo,
ani fenomenalnie) coś, co nie jest ogra-
niczone przestrzennie (= rozciągłe w sposób skoń-
czony) i bezwładne; (O nieprzenikliwości lepiej
nie mówić, bo cóżby zrobił z resztą z powietrzem i
wody - musiałby apelować do „kulek", które
z kolei zakładałby jako nieprzenikliwe)
„§ to wszak
„Nazwy pozorne w języku ludzi treścią myślą-
cych" - mówi o swoich nazwach pozornych
zresztą, chcąc zasugestjonować czytelnika,
że jeśli tego i ten, to go uzna za [illegible],
a jedynym dowodem jest słówko: „wszak" -
brzydkie choć przekonywujące. Gdzie jest do- [illegible] 56
wód, że istnienia w pewien sposób czerwone-
go jako takiego mogę się tylko domyślać?
Dowodu takiego niema i być nie może i

polega on na tricku niemal prestidigitatorskim, że przez odpowiednią definicję istnienia, pozbawiamy jakiegokolwiek istnienia jakości, ponieważ ten sposób w jaki one dla nas istnieją pod tę definicję nie podpada. W tem ostatecznie tkwi dumne oświadczenie reizmu, że likwiduje przez swoje odkrycie cały spór a zasadnicze filozoficzne problemy (stosunku między przedmiotami zewnętrznymi a treściami), stają się tylko „nazwą pozorną" nieistniejącego załatwienia rzeczy przez proste wmówienie sobie i innym rozwiązania, które nic nie rozwiązuje.

Elementy

Wynurzenia Kotarbińskiego na temat reizmu w jego „Elementach", bardzo dobrym z małemi według mnie zastrzeżeniami podręczniku, będącym czemś w rodzaju szerokiego co do objaśnień, a zwięzłego co do ilości objaśnionych pojęć; nie dorzucają nic nowego w tej kwestji. Co najwyżej do paru drobnych słownych raczej problemów możnaby się przyczepić. Zgadzam się zupełnie na redukcję „słowa przedmiot do słowa „rzecz" – uniknie się w ten sposób wielu potocznych wprost nieporozumień. Ale to nie implikuje bynajmniej twierdzenia, że „cokolwiek jest, jest rzeczą", co z naszej analizy poprzedniej wynika. Należałoby albo system reistyczny rozwinąć w sposób przekonywujący albo że tak powiem nie „zawracać nim głowy" początkującemu

studentów filozofii, bo to może go naprowadzić na złą drogę sztucznego odproblemnienia rzeczywistości i zadawalniania się werbalnemi wyjaśnianiami; od których krok jeszcze tylko jest do zupełnie dowolnej metafizyki: Nic nie pomoże dalsze oświadczenie autora „Elementów" zrobione jakby w drodze łaski, a które jest tylko wyrazem wahania się jego (bo na jednym stołku usiąść nie chce, a na dwóch siedzieć mu nie wypada) między materjalizmem ordynarnym, a monadyzmem, że pod nazwą rzeczy rozumie i osoby ożywione, obdarzone życiem psychicznem" – [dla bezpieczeństwa puszczone w cudzysłowie jako t. zw. przez reistów „wyrażenie skrótowo-zastępcze" – rzecz bardzo wygodna, ale według mnie filozoficznie niemoralna, bo kompromisowa.] Jesteśmy w owym dobrym, dualistycznym, praktycznym poglądzie życiowym; i nie złudzi nas jedna etykietka „rzecz", naklejana na nas, stoły, cytryny, planety, cząsteczki, elektrony i „pola" – to nie jest żaden monizm, tylko wydmukowanie jednobrzmiących naklejek – to każdy może zrobić w dowolnym systemie pojęć.

Rozbrajające jest wyznanie bezsilności reisty w kierunku udowodnienia słuszności swej tezy. Oto na str. 97 i 98 „Elementów" pisze Kotarbiński (dosłownie:) „Ten kompleks założeń sta-

mówi nasze credo, a więc pogląd hipotetyczny, a naginający się wedle naszych skłonności; przy jego pomocy usiłujemy wybrnąć z zawiłości teoryi poznania, a nie mogąc go potem uzasadnić w sposób publicznie przekonywujący, poprzestajemy na bronieniu go przed zarzutami pozornie słusznemi." (Podkr. p. K.). Przedewszystkiem nie uznaję w filozofji „hypotez" w znaczeniu naukowem, ani jako „hypotez pracy", ani jako domysłów". Jak to już stwierdziłem jest pewna ~~ilość~~ opisów istnienia, wynikająca wprawdzie z jego istoty, ale niemożliwa do przyjęcia, z powodu niedostatecznego uwzględniania jednego, a podnoszenia zbytniego drugiego ~~[illegible]~~ z dwóch koniecznych, niezaprzeczalnych członów jego dwoistości, lub też naodwrót. Tylko doktryna starająca się pogodzić płynące stąd pozorne sprzeczności koniecznych i implikowanych przez stan rzeczy poglądów, może być opisem prawdziwym całości istnienia w jego dwoistości; przyczem jesteśmy z założenia samego zmuszeni, aby wyjść poza stanowiska nauk poszczególnych, przyczem jednak koncepcje nasze nie powinny być hypotetyczne dowolnością, tylko powinny być ograniczone danemi realnemi, których opis conajwyżej może być poza niem pewien sposób przedłużony. Słusznie mówi James Ward

że filozofja nie mogąc być nauką w znaczeniu nauk ścisłych, powinna być sprecyzowaniem tego, w co „moglibyśmy racjonalnie wierzyć" 73 III

„Pozytywnie uzasadnić" dany system można: „byłoby to przyłożeniem go do rozmaitych problemów i zbadaniem na ile je rozwiązuje. Oczywiście nie może być jako uzasadniony system, który zrzeka się rozwiązania najfundamentalniejszego problematu: „czem są rzeczy, gdyż ich nie spostrzegamy", po za tem oczywiście, co nam w tej materji fizyka do wierzenia podaje.

Zdaje mi się, że „skłonności" nie mogą, nie mogą grać tu roli świadomej: że jest, i jeśli podświadomie działają i powinny być, mówiąc bez patosu jednej skłonności: do prawdy, wyeliminowane, ale jeśli jako takie są uświadamiane i nie zwalczane to jest to conajmniej dziwne.*)

Realizm radykalny wobec idealizmu

Tu podaje Kotarbiński czysto negatywną definicję reizmu (= real. rad.): przyjęcie przedmiotów, nie będących układami treści – wszelka rzecz jest takim właśnie przedmiotem. Oczywiście stół wiejski, szklanka wody, i jądro elektronu, nie są syntezami czyichkolwiek czuć, albo tembardziej „bezpańskich plam barwnych" –

*) Zaznaczę tylko, że osobiście nie czuję żadnej „skłonności" do monadyzmu. Może wolałbym, aby sytuacja była mniej skomplikowana. Jestem zmuszony do bronienia tej doktryny może nawet wbrew istotnej woli „do spokoju", dlatego że na drodze eliminacji nie mam przekonań do innego wyjścia Nieczystej Konieczności w reizmie Kotarbińskiego.

nazywam mającą świeższe wyrażenie tą „bezpańskości" (w tym kontekście) (jakieś nieszczęsne pokutujące się przypominają i żerujące na śmietnikach) i to odnosi się przedewszystkiem do Macha, który przesolił grubo w radykaliźmie swojego podejścia psychologizmu – niedziwnego – był jego twórcą. A więc nie są tem: t.zn. są gdy są tem dla nas, ale czem są poza tem – to jest osobny problem filozofji: Jeśli kto tego nie widzi to jest „ideenblind" – zresztą się do tego otwarcie przyznaje: „nie widzi problematu stosunku elementów treści do przedmiotów zewnętrznych, ponieważ istnieją dla niego tylko przedmioty zewnętrzne, treści zaś nie istnieją". Ciągle spotykamy się z tem apodyktycznem sformułowaniem naczelnej zasady realizmu w formie czysto werbalnej, bez dowodu, że tak ma być w istocie i bez wytłumaczenia konsekwencji stąd płynących. Usunięcie jednem zdaniem problemu filozoficznego, nad którym „biedzą się" ludzie od lat tysiąca „wydać" się musi podejrzanem.

Starałem się wykazać gdzieindziej, że kwestja „bezpośrednio danych" nie powinna być stawiana tak radykalnie, jak w psychologizmie czystym: że mianowicie (w pewnych wypadkach) mogą być dane bezpośrednio przedmioty na równi z samemi jakościami (kulko w ręku, listki w głębi), jakoteż wbrew realizmowi że jakości jedynie jako własności rzeczy nam nie są dane, a również w postaci zupełnie „swobodnej", same dla siebie

Jeśli będziemy brali pod uwagę jedynie „przedmioty dane w dotyku" z aktualnych, to kwestja będzie polegać tylko na możności dania całego przedmiotu, w swoje odpowiedniej jego małości, lub części jego w razie zbyt wielkich jego rozmiarów.

Z drugiej strony, jeśli się weźmie pod uwagę fakt dania przedmiotów na tle dania przedmiotu „immanentnego" (ekwiwalent bezpośrednio danego kompleksu jakości w terminologji psychologistycznej) to zauważyć trzeba, że na tle tego faktu, że jakości, czy kompleksy ich są jedynie dane bez odpowiedniego tła zmięszanego aktualnego w postaci przeszłości i zmięszanych z nią oczekiwań, plus jeszcze dość zapomniany element: fantazji dodatkowej, który zupełnie zdaje sprawę z domniemanych i koniecznych według fenomenologów „aktów", zastąpionych tem co nazwałem „chapczywością" naszego ciała, to widzimy, że w bezpośredniem przeżywaniu w poglądzie życiowym, obcujemy zawsze z rzeczami nie kompleksami jakości jako takiemi. Tem niemniej musimy zdać sobie sprawę z celu analizy filozoficznej pojęć i dojść musimy do rzeczy najprostszych, istności nierozkładalnych, aby zobaczyć z czego naprawdę składa się rzeczywistość nasza i świata. Wbrew temu, że widzimy takie kompleksy jak domy, [illegible] góry, i odczuwamy takie istności jak gniew, miłość i oburzenie, nie możemy poprzestać na tem i nie starać się o dalszą analizę, aby przez nią broń-Boże nie spłaszczać metafizycznej, świętej rzeczywistości. Przeciwnie musimy w tej analizie dojść do dna, o ile

nie chcemy zatrzymać się na poglądzie życiowym i zachować niezłożoną jego prostą problematykę, a raczej brak takowej w znaczeniu filozoficznem, nie starając się wywlec z niego problemu, który w jego pojęciach implicite jest zawarty. Pyta

Pytanie: „gdzie mamy zatrzymać się w naszej analizie elementów rzeczywistości, takiej jaką nam przedstawia pogląd życiowy, w jego pierwotnej dwoistości: „ja" i świat?" musi otrzymać jasną i zdecydowaną odpowiedź: analiza musi być przeprowadzona aż do ostatnich granic jej możliwości, aż do momentów niesamodzielnych czyli samodzielnych wtórnie. Wtedy tylko będziemy mieli do czynienia z elementami ostatecznemi w znaczeniu filozoficznem: tylko wtedy możemy uzgodnić przeciwne sobie i pozornie sprzeczne poglądy implikowane przez oświecenie (psychologistyczny i fizykalny) jeśli znajdziemy dla nich wspólny mianownik, t. j. jakości proste, z których zbudowane są nasze przeżycia, bo tylko wtedy zdołamy wykazać sprowadzalność drugiego do pierwszego, gdy sprowadzalność odwrotna okaże się niemożliwą. Od punktu wyjścia z poglądu życiowego, aż do tego rozbicia ostatecznego, nie mamy żadnego

Kryterjum, któreby pozwoliło nam określić granicę tej rozkładalności. Możemy conajwyżej powiedzieć: pogląd życiowy jest świętością nienaruszalną, wszystko jest takiem jakiem jest, nic analizować nie wolno, nie wolno o niczem innem myśleć jak o problemach życiowych i nauk ścisłych; nie wolno pytać o wzajemny stosunek tych ostatnich: nie wolno stawiać pytań w wymiarze filozofji - takie stanowisko byłoby konsekwentne i takie wyznaje obejmuje większość ludzi na naszej planecie. Ale z chwilą gdy raz obsunie się po łańcuchu problemów musi dojść do dna doliny: na żadnym stoku nic jej wstrzymać nie zdoła. Dlatego „zatrzymanie się" reistyczne na rzeczach, jako na czemś ostatecznem, tembardziej bez głębszej analizy pojęcia rzeczy, n.p. takiej, jaką z punktu widzenia ich doktryny przeprowadzili feno- [illegible] 62 menolodzy, musimy uznać za sztuczne i pozbawione wszelkiej podstawy. Równie dobrze możemy się zatrzymać na czystym poglądzie życiowym i nie dać zrobić nawet tego małego kroku w kierunku reizmu. Czemu reista (który wtedy nie byłby już reistą) (tylko jeśli już nie chce wyjść z jaźni, jako że według niego są to hypostazy) nie wyjdzie z czegoś

jeszcze bardziej oczywistego t.j.: z istnienia własnego i podobnych mu stworów, czyli nie stanie się poprawnym monadystą, jakby tego wymagało antypsychologistyczne stanowisko? Czemu trzyma się rzeczy? Oto ulega złudzeniu „pseudo-naukowości”. Przypuścić istnienie organizmów, osób czaso-przestrzennych i t.p. „fantazmatów” byłoby nienaukowem. Ponieważ fizyka dla swych celów neguje osobowość, co jest w jej sferze zupełnie uprawnione, każda filozofja, która stara się zdobyć markę naukowości, musi bezkrytycznie biegć śladami fizyki, zaprzeczając w ten sposób swojej istocie, swemu zadaniu, którem jest opis [redacted] całości Istnienia, a nie tylko jego jednej jakiejś kupiury (w przeciwieństwie do wycinka) opis bez deformacji, związanej ze zgóry powziętą ideą, przy użyciu „przybliżenia” opisu świata dostrzegalnego, tam gdzie on z założenia samego wyczerpać nie może, ale jednak bez użycia hypostaz i hypotez zupełnie dowolnych. Według tego, co powiedziałem, realizm nie spełnia tych wymagań zupełnie. Według mnie nie tyle istotnem będzie zastosowanie do wymaganych elementów rzeczywistości kryterjum „bezpośredniości dania” (według tego co było mówione à propos przeżyciowości i jakości) ile kryterjum ostateczności tych elementów, t.j. absolutnej prostoty i dalszej nierozkładalności, które

są cechami momentów niesamodzielnych naszych przeżyć, narówni z momentami jakiemiś świata zewnętrznego, który rozpatrywany jako dla nas istniejący, do tych przeżyć jest w pewnym sensie sprowadzalny. Dlatego problem Kotarbińskiego, który wyjaśni czy elementy treści są bezpośrednio dane, jest dla nas nieistotny.

Cały dowód Kotarbińskiego opierający się o pojęcie „coś", został już właściwie przeanalizowany uprzednio. To coś, pewna forma językowa, występuje tu jako główny świadek, że rzeczywistość jest taką właśnie, że jako „cosie" różne zewnętrzne posiadające cechy ściśle z temi cosiami związane, nam się przedstawia. Według mnie wszelki opis rzeczywistości powinien zaczynać się od opisu nas samych, naszego ciała przedewszystkiem: jak ono się nam przedstawia, a wtedy mielibyśmy daleko większy gwarancję, że opis rzeczy, których doznawanie zależy od tego ciała (n.p. choćby fantazji dotykowych) nie został sfałszowany. Język jako kryterjum czy to istnienia czegoś, czy też nieistnienia jest przez filozofów intensywnie znających kultury logicznej, stanowczo w celach ontologicznych nadużywany. B. Russell na podstawie języka dowodzi, że „ja" nie istnieje, że jest to tylko pewna forma gramatyczna, praktycznie użyteczna. Na podstawie języka, w którym zarówno te

formy, które Kotarbiński uznaje, jak 80
i nie uznaje (uznając je za nazwy pozorne III
dla nieistniejących w gruncie rzeczy rzeczy)
(wbrew oczywistości)
dowodzi on, że nie może być nigdy
jakości swobodnych, tylko jakieś „cosie" z jednej
strony barwne, dźwięczne, a z drugiej dotykające i myślące, a
te cosie pierwsze właśnie bez reszty, w przeciwieństwie
do tych drugich, na kompleksy cech rozłożyć
się dają. Ale ponieważ człowiek „nie wydrku-
jący" powie nam, że słyszy „coś", a nie dźwięki,
to zamiast tego sonatę Beethovena „musi być" kupy drgającego
powietrza, którą się jakoś słyszy. Według
niego zresztą nie może, tylko na podstawie
tego, że treści nazywał wyłącznie cechami
„cosiów", twierdzić, że problem stosunku
treści do przedmiotów zewnętrznych nic
go nie obchodzi, bo: 1) musiałby dokładnie
określić czem jest „coś" poza cechami, chociaż
(czy stosujący
stosownie niewydrkujących facetów chciało uznać
„coś" za nienaruszalną świętość i nie chciało
zanalizować procesu, w którym rzecz kon-
stytuuje się w naszej świadomości, czy też
jak jest nam dana, a po 2gie) musiałby
się zastanowić nad stosunkiem cech dru-
gorzędnych (kolor, dźwięk i t.p) do przedmio-
tów fizykalnych chociaż, jeśli nie do „cosiów"
danych (w jaki sposób? - bezpośrednio? i to zawsze?)
niewydrkującemu facetowi: Przecież tu gdzie
ja widzę cechę czerwoności (skrót) pudełka,
to tam właśnie ustalają się jakieś „cosie", wprawdzie
nie dane mi odrazu bez żadnych komplikacji

(porównie) jak pudełko, ale których istnie- 81/II
nie musi wzywać na zapewnienie fizyka,
o którego sądy reista dba i na których się
w dowodach swej tezy opiera. Jak to się odbywa
w reistycznym poglądzie, że jednak rzeczy-
wistość *jest* podwójna: cechom — nie samym
rzeczom — odpowiadają zbiorowiska innych
rzeczy, których egzystencja nie jest tak
czemś prostem, jak istnienie tej rzeczy,
którą wraz z jej cechami oglądamy. Tu
pomost między temi dwoma rodzajami
rzeczy byłyby chyba „rzeczy doznające". Ale czy widzenie
przez „rzecz doznającą" czerwonego pudełka,
jest poprostu jego (tego pudełka) istnieniem (wtenczas by-
libyśmy nie (tylko nie) w reizmie, ale nie w realizmie
wogóle, tylko w idealizmie) i czy poza tym
bytem fenomenalnym ono wogóle nie istnieje,
czy też musimy założyć, że „coś" dane nam
(rzeczom doznającym" — tu wyłazi cała werbal-
ność nazwania osób „rzeczami doznającemi")
jako ta rzecz barwna, dźwięczna(?), rozciągła i oporna,
istnieje jeszcze „jakoś" inaczej? Bo czemże jest
gdy nie istnieje dla nas. W obrębie reistycznych
pojęć sytuacja ta jest nie do-wyjaśnienia. I
tu zjawia się straszna wątpliwość: pod po-
zorami narzuconego sobie monizmu
kryje się t.zw. przeze mnie ordynarny dualizm

poglądu życiowego: dualizm nieusprawiedliwiony osób i rzeczy; a dowód tego jest w tym fakcie, że sytuacja nie zmieni się wcale jeśli odwrócimy nazwy i zamiast nazywać osoby „rzeczami dorażającemi", nazwiemy rzeczy „osobami niedorażającemi" — przyczem wystąpi pierwotność osób i „materii żywej" w stosunku do rzeczy i (MM), które to dwa pojęcia możemy zdefiniować jedynie negatywnie, w stosunku do pierwszych, jako pierwotnych. I w jednym i drugim wypadku pojęcia, używane w potocznym języku dla rozróżnienia trzech zasadniczo różnych istności: stworów żywych i przedmiotów martwych, na podstawie pewnych wspólnych ich cech [ciągłości i bezwładności — (to drugie już nie całkiem w tym samym sensie da się zastosować do obu)] zlewamy w jedno, dodając do jednego i tego samego pojęcia przymiotnik wyrażający, że rozstępuje ono tamte drugie, któreśmy dowolnie wyeliminowali: między żywem a martwem zachodzi logiczna sprzeczność z samej definicji tych pojęć: coś żywego nie może być martwem i naodwrót. Postępujemy tu dalej, jakbyśmy wobec istniejących Kanotkowo matłżi

w dwóch rodzajach: drzewa i żelaza, zechcieli (niewiadomo czemu) wyeliminować jedno z nich i mówili zamiast żelaza, żelazne drzewo, lub zamiast drzewa, drewniane żelazo, myśląc, że w ten sposób zaprowadziliśmy „jedność materji", którą chemja a dalej fizyka, realizuje faktycznie, sprowadzając różnice materji do wspólnego mianownika: jednorodnych cząstek ostatnich, tylko w różnych stosunkach ilościowych i konfiguracjach. Nazywając rzeczy „osobami niedoznającemi" stwierdzamy tylko ich rozciągłość i bezwład (dodatek mógłby być zrobiony jeszcze co do ruchów dowolnych i rozwinięcia *)) w analogji do osób i nic więcej – nie zostajemy przez to bynajmniej monadystami: pozostajemy, podobnie jak w reizmie, w czysto werbalnym monizmie pozornym, zachowując dualizm poglądu życiowego. Monizm rzeczywisty byłby osiągnięty tylko w dwóch wypadkach: sprowadzenia rzeczywistego (MM) do (MŻI) = w monadyzmie, lub w odwrotności tegoż, i w materjalizmie fizykalnym, gdzie (MŻI) ma być sprowadzona bez reszty do (MM), co nawet w formie przybliżo-

---

*) Analogje rozwijających się kryształów płynnych z rozwijaniem autentycznej (MŻI), żółtek i kropli koloidów i ameb, uważam tylko za zupełnie naciągane, świadczące o niewybredności argumentacji materjalistów.

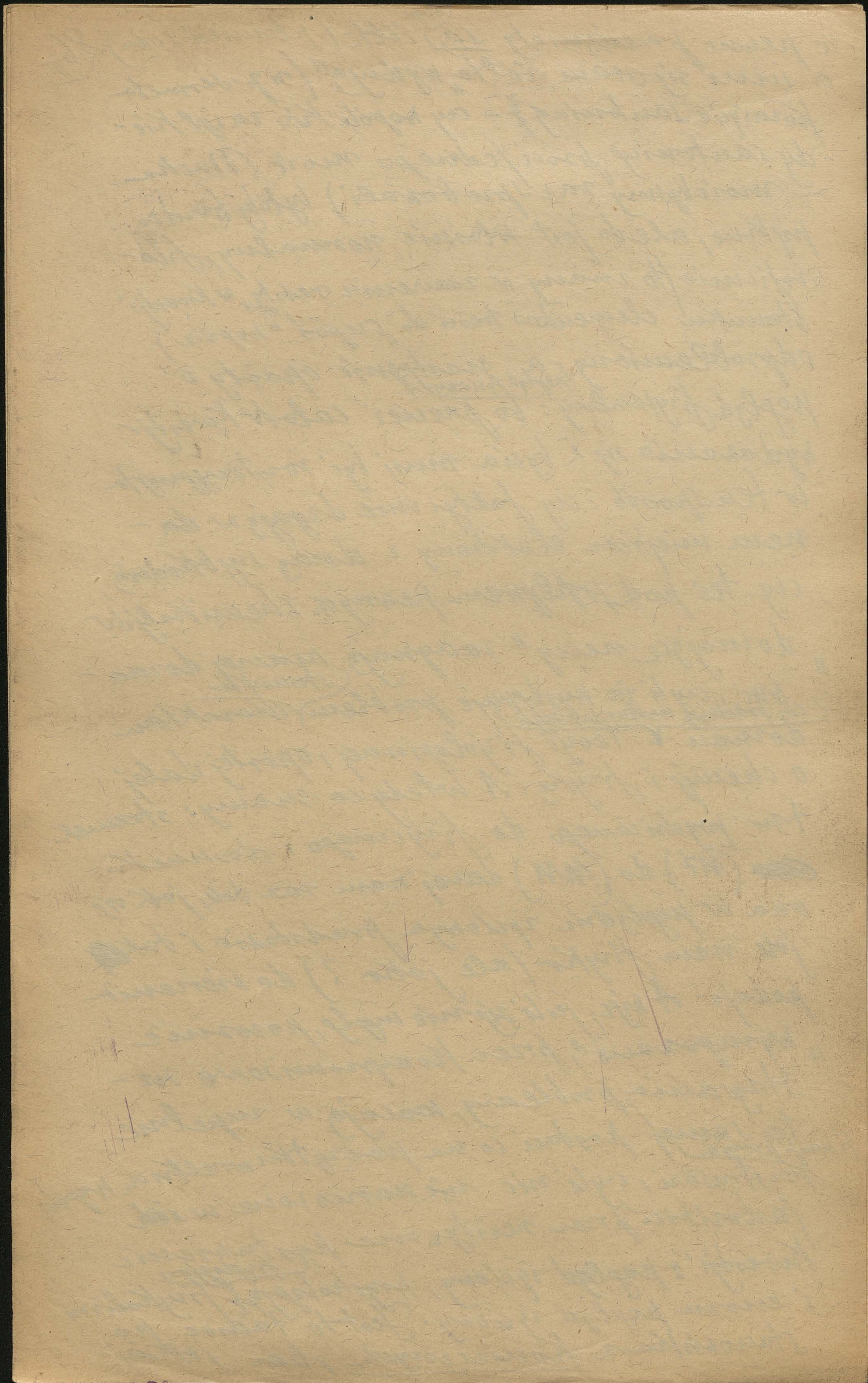
no-hypotetycznej, ale w pewien sposób teoretycznie zrealizowanej, jak w wypadku monadyzmu, nie jest możliwem, a istnieje tylko i jedynie w postaci zupełnie gołosłownych obietnic. Gdybyśmy jak chce Kotarbiński poprzestali na opisach przeżyć i nie mówili o „treściach", które nazywa „wytworami i urojeniami uczonej spekulacji", tobyśmy poprzestali sobie na deskryptywnej, ogólnikowej psychologji i bylibyśmy zupełnie zadowoleni w nie-odbieganiu od normalnego poglądu życiowego. Z drugiej strony poprzestalibyśmy na reizmie, który wprost do fizyki prowadzi i też byśmy się uspokoili „jakoś", że tak być musi i koniec. „No pricom zdieś filosofja?" Przecież nam właśnie chodzi nie o jakbądź łatwiejsze uspokojenie się, tylko o możliwe rozwiązanie prawdziwego, nie urojonego problemu. A właśnie w rozdziale „o stosunku realizmu radykalnego do „realizmu krytycznego" (uznającego różnice między własnościami rzeczy i subjektywnemi i objektywnemi tego samego rodzaju (n.p. rozciągłości, nieprzenikliwości) i czysto subjektywnemi (kolor, zapach), którym jednak coś objektywnie odpowiadać musi w rzeczy samej, a dalej w naszych narządach, lub tylko w nich, w razie n.p. halucynacji) Kotarbiński mówi że zagadnienie stosunku treści do czegoś innego wogóle, jest dlań „zagadnieniem pozornem"*) jak zagadnienie stosunku zaskrońca do nieistniejącego morskiego węża-potwora.

*) Ileż problemów ułatwiono sobie tem słówkiem „pozór" lub „pozorny" i t. p. Trzebaby jednak zapytać czy tam właśnie nie kryją się zagadnienia pozornie tylko pozorne, a w gruncie rzeczy najbardziej rzeczywiste jak tylko być mogą.

Ciągle jest mowa o prostem „nieuznawaniu elementów treści" przez reistę, ale nigdy usunięcie ich nie nastąpiło wobec czytelnika jakimś przekonywującym sposobem; wydzielają się one z całości „stanu rzeczy" t.j. z rzeczy (jeśli tylko do niej się ograniczymy) jako momenty rzeczywiste, a rzecz sama w swojej odlepywaniu „cech", schodzi do majaku, do Corneliusowskiego „prawa następstwa czuć" (właśnie tych elementów treści). Oczywiście tem realista zadowolnić się nie może i pyta: „ale co u djabła jest podstawą takiego, a nie innego prawa właśnie". Ale na to pytanie właśnie reista z założenia (nie mogąc nosa wysunąć poza znikającą mu w oczach rzecz) odpowiedzi dać nie może. Dla niego to zagadnienie pozorne i koniec. Z właściwości języka, któremu tak wierny (Kotarbiński jako) kryterjom dla rzeczywistości (drzewo że „coś" jest dowodem, w reizmem, a „czerwoność" odrzucona jako „nazwa pozorna") wynika też; że najważniejszą rzeczą jestem ja sam – przedewszystkiem sam dla siebie istniejący, a potem (logicznie – bo w rzeczywistości to momenty niesamodzielne) doznający – bo muszę być osobowością samą dla siebie aby doznawać. O tym byciu samym dla siebie Kotarbiński nawet nie wspomina, bo nieszczęsne „coś", potrzykroć pochodne od „ja", zastania mu nawet jego byt własny, (w ogóle) który potem pochodnym mu się zdaje od tego jakiegoś „cosia" – sam siebie uznać za rzeczywisty, ale jako „coś" (w analogji zaledwie do innych „cosiów"), a nie jako byt sam w sobie pierwotny, nieprzywiedlny. (Jeszcze jedna analogja z psychologizmem – ale o tem później.)

Zachowanie zasady „zdrowego rozsądku"

że pewne przedmioty (np.) są żółte (płomień sodu) 86 III
a inne się nam żółte „wydają" (np. serweta
po zażyciu santoniny) – czy wogóle kto zażył kie-
dy santoninę prócz jednego może (Nacha
– moglibyśmy raz spróbowali) byłoby bardzo
piękne, ale to jest właśnie normalny, filo-
zoficznie (to znaczy w znaczeniu ścisłym, w kwestji
stosunku elementów treści do „czegoś" wogóle)
odproblemiony, a następnie oparty o
pogląd fizykalny (pogląd życiowy): bo przecież całość kwestji
wydawania się i bycia musi być rozstrzygnięta
w ten sposób: czy faktycznie drgają w da-
nem miejscu elektrony z daną szybkością,
czy też pod wpływem pewnych chemikaljów
„doznające rzeczy" zaczynają inaczej dozna-
wać, czyli że występuje problem stosunku charakteru
(i czy podstawą według jakiej?)
doznań do teorji fizjologicznej, opartej dalej
o chemję i fizykę. A wtedy co mamy: stosunek
t.zw. psychicznego do fizycznego i stosunek
(Mż) do (MM) danej nam raz tak, jak się
ona w poglądzie życiowym przedstawia i tak
jak nam fizyka (ale jaka?) do wierzenia
podaje. A więc, jeśli się nie mylę, pozornie
„wymigowane", przez kompromisowe roz-
strzygania problemy, wracają w zupełnie
tej samej postaci co na początku w wielkich wogóle
filozoficznych
rozstrzygań, czyli nic nie naruszone w ich
jadowitości przez ścisłyczne postawienie
kwestji: pogląd życiowy, psychologja, fizjologja, fizykalizm
i znowu pogląd życiowy. Jest to taniec po
stanowiskach koniecznych, bez jakiej-



Kolwiek próby [dalej] rozmyślania. Ale na pytanie 87 III
czy kwiaty są żółte gdy ja wychodzę z pokoju i nie patrzę na nie nie może powiedzieć wprost i otwarcie co myśli: Jest to - powiada - „wypowiedź sądu „spostrzegawczego - a jeśli się mówi to o przedmiocie niespostrzeganym, to zmieniają się znaczenia i wtedy wypowiedź jest w literalnym sensie nieprawdziwa, ale prawdziwa jest w jakimś [sensie] (!!) następczym" - w jakim [wyższym] u cholery?!! - Przecież tu w odpowiedzi tej zostałą w [identyczności doprowadzeń] [pytamy się już wściekli:] [(których stosunek nie został wyjaśniony:] cała masa pojęć [(ew. myślący)] Ktoś spostrzegający (a więc czujący i mający ciało etc. etc.), następnie sąd jego „spostrzegawczy" (?) Cała teorja pojęć jest tu [explicite] konieczna, a następnie wypowiedź tego sądu (związek czuć z ciałem [jakodokich] jako jakodokiem tu z organizmem, [stosunek tych dwóch istności wzajemny implikujący wszystkie problemy, które reizm neguje jako [illegible]-]) - czego tu niema! A o tem wszystkiem nie wiemy nic z punktu widzenia czysto reistycznego - wiemy tylko, że nic nie jest „układem elementów treści", a zatem wiemy wszystko [(co się tylko da z poglądu życiowego]: z życia, z psychologji, z fizjologji i z fizyki i przeskakujemy z jednej z tych sfer i dyscyplin [na drugą] a potem znów w pogląd życiowy - jak nam wygodniej. Zasadniczo deklaracja, że „[pewne] przedmioty są takie, jakiemi nam się wydają w zmysłowych

[według Kotarbińskiego]

Reizm ma zupełną beztroskę wolnego wyboru odpowiedzi w pytaniu: „czy płomień sodu jest żółty". Może powiedzieć „tak", ale równie dobrze może powiedzieć, że nic takiego literalnie o żadnym przedmiocie orzec nie można. On ogranicza się do nepadugnego stwierdzenia: „nic nie jest układem treści".

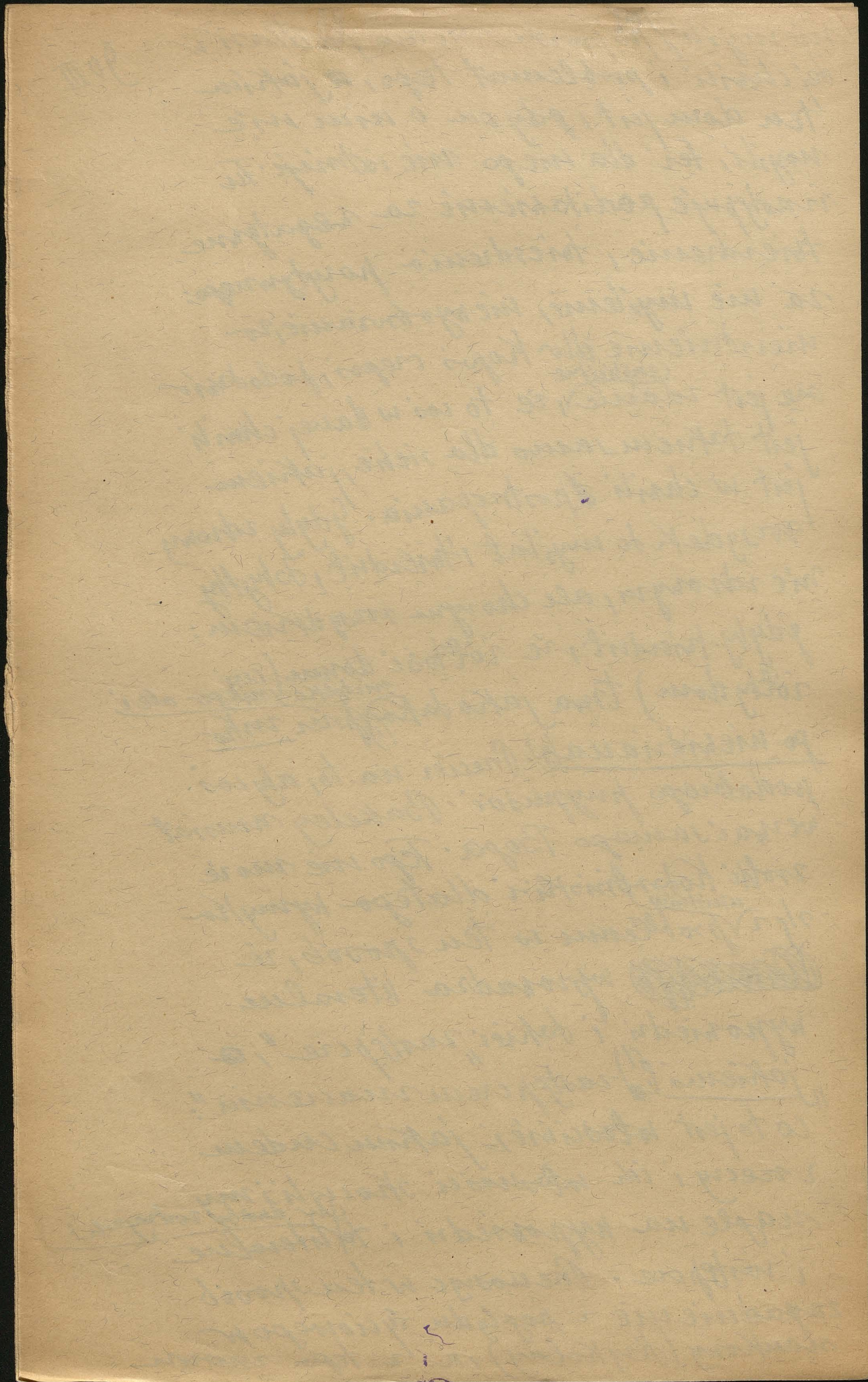
spostrzeżeniach" nie jest jasna, dlatego 88 III
że nie wiemy jakie to są właśnie przed-
mioty, a podrugie nie rozumiemy
czemu Kotarbiński pisze, że się „wydają"
w tych spostrzeżeniach takiemi jakiemi
są, a nie poprostu że są takie jakie
są, coby było w tym wypadku logiczniej-
sze. Widocznie więc kwestja „wydawania
się", implikująca stosunek treści do
[innego] czegoś nie jest zupełnie załatwiona.
Tembardziej, że chodzi tylko o „pewne
przedmioty" – a co z innemi? Ograni-
czamy się do życiowych skonstatowań,
a w dalszym ciągu do fizyki [i uczynnionej fizjologji], jak to
wychodzi na jaw przy kwestji tej, że chi-
nina jest gorzka, a po ulaniu żółci wszystko
się gorzkiem wydaje. Pachnie to zupełnie
beztroską odproblemionego świata, w
którym wszystko jest tak jak jest w życiu,
a resztę załatwiają poszczególne nauki.
Więc na to 3000 lat ludzkość rozbiło
sobie głowy, żeby naprawdę, jak niektórzy
[i „niedouczycy"] tacy twierdzą, kryć się za własnym ogonem.
Ale ja rozumiem niedouczyków i carna-
pistów z ich 4-ema sferami rzeczywistości
coraz mniej pewnej i protakulornemi
zdaniami, jako ostateczną prawdą – oni

są konsekwentni w negowaniu wszystkiego 89 III
od początku do końca – całej problematyki:
Ale Kotarbiński konstatuje ~~właściwie~~ wbrew swej woli najpierw i jakby ~~[illegible]~~, że problem jest, walczy werbalnie z treściami, których zresztą nie negują, stawia werbalnie rzeczy na pierwszem miejscu i wtedy, zrobiwszy prestidigitatorski trick bez dowodu, oświadcza: „a więc widocznie problemu niema, bo są tylko rzeczy”.
Najgorzej coś jest jak przystępujemy do kwestji przedmiotów niespostrzeganych. Idąc za zdrowym rozsądkiem „gotów” jest głosić Kotarbiński że płomień sodu jest żółty, a chinina gorzka, kiedy i jednego i drugiego niespostrzegamy, gotów, ale na szczęście nie głosi, bo to jest byłby chwyt potworne!
To nie jest zdanie zdrowego rozsądku, bo zdrowy rozsądek problemu tego w tej formie „jakiemi są rzeczy kiedy ich nie spostrzegamy” wogóle i jakiegokolwiek nie stawia: przyjmuje że rzeczy są takie i koniec, właśnie bez problematyczności. Każdy człowiek myśląc o domu swoim żółtym n.p. w chwili gdy go nie widzi zawsze wyobraża go sobie żółtym, takim, jakim go widział i to mu wystarcza: wyobrażenie nakrywa się z niewidzianym w danej chwili domem tak, że nie ma luki między domem widzianym, a niewidzianym – stanowią one ciągłość. A gdy o domu

[margin:] ale nie myśli explicite, że ~~[illegible]~~ coś jest takie gdy „zdrowy rozsądek” go nie widzi, jakie wtedy, gdy go widzi.

[pencil, right margin:] nr. 71

nie myśli, to po prostu nie ma go dlań w tej chwili i problemat tego, jakim ten dom jest, gdy on o nim nie myśli, też dla niego nie istnieje. Tu następuje podstawienie za negatywne twierdzenie, twierdzenia pozytywnego: za nie myślenie, nie wyobrażanie, za nieistnienie dla kogoś czegoś, podstawione jest zdanie (explicite), że to coś w danej chwili jest takiem samo dla siebie, jakiem jest w chwili spostrzegania. Gdyby zdrowy rozsądek to myślał i twierdził, to byłby nie zdrowym, ale chorym rozsądkiem: gdyby twierdził, że żółtość domu (czy żółty dom) trwa jako taka (i nie tylko dla niego ale i) przez nikogo niewidziana (!). Przecież na to, aby coś podobnego przypuścić Berkeley musiał wezwać samego Boga. Tego nie może zrobić Kotarbiński i dlatego wymyka się z uścisków problemu w ten sposób, że [illegible] wprowadza literalne wypowiedzi i jakieś „zastępcze", a „jakiemuś (!) zastępczem znaczeniu": co to jest właściwie i jakim cudem z rzeczy i ich własności skoczyliśmy nagle na wypowiedzi i to w dwóch rodzajach: literalne i zastępcze. Przenosząc w ten sposób zagadnienie z poglądu życiowego w naukowy (szkolny), a z tego znowu



w sferę form stosunków pojęciowych, zwalnia się Kotarbiński od rozwiązywania i, oczywiście, najostrzejsze rzeczywiste problemy filozofii zdają się dlań pozorne, jak problem stosunku treści do tego, co jest naprawdę, lub zagadnienie związane z nim: czemu są niespostrzegane „przedmioty". „Najprościej(!) zaś" — powiada Kotarbiński, — „zdamy sprawę z tego jako wypowiedź, za wypowiedzią pragnie się zastąpić, jeśli ją sformułujemy tak oto(!): „Gdym tej porcji chininy skosztował i spostrzegł, że jest gorzka, spostrzegłem to prawdziwie"! — Pomijając, że nie wiemy co to „prawdziwie spostrzegać" [bo jako takie spostrzeżenia są zawsze prawdziwe, a mogą nie być takiemi (kij złamany w wodzie) ze względu na (wszystkie swe z) innemi grupami spostrzeżeń, przyczem kryterjum ostatecznem są zawsze (we wszystkich nadkład wypadków pojedyńczych) jakości dotykowe] Kotarbiński najwyraźniej z realizmu (i to rady Kalnego!) przechodzi do jakiejś formy idealizmu czy też zgoła psychologizmu, bo przecie to jest klasyczna definicja (istnienia) przedmiotu poza naszemi spostrzeżeniami w obu tych kierunkach: w idealizmie są czort wie skąd się biorące „przyporządkowania" w świecie porajoinisowej złudy (t.zn. czegoś co wydaje się być czemś

istniejącem poza punktualnemi jaźniami „czysto duchowemi", bezcielesnemi — to ciało to też świat pogardzanej „empirji" a czegoś, co może być tylko złudą tej jaźni pozaprzestrzennej i ponadczasowej; w psychologizmie zaś istnienie przedmiotu poza aktualnym związkiem jakości (u Macha bezosobowym, u Corneliusa stanowiącym jedność w jedności danej osobowości) to prawo według którego, pod pewnemi warunkami występują pewne przeżycia, czyli wrażeń potem kompleksów jakości: Nie widzę, aby ostateczne wybrnięcie z sytuacji którą przyjmuje (i to radykalny) realista różniło się od wyżej wspomnianych rozwiązań, które powinny mu być z gruntu przeciwne, a nawet wstrętne. (Czem jest przedmiot poza postrzeganiem go, niezależny, a przecież odpowiedź na to pytanie właśnie powinna być istotną dla realizmu; poza jej realnem wytłumaczeniem wogóle niema realizmu wcale — jest poprostu idealizm, psychologizm ukryty (machowski) lub zgoła goły solipsyzm i dążyli tylko do wypowiedzi w sensie literalnym, a nie rozpraszanym (skąd wogóle wziął się ten problem — czy może gramatyka rozstrzygać ontologiczne problemy)

Pewno, że gdybyśmy wyrzucili wszędzie pojęcie wyobrażenia, zdania nasze przybrałyby formy tak potworne, że porozumienie istnień poszczególnych stałoby się wprost niemożliwe. Ale dlatego nie z tego jest tak rozumieć, że wyobrażenia są — nie do nich ich egzystencji zaprzeczyć. Oczywiście, że jeśli istnieją dla realisty tylko przedmioty

rzeczywyte i bezwładne, to wyobrażenia nie istnieją w tym sensie. Ale są różne sposoby istnienia: są byty same w sobie i to, co w pewien sposób (w danych bytach uprzedmiotowane) istnieje dla nich. Wyobrażenia, jako uważane na zawsze rzeczywistych w pewnym stopniu i ściśle lokalizowanych jakościach „żywych" też są rzeczywyste (dla nas, którzy je mamy –) czyż wyobrażenie stołu nie posiada rzeczywistości – inna rzecz, że nie zajmują miejsca w Rzeczywistej Przestrzeni, tylko w Przestrzeni Wyobrażeniowej, która jest ich miejscem. Możliwem jest, że terminu „wyobrażenie" możnaby ostatecznie wyrugować; ale czy to zmieniłoby w czem stan rzeczy, że [illegible] moje n. p. wyobrażenia, z chwilą kiedy są aktualne w pewien sposób istnieją (nie jako rzeczy) ale jako ich pewne odbicia (lub fantazje na ich temat) w mojem trwaniu). Ostatecznie możnaby zgodzić z tem, że jeśli powiem iż „Jan wyobraża" – jest rzeczą wyobrażającą" jest to prawie to samo, co powiedzieć, że „Jan [illegible] ma wyobrażenia". I gdyby tamto nazwanie Jana „rzeczą wyobrażającą" nie było czysto werbalnem i dawało istotne rozwiązanie najistotniejszego problemu istnienia, możnaby było się

mus. 74

[w zamian za nie] zgodzić się na najgorsze spotworzenie form 94 III językowych. ~~Ale~~ Ale to nie daje nic, prócz wmawiania w siebie oczywistej niemożliwości, opartej na „zaklęciach słownych". Nic nie pomoże oświadczenie co do „szerokiego rozumienia" słów stosującej do osób wyłącznie – problem sam się przez to nie usunie.

Dwa zarzuty dodatkowe

Zastanawiając się nad reizmem przychodzi się do zatrważających wniosków: ponieważ dowód na zniszczenie istnienia cech, stosunków itp. itp. w imię tego tylko, że nie są ~~0~~ rzeczy / to ~~może~~ istnieją tylko [i jedynie] rzeczy jest twierdzeniem dowolnem, i przy ograniczeniu samowolnem [jawnie wieloznacznego ~~[illegible]~~] pojęcia istnienia do jednego tylko znaczenia) nie jest przeprowadzony, a [dotyki,] kolory, [a dalej kropelki,] linijki itp. spostrzega się bezpośrednio, czy to jako składniki [czyli po prostu kompletności tych jakości, a szczególniej] „przedmiotów immanentnych", czy nawet wtedy, gdy przedmiot w wyjątkowych wypadkach cały jest nam bezpośrednio dany, bez rzutów po sobie następujących, lub częściowych takichże „obmacywań". Zawsze jednak rzecz, to coś [raczej] wtórnego, jeśli pominiemy dane nam bezpośrednio nasze ciało i wymienionych wypadków wyjątkowych (kulka w ręku, kawał bułki w gębie itp.), których to wypadków nikt zdaje się w ten ~~[illegible]~~ sposób, co tutaj, nie rozpatrywał.

A nawet w tych ostatnich wypadkach, gdzie się być wymagana pewna ilość doświadczeń, aby dany komplekt jakości scharakteryzować jako coś stałego i w pewnych granicach niezmiennego i pod pewnemi warunkami jako takiego powtarzalnego w swej identyczności, to jest rzecz jako taką, a co innego właściwie będzie naszem ciałem, którego istnienie jest warunkiem istnienia nas samych (po prostu które jest tem naszem najistotniejszem istnieniem) i naszych „doświadczeń".
Otóż na tem tle rozkładalności rzeczy na związki jakości i nierozkładalności ostatecznej tychże, chyba na niesamodzielne momenty: jakości formalnych i wypełniających, możemy równie dobrze dojść do przekonania (fikcyjnego z naszego punktu widzenia, jak i przekonania według nas nie poprzednie) że to nie jakości są hypostazami z nazw pozornych, ale właśnie rzeczy, pomijając oczywiście dane nam od środka, będące nami nasze ciało. Tsądzę, że to twierdzenie będzie albo tak samo dowolne, albo tak samo w swej dowolności nie odparte, jak twierdzenie realistyczne o nieistnieniu jakości.
Druga wątpliwość, która mi się nasuwa, i o której ogólnikowo wspominałem już pierwej, jest ta: czy ścisły realizmem

a psychologizmem (nawet skrajnym, typu Macha) naprawdę jest tak
wielka przepaść i antagonizm, czy nie
dałaby się ona sprowadzić do różnic
terminologicznych. Tak samo docho-
dzimy do zlekceważenia osobowości
jako takiej — rzeczy doznające to nie są jednak
takie prawdziwe zupełnie osoby — to coś innego:
ich doznania to ich właściwości,
a nie przeżycia — takie właściwości
jak „czerwoność" pudełka, lub
„dźwięczność" skrzypiec: osoby
te są „odpsychologizowane", pozbawione
tego najistotniejszego, co je od rzeczy
odróżnia: „bycia samego w sobie".
A jednak „rzecz doznająca" doznaje
gdy nikogo (żadnej innej „doznającej
rzeczy) w pokoju z nią nie ma, a
co się dzieje z innemi rzeczami
nie wiemy — to różnica dość istotna —
dla reisty to drobne nic nieznaczący.
Po drugie niektóre właściwości rzeczy (tout court, +
(czerwoność) są doznaniami „rzeczy doznających" a więc
pewnemi ich właściwościami samo dobrem jak ich „myśli" i bóle;
— te np. czerwoność
wyraźnie się rozdwajają, i jest i tem i
tamtem — reisty to nic nie obchodzi.
Gdzie jest linja demarkacyjna między
temi dwoma światami — niewiadomo.

Ale to są wszystko problemy dla reizmu, których za niego rozwiązywać nie możemy (ty względnie mogłyby być poddane dyskusji). Byłyby one do rozwiązania, o ile system reistyczny był rozwinięty w całości, a nie istniał w postaci luźnych twierdzeń niepopartych dowodami i gdyby między ~~[illegible]~~ tymi twierdzeniami nie było zbyt wiele luk, dotyczących kwestji najistotniejszych. Wracając jeszcze do analogji reizmu z psychologizmem, mimo wszelkich odżegnań się pierwszego od drugiego, nasuwają się następujące myśli: czy nie jest to prawie tosamo jeśli powiem, że istnieją tylko rzeczy i ich własności z niemi zespolone (przyczem robię pewną koncesję na rzecz dwoistości istnienia i nazywam pewne rzeczy „doznającemi”)*) czy też jeślibym twierdził, że ~~[illegible]~~ są tylko jakości w związkach istniejące, przyczem zakładam (jak Mach) również zamaskowany niezaprzeczalną dwoistością istnienia, że jakości są w dwóch (A,B,C... K,L,M...) względnie w trzech (co za luksus!) (=α,β,γ...) gatunkach. xx) Analogja rzuca się w oczy

(nota) xx) Ten ostatni podział jest sprowadzalny do jakości (K,L,M...) wewnętrznych (kombinacji) granicy (U) = granicy ciała [illegible]

*) Przydałaby się analiza pojęcia „doznawania”. Puszczone jako prosta właściwość zupełnie analogiczna do „czerwoności” n.p. strona rzeczy mówi nam, gdy tymczasem implikuje ono istnienie osobowości czaso-przestrzennych, o których w reizmie nic nie słychać, a których istnienie jest niezaprzeczalnym faktem.

pomimo pozornych przepaści dzielących dwa niby diametralnie przeciwne sobie poglądy: ponieważ w zasadzie nic nie możemy powiedzieć o rzeczy jak to, że jest związkiem właściwości, przynajmniej jak to z analizy pojęcia rzeczy wynika — (chyba, że ktoś posiada inną definicję rzeczy do której explicite się nie wypowiada) — więc ostatecznie zostają związane ze sobą jakości, które właśnie poprostu są rzeczą.

Chyba, żebyśmy (poza rozciągłością i bezwładem, które są tylko właściwościami) mieli jeszcze coś, na czem by te właściwości wisiały, a coby właściwością nie było, jak to jest z osobowością, inaczem polega niesprowadzalność jej jedynie do nadbytku i współistnienia kompleksów jakości jako takich, tylko wymaga przyjęcia jedności, która je łączy w sobie, a nie innej całości, jako odrębnego, choć niesamodzielnego momentu, ale nad to się jakoś nie zanosi: osobowość jest czemś więcej niż rzecz: istnieje sama dla siebie, a rzecz dla tej osobowości — pozaniż nie ma jej jakkolwiek musi coś jej istnieniu fenomenalnemu odpowiadać — bez tego nie mogłaby być fenomenem. Pozostaje w obu koncepcjach „bezosobowy skład rzeczy" (jak przystało na „naukowe" i oglądające się o filozofii naturalistyki koncepcje),

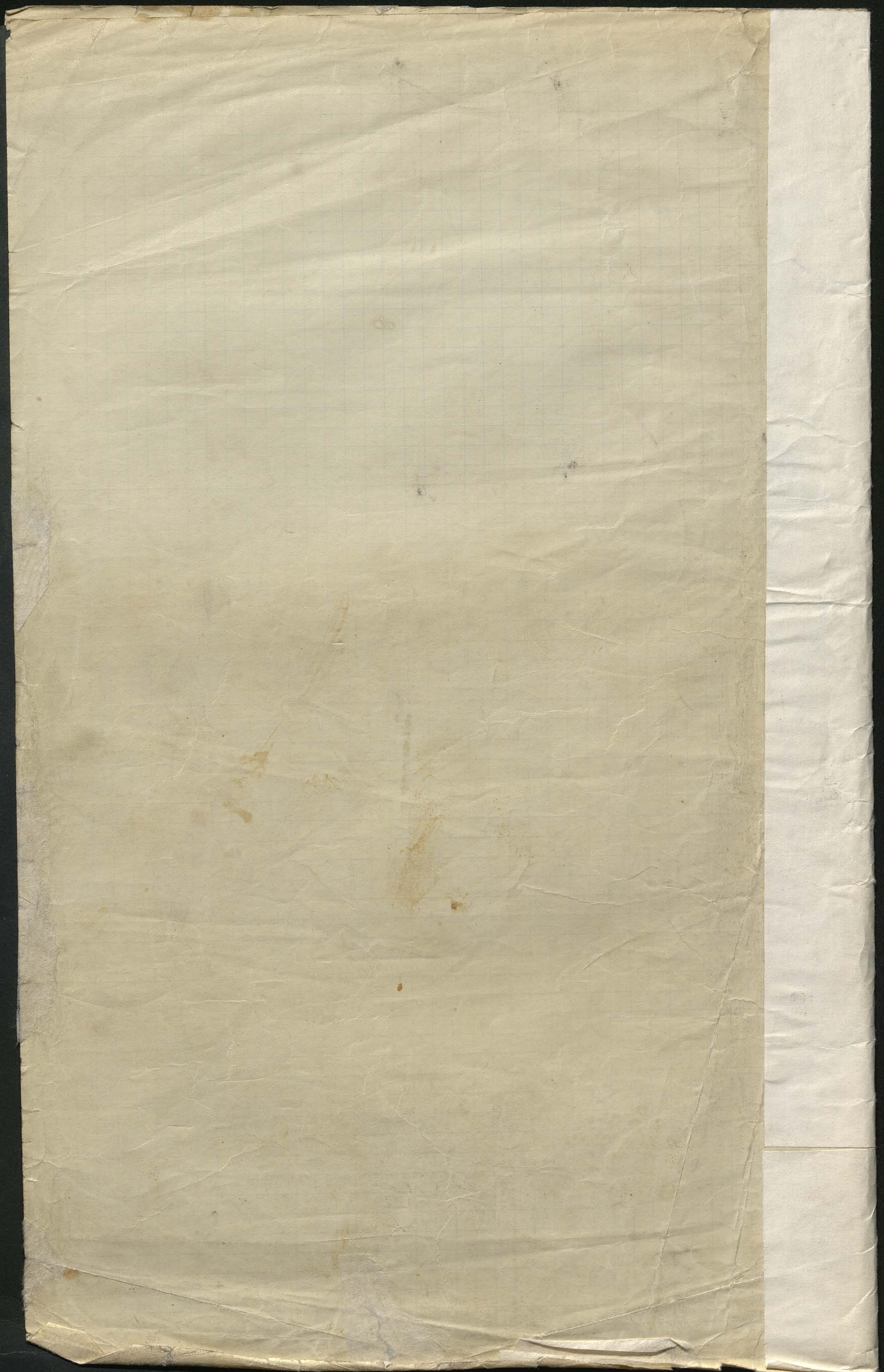
w którym wyróżniają się dwa momenty niesamodzielne: [illegible] jakości, lub własności z jednej strony — zrostki lub rzeczy z drugiej. Oczywiście tylko początek [illegible] sam obu koncepcji jest prawie jednakowy: dalej z nazwania samego większych całości jakości czy własności, zrostkami jakości czy rzeczami posiadającemi własności, wynikają konsekwencje implikowane przez nazwy te początkowo obojętne. Polega to głównie w zasadzie na tem, że przyjmujemy do wiedzy pojęcie rzeczy z poglądu życiowego, obarczone całą ontologją tego poglądu: pewną fikcję (coś, co jawi się w toku czegoś, cobyśmy mogli podstawić za rzecz powiązaną własnościami) bierzemy za rzeczywistość w jakiemś nieokreślonem bliżej znaczeniu i następnie przyjmujemy ją za taką samą na wyższej płaszczyźnie rozważań filozoficznych i wtedy dopiero popełniamy hypostazę pojęcia rzeczy z poglądu życiowego, w [illegible] wprowadzając ją nieanalizowaną w pogląd, w którym ona ma funkcjonować jako coś ostatecznego — przyczem nie zdajemy konsekwentnie sprawy z istnienia jakości wolnych, istnienia rzeczy (własności) powiązanej doznawaniem przez „rzeczy doznające" i t. p.

Mimo swoistych braków (samoskonanego przyjęcia przez osobowości pod postacią związku, nie zdania sprawy z wielości tych osobowości (do Corneliusa mniej stosuje się ten zarzut niż do Macha) i t.p.) braków, które czynią ten pogląd również jak i fizykalizm i realizm nie-samowystarczającym jeśli chodzi o opis adekwatny całości Istnienia, a przedstawiających tylko część prawdy absolutnej o tem Istnieniu, nie można psychologizmowi ~~[illegible]~~ (zrobić) tak ciężkich zarzutów, jak te które zrobiliśmy dla realizmowi: Jest on bardziej zwarty i konsekwentny, nie ma tylu luk niezapełnionych (n.p. ze sprowadzalności poglądu fizykalnego do terminów psychologistycznych, oraz z wyrażalności pierwszego w terminach drugiego,) i z wielu problemów zdaje sprawę bez reszty, mimo całej swej ostatecznej sztuczności. Przez chęć pozostania ~~[illegible]~~ bliżej (niż psychologizm) zdrowego rozsądku t.j. poglądu życiowego, realizm zabrnął w fantastyczność przewyższającą pogląd psychologistyczny, przy pozorach zupełnej normalności i antymetafizyczności.

100 III.

Koniec 11/XI 1934 NDWT

140
45
185 zł



1934

2) maszynopis niekompletny

k. 1-9 obecnie kart 34 (z poprawkami)

15-58

62-64

68-74 [odpowiada [illegible] k. 94]

brak. k. 10-14 t. odpowiada [illegible] k. 12-18

brak k. 59-61 t. „ „ „ k. 73-77

brak k. 65-67 t. „ „ „ k. 81-85

brak k. 75-77 „ „ „ k. 94-101

Krytyka "reizmu"

Poglądu ~~Tadeusza~~ Kotarbińskiego.

W s t ę p .

Ekspozycja doktryny reistycznej jest krótka, - za krótka według mnie i nie rozwinięta w szczegółach, a nawet w partjach, które są najważniejsze dla każdego systemu; postaram się zastosować do tej krótkości krótkość krytyki, jakkolwiek nie wiem, czy w pewnem miejscu nie będę znowu zbyt zdopingowany do przedstawienia moich własnych poglądów. Właściwie tak powinno być, żeby krytykujący podawał swoje rozwiązania w miejsce tych, które obala, czy stara się obalić. Zwykle "brak miejsca", ten przeklęty brak miejsca na rzeczy najistotniejsze, podczas gdy tyle go się zostawia na bezwartościowe bzdury, nie pozwala nigdy na wyczerpującą, istotną, t.zw. "twórczą" krytykę, w której krytykujący pogłębia i uzasadnia własne swe stanowisko. Załatwianie się sumaryczne ze wszystkiem, jaknajpowierzchowniej, bez istotnego na to prawa, to jest bez posiadania własnych poglądów, któreby można danej rzeczy przeciwstawić, jest na porządku dziennym. Istnieją nawet "spece" i od tego: czyste negatywy, które potrafią każdą rzecz wywrócić podszewką do góry, i w tej czynności materjali[illegible] się sami dla siebie pozytywnie. Nic niema gorszego, jak ze[illegible] krytycyzm. Nie wiem jak w naszej filozofji, ale w literat[illegible] typ ludzi odegrał stanowczo złowrogą rolę w upadku na[illegible] [illegible]ennej kultury. Bo upadek jest, na to nie ma co zakry[illegible] [illegible]zeba patrzeć prawdzie w jej wstrętny czasem pysk [illegible] [illegible] nadrobić, zamiast tonąć w płaskim optymiźmie i

./.

tanich "nawoływankach", a jednocześnie podcinać każdy wysiłek istotny, w imię swych paru groszy od wiersza i własnej pełnej miski. Nie chcę być takim krytykiem i mogę wszystkiemu przeciwstawić mój własny pogląd; jaki on jest to jest, ale nie jest lekkomyślną, ad hoc skleconą "konstrukcją", tylko czemś wypracowanem powoli, z przekonaniem zdobytem, raczej przez eliminację innych poglądów, a nie przez zacietrzewienie się inicjalne i fanatyzm brnięcia dalej, skoro się już raz w to wlazło. Amator bez żadnego naukowego stopnia wypowiada walkę zawodowemu uczonemu, dla którego ma jednocześnie najgłębszy szacunek i podziw dla jego czystego umiłowania prawdy, bez żadnych ubocznych ambicyjek życiowych, jako też głęboką osobistą sympatję - sytuacja niebezpieczna. Tem nie mniej muszę podjąć tę nierówną walkę, a ponieważ kiedyś byłem fighting-manem z natury i resztki tej właściwości, nie zabitej dotąd zniechęceniem z powodu nie natrafienia na odpowiedniego kalibru wrogów /to wielki pech - gorszy niż brak przyjaciół/, tlą się, że tak się poetycznie wyrażę, na dnie mojej istoty, a Kotarbiński to jest "un gros gibier" /k w. Książę dla tego rewolucjonisty z jakiejś powieści/, więc ponosi mnie czasem polemiczna wściekłość, za co zgóry "ofiary" moje przepraszam. Chodzi o to, aby Go /przeciwnika mego/ sprowokować do napisania wyczerpującego przedstawienia Jego doktryny, co dla filozofji polskiej miałoby wagę pierwszorzędną, tembardziej na tle zupełnego prawie braku samodzielnej myśli filozoficznej u nas.

./.

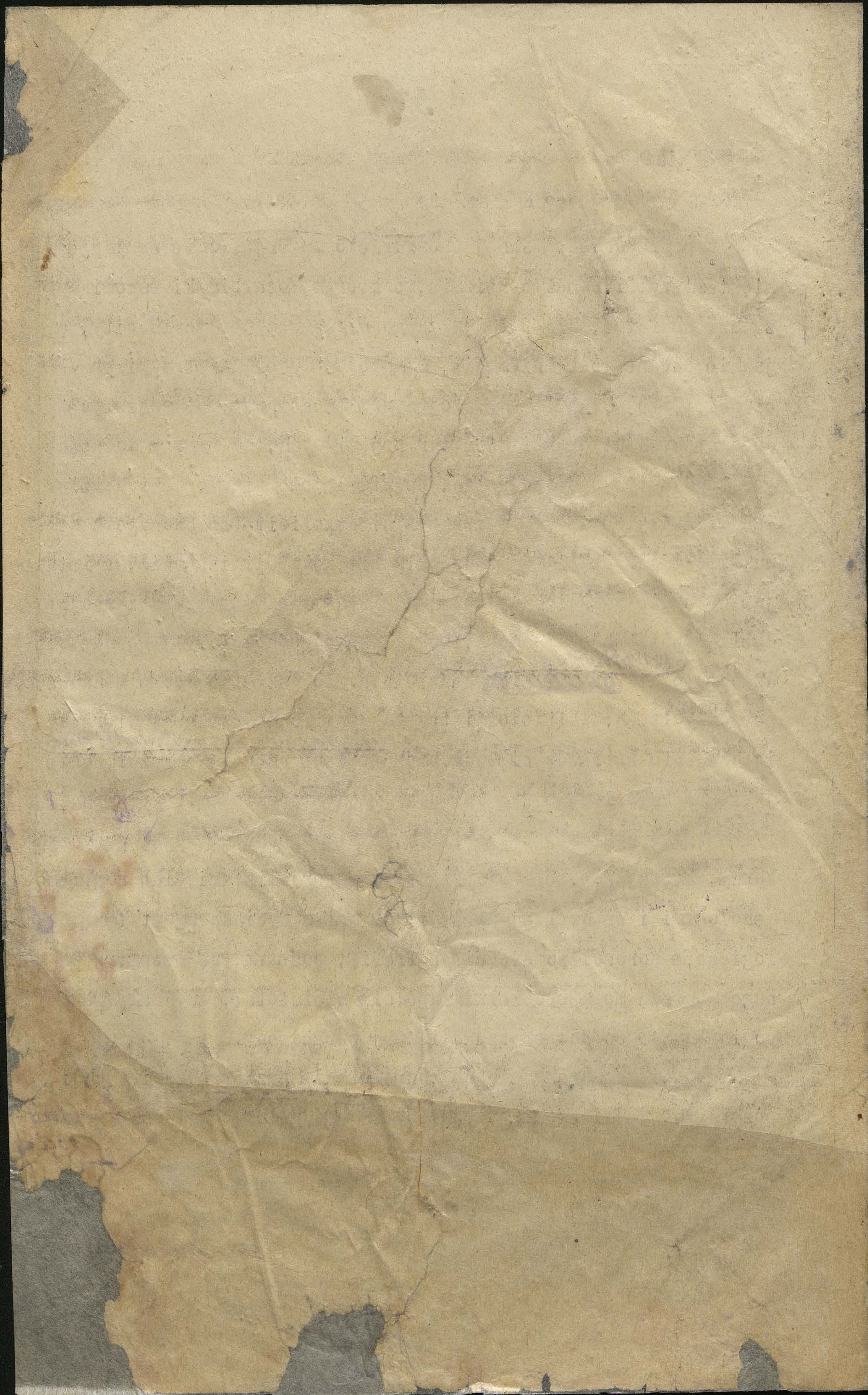
104

1

W poprzednio opisanej broszurze mojego przeciwnika o materjaliźmie znajduje się też krótki pasaż o reiźmie, o którym Kotarbiński wspomina zawsze pokrótce, nie rozwijając go nigdy w system całkowity, a jawnie błędne jest mniemanie, że skończyły się systemy i przyczynki tylko są coś warte. Pojedyńcze koncepcje, nie należące do szerszych utworów i struktur pojęciowych, są zawsze do pewnego stopnia tylko sprawdzalne, bo niewiadomo nigdy, jaki będzie ich stosunek do innych twierdzeń nie-explicite założonego systemu, który jednak nie jest do całkowitego wyeliminowania, a istniejąc w formie mgławicowej, może łudzić swą prawdziwością i swoją "self-consistence" /samobytnością, samozgodnością?/ jego nie wiedzącego o nim wszystkiego do końca właściciela. To wszystko dobre w naukach poszczególnych: w filozofji trzeba wywalić wszystko na wierzch - inaczej nic naprawdę nie wiadomo, a przedewszystkiem nieprawdziwem być może, czy dane częściowe rozwiązanie jakiegoś częściowego zagadnienia jest istotnie wartościowem. A płodna jest tylko walka systemów całkowitych, a nie drobne utarczki przyczynkarzy, którzy n.p. mogą być zakutemi materjalistami, lub n.p. fenomenologami i na drobnej kwestji, na małym wycinku nawet terminologicznie porozumieć się nie potrafią, pozatem, że wewnątrz danego poglądu mogą być walki zupełnie nieistotne, gdy cały gmach powinien być co do konstrukcji swej sprawdzony.

Zupełnie zgadzamy się na rozróżnienie nazw rzeczywistych i pozornych, jeśli zgóry przyjmiemy za coś, godnego uważania go za

./.



rzeczywiste tylko rzecz materjalną bezwładną i rozciągłą x/ , a resztę nazwiemy nie-przedmiotami, tylko czort wie czem na razie. Ale jakiem prawem tak postępujemy? Bo albo to jest tylko kwestja terminologiczna, kwestja przyjęcia pewnej konwencji tylko, albo też ma ona podłoże ontologiczne i pod pozorami czysto nieomal gramatycznych problemów implikuje jakąś ontologję. Otóż tu jest jedno ze źródeł reizmu, o wykrycie których nam chodzi, raczej nie wykrycie, bo dość otwarcie się one demonstrują, a [illegible] o skrytykowanie faktu ich niepokojącej różnorodności. Dlaczego jednak, przyznając całe pierwszeństwo rozciągłym względnie twardym, względnie nieprzenikliwym i względnie zachowującym swą postać przedmiotom, tak postponować wszystko, co nie jest takiem właśnie i traktować na równi z "flogistonem", a nawet "kretesem" /!!/ - tego już nie rozumiem. Dla mnie jest stan rzeczy, posiadający momenty niesamodzielne, które w naturalnej abstrakcji przez występowanie jednego n.p. z nich jako takiego wyraźnie na tle innych mniej wyraźnych /będących w tle zmięszanem świadomości bliżej lub dalej od danego momentu; co do wyraźności i sąsiedztwa czasowego i przestrzennego = teorja prawie nieznanego u nas niestety Corneliusa/ z tego stanu rzeczy wyławiamy; przykład: jabłko, jego kolor i forma. Przyjąwszy już za dogmat /inaczej

---

x/ Otóż zaznaczam dodatkowo, że żaden stwór żywy jako taki t.zn. w danym rzędzie wielkości, w którym go za żywy uważamy, nie jest doskonale bezwładny - tylko zbiorowiska /IPN/, składające /MM/ są w przybliżeniu danem, do którejś tam dziesiętnej doskonałe

./.

nie jest on wprowadzony w reiźmie - puszczony jest bez dowodu/, że pierwszym /i ostatnim/ elementem istnienia są rzeczy i ich własności, dla czego mamy odmówić tym własnościom pewnej rzeczywistości samoistnej, kiedy faktycznie czasem występują one nawet bez rzeczy i to nie tylko jako te własności, które zwykle rzeczy dla nas konstytują /n.p.barwy/, ale jako faktycznie oddzielne jakości w znaczeniu psychologistycznem n.p. zapachy i dźwięki, które ostatecznie luźniej /conajmniej, jeśli nie luźno zupełnie - <u>oczywiście jeśli chodzi o bezpośrednie przeżywanie, a nie o wiedzę naszą o naturze</u>/ skojarzeniowo raczej, są z rzeczami związane. Stanowisko to /reistyczne/ wciąga nas w wiele bezwyjściowych komplikacji i, pod pozorami monizmu, stwarza podział [rzeczywistości] tylko nie naturalny, a wymuszony w innem miejscu, z którego potem musimy wybrnąć przy pomocy dziwnego słówka "jakoś", które tak lubi Kotarbiński - "jakoś" się słyszy jeden ton - ja wiem, to dźwięczną jest zeschła barania kiszka, pociągana jakoś naprężonym na drewienku końskim ogonem, przecież to,że dźwięczy ton "to tyle" /drugie ulubione "Rea[illegible]itätsverarmende" powiedzonko Kotarbińskiego/, co właśnie wyżej wspomniana operacja, a nie operacja, to hypostaza - więc [powiedzmy] jakieś ustosunkowanie się dwóch rzeczy w ten sposób /ale ustosunkowanie się to też hypostaza - jakże u djabła to opisać? - ja nie mam reistycznej pomysłowości/, że jedna trze o drugą - niema tarcia, są [rzeczy, które się] trące [illegible], niema obłapki są tylko obłapiające się stwory różnej płci - już wiem: są trące się rzeczy: jedna jest od tego dźwięczna i to "jakoś" się słyszy - co to jest ton jako taki niewiadomo: tego niema - "ton jako taki" to hypostaza. Tu jest coś naciągniętego - to

./.

się wyczuwa bezwzględnie, ale to że tak jest trzeba udowodnić, a to jest trudniejsze zadanie. Ale chodzi też o to, co się dostaje wzamian za przymuszenie się do wżycia się w "rzeczywistość reistyczną", jakby powiedział wielki demon intelektu Leon Chwistek. Ale przecież to jego pierwsza rzeczywistość - popularna "rzeczywistość rzeczy" - jesteśmy więc u siebie - pozornie tylko. Między reizmem a jedną "biedną" rzeczywistością Chwistka popularną, jest przepaść. Reizm to pogląd filozoficzny - rzeczywistość ta to tylko nazwany tak poczciwy pogląd życiowy, aby stworzyć nim ludzi, aby udawali później w słowie i piśmie, że to Chwistek nauczył ich, że może rzeczywistość, jeśli nie wieloraka, to w każdym razie jest różnorodna. Niedługo może na zdania, że noże są do krajania, a krzesła do siedzenia, trzeba się będzie powoływać na odkrywcę tych "prawd" Chwistka - wszystko jest możliwe. Otóż czemu zaraz tak strasznie pogardzać wszystkiem, co ma nazwę pozorną? Zmięszane są tam w czambuł rzeczy tak różnorodne, jak: czerwień, długość, przesuwanie się /flogiston/, wrażliwość, rozciągłość, /kretes/, że trudno się połapać kto za co był skazany na banicję z rzeczywistości. Kretes i flogiston, wymienieni w tej serji przez autora reizmu, ale jednak pod ogólnem pogardliwem mianem "nazwy pozornej" lub bezprzedmiotowej umieszczeni zostali między innemi dla urozmaicenia. Towarzystwo jak z paryskiego "panier à salade", żółtego wozu, który co 20 minut przywozi do "Depôt" /pierwsza segregacja/ różne zebrane z miasta typki: od warjatów począwszy do rzezimieszków i zbrodniarzy. Wiemy,że pansomatysta, a z nim okazuje się reista, bo to prawie, czy nawet zupełnie jedno, odrzucił sobie poprostu istnienie cech,stosunków, dyspozycji, zdarzeń i t.p., a nazwy tego "czort wie czego" uznał za nazwy pozorne i bezprzedmiotowe - do pierwszych bę-

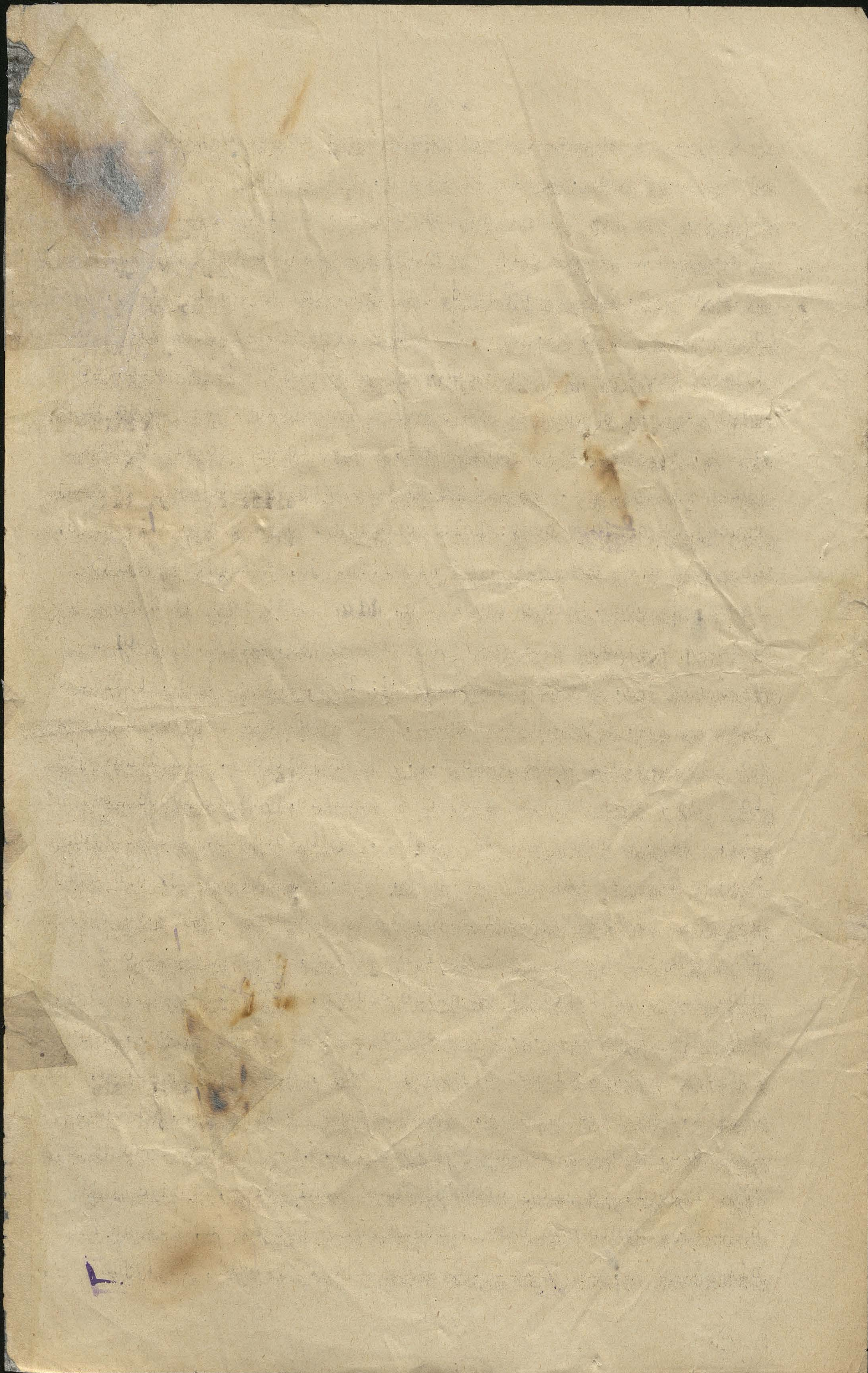
./.

dzie należeć czerwień, do drugich - flogiston. Więc jakaś różnica między temi, jak będę je nazywał, "istnościami" jest. Gdyby pojęcie "przedmiotu" nie zostało najpierw rozdęte, jako obejmujące wszystko, to co ja nazywam "istnościami" czyli "cosiami" o różnych sposobach istnienia, zakładając zgóry, że za jeden byt istotny, pierwotny, uznaję byt sam w sobie, t.j.istnienie żywego stworu samego dla siebie, a wszystkie te inne sposoby istnienia od niego pochodne i to na różne znów sposoby pochodne, tak że dzielą je między sobą przepaści. Jednak ostatecznie w przestrzeni, według koncepcji monadystycznej, nic nie ma, prócz /IPN/, według reistycznej - prócz rzeczy, ale w dwóch rodzajach. I tu mamy to samo, co z psychologizmem: niby zupełny monizm: jakości i nic więcej. Ale potem odrazu jakości w dwóch rodzajach: wewnętrznych i zewnętrznych, a potem α,β,γ = uczucia, a potem związki, jakości w "jaźniach", tylko silniej związane i t.p. i.t.p., nie mówiąc już o pojęciu "ja" jako praktycznej jednostce, i o ekonomji myślenia /skąd bierze się w kupie związanych co prawda jakości "praktyczność" i "ekonomja"?/. W reiźmie też: tylko rzeczy, nic tylko rzeczy i ich własności. Ale odrazu są rzeczy nie-doznające i doznające /zwracam uwagę, że pozytywna definicja materji martwej jest niemożliwa: określamy ją zawsze jako nie-żyjącą, bo pewien bezwład, pewien powtarzam i rozciągłość są też właściwościami /MŻI/ = Materji Zywej Zindywidualizowanej - innej niema; drugi atrybut ruch: to co nie ma ruchu dowolnego i t.p.; do tego powrócę później/, a odróżniają się od siebie właściwościami, które w nie-doznających się nie powtarzają. Odrazu pozorny monizm jest zachwiany - okazuje się czysto werbalnem założeniem. Jeśli reizm prowadzi do monadyzmu - jestem reistą, jeśli nie, muszę go zwalczać jako pozorny monizm - to gorsze niż "pozorna nazwa". Otóż to odrzucenie całej tej kupy

./.

istności pod etykietą nazw pozornych i bezprzedmiotowych jest zupełnie dowolne: robi się to tak, jak "epoché" Husserla, bez dowodu, bez podania powodów choćby - skutki mają się okazać: okazują się według mnie złe - tworzy się pozornie coś wyjaśniającego system, który nie jest opisem rzeczywistości takiej, jaką ona faktycznie jest. Muszę przejść jednak kilka zasadniczych typów "istności" odrzuconych, aby zaznaczyć ich różnice, które Kotarbiński, uniesiony ich jedną wadą wspólną: że nie są rzeczami rozciągłemi i bezwładnemi, zupełnie pod etykietą "nazwy pozornej" zamazał. A więc weźmy na razie "banitę" najbardziej rzucającego się w oczy: kolor czerwony. Czy można powiedzieć, że kolor czerwony jako taki nie istnieje, a istnieje tylko rzecz, czerwona. Ale od samego początku, wszystkie najtęższe łby świata, analizują od wieków pojęcie rzeczy, nic nie mogły w niej znaleźć, prócz jej własności: 1/ analitycznych, tkwiących w definicji, czy syntetycznych, które można było zdobyć przez doświadczenie /rozciągłość n.p.z jednej strony, a z drugiej topliwość przy odpowiedniej temperaturze, czy zdolność spalania się, albo rozpuszczania w wodzie/; 2/ istotnych, bez których rzecz ta jest nie do pomyślenia, należących jakby do niej samej, a nie do naszego jej odczuwania i tych, które w nas powstają pod wpływem ukrytych tej rzeczy własności istotnych, które jednak bezpośrednio poznajemy tylko przez nasze czucia, których rzecz jako taka sama nie posiada /n.p.forma czyli kształt danej rzeczy, jej ciężar i nieprzenikliwość z jednej strony, a z drugiej barwa,smak, zapach, zdolność takiego, a nie innego dźwięczenia, zimność i ciepłość, szorstkość lub gładkość i t.p. - chociaż te ostatnie właściwości, to jakby drobne właściwości formy, a więc jakby bardziej istotne od barwy, która znika bez śladu, gdy na nią nie patrzymy/ ale jeśli tak dalej będziemy szli, to dojdziemy,

./.



że i barwy i zapachy to też "właściwości formy" pewneg[illegible] bo rzecz tę rozbijemy na drobiny /dla zapachów/ na el[illegible] drgające, czy coś tam takiego, /dla barw/ i znowu mamy [illegible]woś-ci "formy" - trochę inne, bo wyrażone przez różne rozmieszczenia cząstek jednorodnych. Drobiny też sprowadziliśmy do wspólnego mianownika z całą rzeczą - do elektronów/ do różnych układów, jakości formalnych przestrzennych, zmiennych, t.zn. do (właściwie układów) cząstek, zmieniających w pewnych określonych granicach, czyli prawidłowo, swą lokalizację. Otóż bezwzględnie jest jakaś różnica istotna między pierwszemi i drugorzędnemi własnościami rzeczy, tu Locke miał napewno rację, mimo iż prawdą również jest, że wszystko ostatecznie do następstw kompleksów jakości się sprowadza, o ile rozpatrujemy byt sam dla siebie, czyli /IP/ od środka, czyli kiedy jesteśmy w poglądzie psychologistycznym. Te pierwsze własności rzeczy nie potrzebują być w pierwszem przetransponowaniu na pogląd fizykalny tłomaczone ilościowo - dalej oczywiście tak jak wszystko sprowadzone będą do wspólnego mianownika: energji, jak i tony, barwy, zapachy i smaki; ale na razie rozciągłość, ciężar i nieprzenikliwość przechodzą jako objektywne właściwości rzeczy, podczas gdy w tem ujęciu powyższe jakości drugorzędne, znikają zupełnie wraz ze zniknięciem /IP/, traktowanego od środka, co ma miejsce jeśli przechodzimy na pogląd z punktu widzenia (w dalszem rozwinięciu pogląd fizykalny), który bierzemy wprost z niezróżniczkowanej masy poglądu życiowego, w którym mamy poglądy: z punktu widzenia /IP/ od środka i ten całościowy, zmięszane razem w jedną teoretycznie bezkształtną, a życiowo pożyteczną kupę. Przy dalszem ufizykalnieniu oczywiście różnice się zacierają: "objektywne własności rzeczy" jeszcze bardzo pachnące stosunkiem do "istności" z poglądu życiowego, w jego psychologistycznej części [tam gdzie mowa o "ja", o /IP/ od środka]

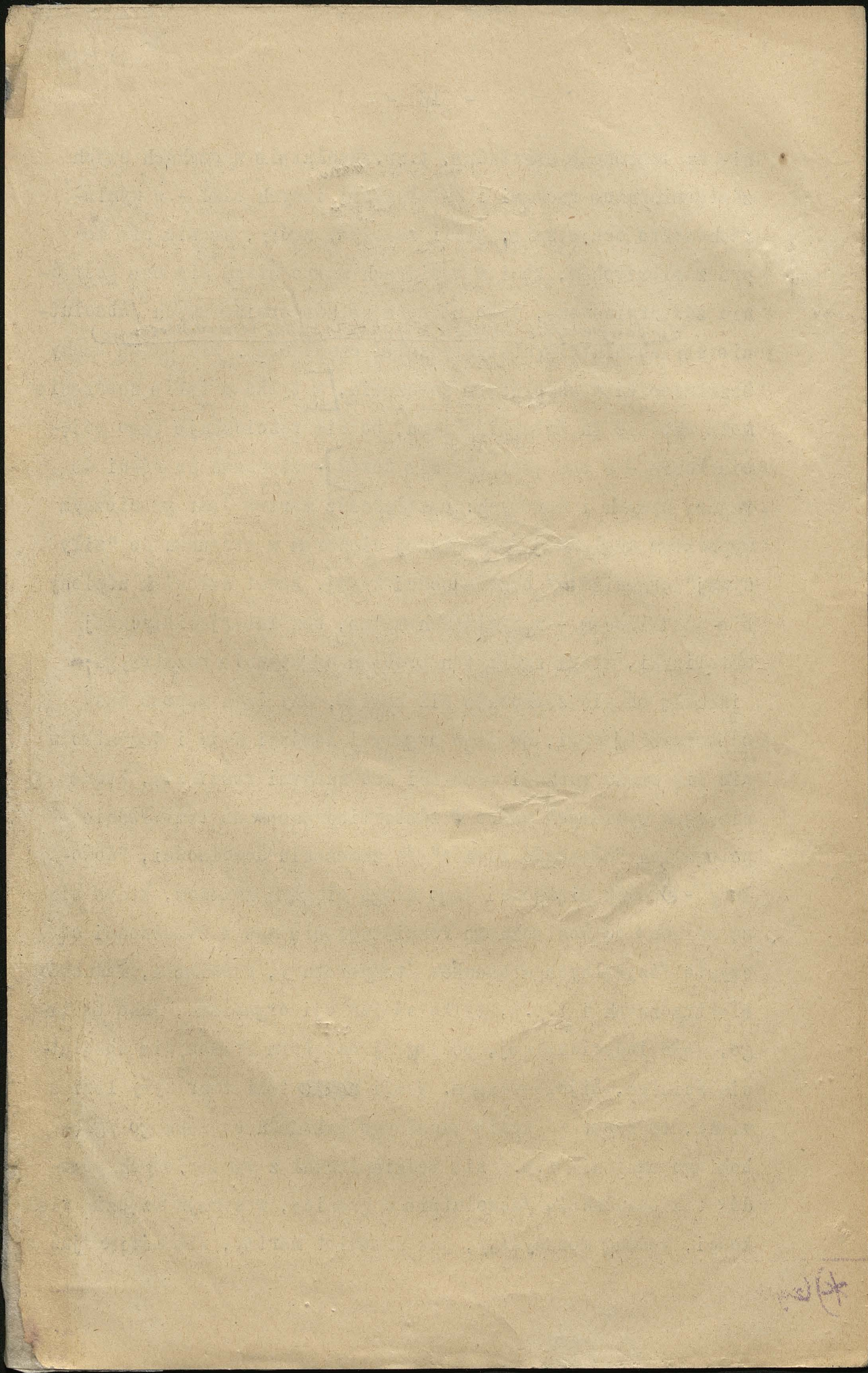
./.

k. 12[illegible]

ce tego kierunku, zbyt już niesłusznej i nie podnoszącej żadnych zasług jego twórców. /Czyż Cornelius nigdy nie będzie u nas znany?/. Ten to związek ostaje się jako coś w znaczeniu własnościowem fikcyjnego, nienamacalnego, a jednak rzeczywistego: trzeba sobie uświadomić, że rozpatrywanie rzeczy, jako przedmiotu imanentnego, niszczy ją zupełnie po odebraniu jej własności statyszych, nieruchomych. Dopiero jako "przedmiot transcendentny" /konstytuowany na tle poprzednich doświadczeń, a następnie wyobrażeń i oczekiwań/ rzecz zostaje, po odebraniu jej własności, jako ich możliwy związek w czasie, przy różnych jej aspektach. Chociaż i ta zasada nie jest bezwzględna, bo możemy mieć rzecz daną bezpośrednio w jakościach dotykowych /kulka w ręku, bułka w gębie/ odrazu, a nie w następujących po sobie aspektach /Abschattungen Husserla/. Chodzi mi tu o to, że puszczenie pojęcia rzeczy jako czegoś pierwotnego /z dodatkiem co ma własności - jak? - samo w sobie, czy dla nas? - czy rzeczywiste, czy złudzeniowe? w jakiem znaczeniu? czy to też fakt pierwotny i nieobjaśnialny: mieć własności i być rzeczą/ bez analizy tego pojęcia jest o tyle niebezpieczne, że powoduje złudzenia dość łatwo rozpraszalne, poczem całe "wyjaśnienie" problemu i monizm, który u początku tej koncepcji może tak bardzo cieszyć, zdają się dość iluzoryczne. Ciekawem jest również to, że nie możemy podać definicji rzeczy martwej w stosunku do żywej /definicji różniczkowej/, jak tylko w sposób negatywny: jako czegoś nie-żyjącego; bo rozciągłość, nie-przenikliwość i ciężar mają również "rzeczy doznające". Następnie musimy zauważyć, że właśnie "ciała żywe" czyli "rzeczy doznające" /mówiąc "naukowo" bez cienia metafizyki - hehe - /jak mówiono za czasów Młodej Polski/ z wyjątkiem metafizyki materjalistycznej/

./.

nie są doskonale bezwładne, t.zn. absolutnie w ruchach swych zdeterminowane ruchami i działaniami innych ciał - w wymiarach makro oczywiście; jeśli założymy zgóry, że nic nie ma prócz elektronów, to i w wymiarach makro staną się one pośrednio zdeterminowane, jako złożone ze zdeterminowanych /absolutnie czy absolutnie (w danym rzędzie wielkości, a ogólnie względnie zdeterminowanych) statystycznie/ cząsteczek. Nie można cechy bezwładności w absolutnem znaczeniu, [a tylko o takie znaczenie może chodzić tu Kotarbińskiemu, bo nie różniczkuje tego pojęcia wcale - w tem jest właśnie dowód] - stosować na równi do rzeczy żywych i martwych: bezwładność martwa jest granicznym wypadkiem względnej /określonej ciężarem w stosunku do "siły żywej" organizmu/ bezwładności żywej. Nawet człowiek uśpiony nie jest klocem - w wymiarach makro, bez materjalistycznej metafizyki, która zgóry ten problem negatywnie rozstrzyga; inaczej on się zachowuje niż kamień, czy inna martwa masa odpowiedniej wagi, bo jego organy i komórki żyją i wszystko w nim się rusza ruchami własnemi lub ruchami rośnięcia, które nie są w wymiarach makro zdeterminowane; na tem właśnie polega ich "własność ruchów" /w znaczeniu dowolności, "dowołu"/ - środek ciężkości jego ulega ciągłym zmianom, które nie są zależne od koniecznego rozmieszczenia mas w zależności od czysto fizykalnych stosunków /temperatury, ciśnienia, ładunków elektrycznych i t.p./, tylko od funkcji organizmu, jako takiego, jako indywidualnej, podległej odrębnym prawom, nie absolutnie ścisłym, bijologicznym. Jeśli taki twór żywy leci z wieży, to nawet w stanie zupełnego bezwładu cielesnego /głębokiego omdlenia n.p./ nie będzie leciał z wymienionych powodów tak bezwładnie /absolutnie w granicy, w naszym rzędzie wielkości, według monadysty/, jak przemiot martwy, nie mówiąc już o



wypadku, w którymby się ruszał, odpychając się nogami i rękami n.p. o powietrze, lub inne jakie medjum, bo próżni absolutnych "w istnieniu" nie możemy sobie pomyśleć, jako jakichś kawałków Nicości Absolutnej i spadanie w próżni, jak i wszelkie "zjawiska w próżni", są tylko wypadkami granicznemi, czyli fikcjami fizyki teoretycznej. To samo stosuje się do istot żywych, nie obdarzonych ruchem: roślin, kwiatów i t.p. Tylko z bardzo grubem przybliżeniem możemy, zdając sobie sprawę z całej niedokładności postępowania, traktować je jako kawałki materji martwej, w związku z ich rzekomą bezwładnością: pewna bezwładność względna oczywiście jest, ale tu chodzi przecie /o ile mowa jest o fizyce/ o wartości absolutne - najmniejsze odchylenie rujnuje momentalnie cały gmach fizyki, w której tle musi być, mimo praktycznych niedokładności, stale uświadamiany ideał absolutnej, matematycznej dokładności, nawet jeśli prawa jej są tylko statystyczne: u podstaw statystyki w danym wymiarze, w danym rzędzie wielkości, musi być założony porządek absolutny w rzędzie o jeden poniżej, u źródeł porządku danego w wymiarze makro - exemplum: teoretyczna wyliczalność każdej cząstki w teorji kinetycznej gazów, ułomnościowa jedynie niewyznaczalność jednoczesna szybkości i położenia indywidualnego elektronu, a tylko ich wielkich stosunkowo mas.*) Otóż czy mamy prawo powiedzieć, że rzecz to związek i tem zadowolnić się, jak tego chce Cornelius? Mnie się zdaje, że nie: możemy powiedzieć, że rzecz to dla nas związek prawidłowy jakości, to prawo, które wyraża możliwe następstwo jakości w naszem trwaniu; ale poza tem czem jest dla nas, rzecz musi być czemś sama dla siebie, a ponieważ nic prócz żywych stworów samo dla siebie istnieć nie może, a rzeczy żywemi stworami, jak dla animistów, dla nas nie są, więc muszą być zbiorowiskami /IPN/ - to jest skrócony argument monadystyczny; inaczej jesteśmy w zu-

---

*) Cząsteczka martwa, o objektywnie dowolnych ruchach, jest pojęciem sprzecznem.

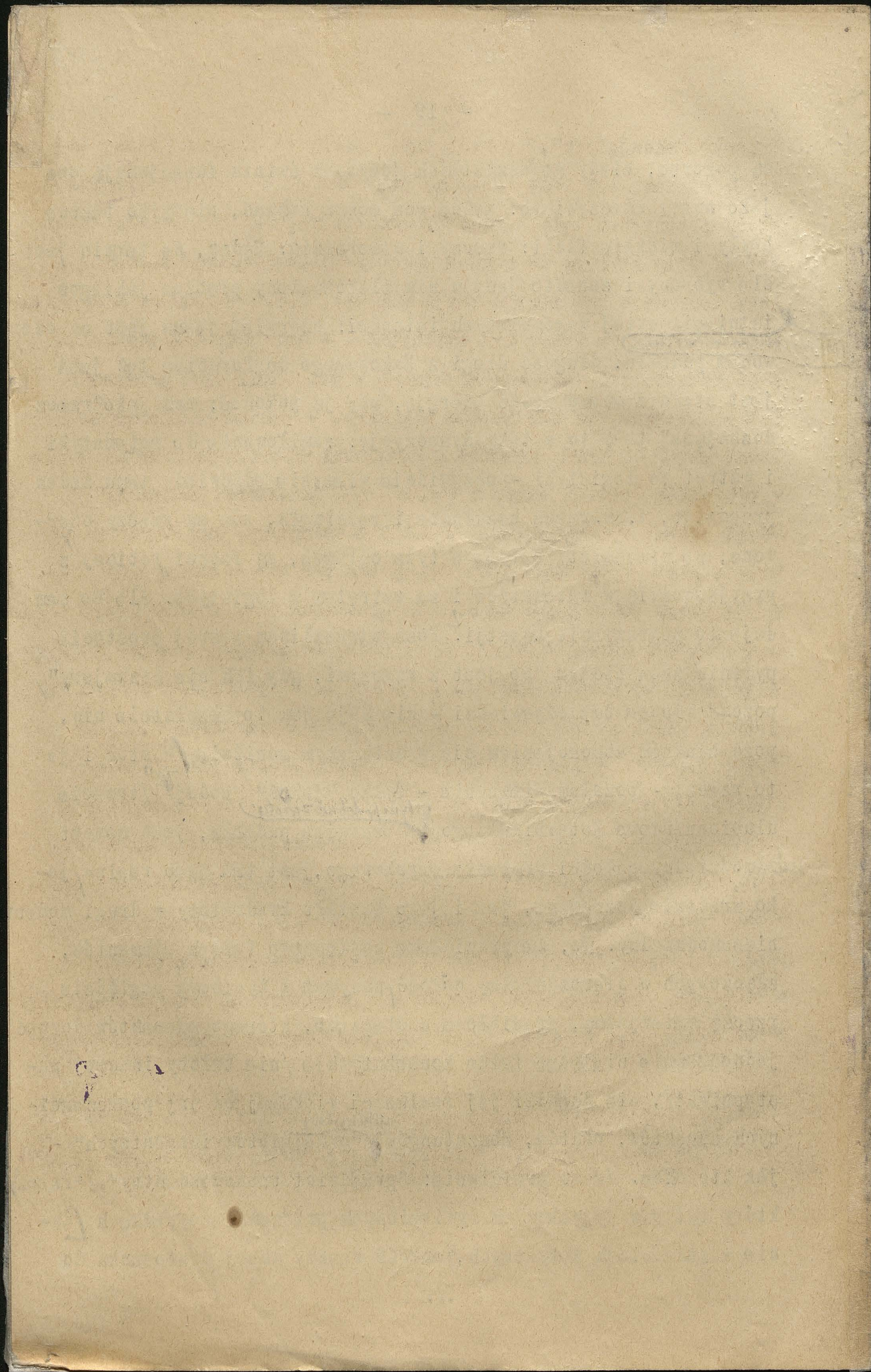
pełnym idealiźmie: są tylko tajemnicze „przyporządkowania” niczem nie gorsze od leibnizowskiej przedustanowionej harmonji. Reizm, z tego czem są (martwe) rzeczy poza naszą ich percepcją, sprawy nie zdaje i nie może wyrazić ich przez związek jakości dla nas, bo nie uznaje jakości. Ale nawet czem są rzeczy poza ich własnościami dla nas, a nie tylko poza naszą (aktualną) percepcją, reizm nie mówi: poprostu są rzeczy, „jakoś” istnieją, chyba, że czystą rozciągłość uznamy za istotę ich bytu, jak Decartes; ale rozciągłość jest pusta, niesamodzielna, w granicy widmo. Problem czem są rzeczy pozostaje (w reiźmie) nierozwiązany. A cóż możemy powiedzieć o systemie, który tego problemu nawet postawić jako nierozwiązalnego się nie stara: że nie jest systemem filozoficznym, tylko częściowem rozwiązaniem, które jest dobre w obrębie nauk przyrodniczych, ale nie w filozofji. Po "odrzuceniu" przez reistę cech, dyspozycji i t.p. zmięszanych w czambuł, które nigdy i nigdzie nie zostało uzasadnione co do swego celu i korzyści, poza oznajmieniem, że rzecz jest elementem pierwszym istnienia, nie możemy też zrozumieć co się dzieje z temi wszystkiemi odpowiednikami „nazw pozornych” - w jaki sposób one znikają po odrzuceniu, co je zastępuje, gdzie się podziewają. Przedewszystkiem jest gruba różnica między temi różnemi "istnościami" - tu zgadzam się z Kotarbińskim, że nie należy słowa przedmiot postponować, uważając za przedmiot wszystko co jest podmiotem w zdaniu, bo to prowadzi do strasznych nieporozumień w kwestji t.zw."przeżyć intencjonalnych", według mnie razem z "aktami", istności zupełnie urojonych, które co najwyżej w prymitywnej psychologji, jako skróty fungować mogą. Ale między czerwienią pudełka, a odległością, a dalej przesunięciem, czy dyspozycją umysłową, są przepaście, których nie zasypuje ~~[illegible]~~ powiedzenie: pogardliwe: to nazwy pozorne.- Wogóle co to jest pojęcie pozoru w tem znaczeniu i czemu te właśnie nazwy

./.

115

są pozorne, kiedy we wszystkich językach świata funkcjonują one jako nazwy rzeczywiste: każde coś można nazwać, nietylko twarde bryły i miękkie flaki: rzeczy i stworzenia. Sądzę, że termin jest źle wybrany i zanadto jest w nim zlekceważony problem jakiegoś istnienia wyżej wspomnianych istności: czerwień jakaś jest na czerwonem pudełku; długość drogi z Zakopanego do Poronina też jest - jest stała i muszę wydać energję, aby ją pokonać; mam jako"rzecz doznająca" taką to a taką dyspozycję: zamiłowanie do matematyki i wstręt do logistyki - oczywiście wiem;nie odpowiada temu żaden przedmiot, t.zn.rzecz bezwładna i rozciągła, ale są rzeczy czerwone, są przedmioty o tyle a tyle odległe, są faceci „robiący" z przyjemnością „w" matematyce i ze wstrętem w logistyce. Ale co nam daje to postawienie kwestji? Poza straszliwem w swej prostocie pytaniu zasadniczem "co jest z rzeczami, gdy ich nie doznajemy", pozostawionem bez odpowiedzi - nie daje nam to absolutnie nic, poza złudnem uspokojeniem się w sztucznym moniźmie /- stół i ja to rzeczy - pozatem niema nic - tylko "jakoś" "bodaj"/trzecie ulubione słowo Kotarbińskiego/. Czerwień pudełka, jako moment niesamodzielny całości wrażenia wzrokowego,jest tak samo realna, jako wrażenie doznawane, jak i jego kształt kwadratowy - drugi moment niesamodzielny. To, że prawidłowe następstwo takich elementów, złączonych w nierozdzielną całość, nazywam w życiowym poglądzie rzeczą materjalną, prawidłowe następstwo, którego elementów doznać jednocześnie nie mogę tylko konsekutywnie /nie byłoby inaczej następstwa!/, nie dowodzi jej realności większej od jej poszczególnych aspektów, rzutów, „abszatungów" "przedmiotów imanentnych" - jak kto chce. Nawet przeciwnie: "przedmiot transcendentny" /-rzecz/ który tylko w wyjątkowych wymienionych przezemnie wypadkach /danie w jakościach dotykowych,²/małość rzeczy danej w stosunku do

./.



danej "rzeczy doznających", do mnie n.p., zdolność objęcia rzeczy tej mojem ciałem, lub jego częścią/ jest bezpośrednio dany - [wypadek, który przekreśla całą teorję "przedmiotu wogóle" /tę zakałę filozofji/ jako czegoś, co zawsze tylko w "abszatungach" Husserla dane pośrednio być może] - zdaje się być, jeśli chodzi o jego spostrzeganie /a dotąd nie mówiliśmy i w teorjach tak psychologistycznych, jak fenomenologicznych o tem, jaki jest przedmiot sam w sobie, o tem się wogóle nie mówi, o tem mówić nie wolno!/ czemś mniej realnem, właśnie w wymiarach spostrzeżeniowych, a nie w wymiarach "rzeczy samej w sobie", niż "przedmiot imanentny" = /rzut rzeczy trójwymiarowej aktualnie oglądany, lub "rzut" w znaczeniu przenośnem "macany"/, który jak byk oto w całej swej "unmittelbarer Selbstgegebenheit" tu przedemną stoi w całej swej "krasie" /ohydne słowo/ aktualnych jakości, ociekający nieomal na żywo oglądanemi właściwościami się prezentuje. Oczywiście z wyjątkiem wypadku kulki w ręku i temu podobnych x/, bo tam nic z żadnych "abszatungów", tylko mam cały ów mityczny nieuchwytny "ponoć" /ohydne słowo/ nigdy "transcendentny przedmiot" w łapie, a cała "intencjonalność" to wyobraźniowe, /wzrokowe, a przez wzrok dotykowe/ -macanie przedmiotu transcendentnego na odległość ze wszystkich stron. Tu nie mogę się nad tem rozwodzić, odsyłając do rozprawy o przedmiocie: /biurko - potem zbiorowe wydanie pośmiertne w r.1954/. Otóż dla mnie, monadysty, rzeczy to są dla mnie właśnie prawdziwie "prawa następstwa wrażeń", niektóre, we właściwych warunkach (mogą być) bez-

---

x/ Pomijam narazie tę kwestję przeoczoną zupełnie przez fenomenologów, że pierwszym przedmiotem danym bezpośrednio bez żadnej intencji /bo źródłem jest wszystkich pseudo-intencjonalnych przeżyć i aktów/ jest przedewszystkiem moje ciało i dzięki niemu, jego zaznaczonych ruchów, wżywam się dopiero wyobraźniowo-dotykowo w inne przedmioty.

./.

pośrednio dane, a w rzeczywistości, czyli jako „rzeczy same w sobie” są to zbiorowiska /IPN/ - /po bliższe objaśnienia odsyłam do mojej "Popularnej Monadologji" [illegible] - ale czem są dla reisty niewiadomo. A więc jeśli w spostrzeżeniowych wymiarach /a w tych ciągle jeszcze jesteśmy, o ile nie mówimy o "rzeczy samej w sobie"/ przedmiot imanentny x/ jest bardziej rzeczywisty od transcendentnego /z wykluczeniem narazie mojego ciała, jako pierwszego przedmiotu pseudo-transcendentnego, bezpośrednio w specyficznych jakościach mi danego - ta rzecz dla mnie pewna wymagałaby bliższej analizy, dokonanej zresztą we wspomnianej rozprawie, bo jest konkretny, a do tamtego poprzez ten "odnosimy się dopiero w specjalnym akcie", czyli poprostu wżywamy się w niego wyobraźnią dotykową /muskularną/ i wzrokową. Cóż dopiero mówić o pojedyńczych jakościach, które go składają i to nie mówiąc już o dotykowych, których straszliwą realność znamy prawie wszyscy z przeżyć erotycznych, chirugicznych, z bójek, wojny i t.p. i to realność ich jako takich, a nie jako "właściwości dotykanego przedmiotu" - /na to mi reista odpowie: "tak i z właściwości rzeczy doznającej, mnie samego w postaci ciała" - zaraz przejdziemy do tego problemu/ - ale realność samych barw jako takich naprzykład, które jako były artysta-malarz znam tak dobrze, a i "poniektóremu" laikowi jako oddzielne istności są znane. Owszem, zgadzam się, że są one jak i własności dane dotykowo własnościami rzeczy / nie zawsze jak to postaram się udowodnić/, ale prócz tego mogą /na podstawie analizy kompleksów -

---

x/ Używam tej wygodnej terminologji przeciwnych mi kierunków myśli, jako skróty w cudzysłowie.

./.

popatrz, kotku, „do" Corneliusa, czyli wyszczególniania przez bezpośrednią abstrakcję danych momentów danego stanu rzeczy, który zawsze jest kompleksem x/, na mocy występowania pewnych treści jako takich na tle zmięszanem/ być jako takie, w uniezależnieniu od noszącej je/ rzeczy-widma, rzeczy-prawa, rzeczy-związku, oglądane. Przyjąć istnienie jedynie rzeczy: doznających i niedoznających, rozumiejąc pod temi atrybutami właściwości stojące na jednym poziomie, jak n.p. twardość i czerwoność, jest to przyjąć ordynarny dualizm poglądu życiowego, bez usiłowania istotnego sprowadzenia go do jakiegoś wyższego poglądu /n.p. choćby bez skutku sprowadzający materjalizm i według mnie ze skutkiem czyniący to monadyzm/ pod pozorami czysto-werbalnego monizmu "narkotycznego" jakbym powiedział. Nie możemy wyrzucić jakości samoistnej poza nawias, tembardziej, że w kwestji tego złączenia właściwości z "czemś", z rzeczą, zdają się zachodzić ciężkie nieporozumienia. Mogą być rzeczy z jakościami jako z właściwościami i mogą być jakości "swobodne", wyzwolone od swej pozornej funkcji tworzenia właściwości rzeczy - mogą one być z pewnego, nieodpartego logicznie również jak i reizm, punktu widzenia tem, z czego dopiero rzecz się konstytuuje. Poco upierać się i deformować rzeczywistość w imię tego, że jakości muszą być koniecznie absolutnie (tylko i jedynie) właściwościami rzeczy, kiedy rzeczywistość temu przeczy dość

---

x/ I tu myli się bardzo Metallmann, który najwidoczniej też nie zna Corneliusa i polemizuje z biednym Machem, który zaledwie naszkicował psychologizm, tak wspaniale przez Corneliusa rozwinięty - niema oddzielnych jakości, tylko zawsze kompleksy na tle zmięszanem, w którem jest cała pamięć.

./.

gwałtownie, jeszcze bardziej stanowczo niż w kwestji bezpośredniości i niebezpośredniości dania przedmiotu /realnego = rzeczy oczywiście, a nie wogóle, bo takiego procederu wogóle, któryby się aż na przedmioty "idealne" w "intencjonalnych aktach ideacji" - czy jak tam - rozciągał wogóle nie ma/, która też dogmatycznie była rozstrzygana, mimo, że stan faktyczny przeczy temu najwyraźniej, w czem żadnej tragedji, jak wogóle w żadnym rzeczywistym, a nie urojonym stanie rzeczy być nie może, chyba w stosunku do zgóry powziętej ideji i związanego z nią systemu pojęć, który stan rzeczy rozwala i niszczy. Można się uratować czasem przez transformacje pojęć jednego systemu w drugi, przy pomocy odpowiednich wzorów transformacyjnych, co proponuję fenomenologom w stosunku do Corneliusa - ale oni tego usłuchać nie mogą, bo co mogą wiedzieć oni o [illegible]

Otóż nie wiemy ciągle, w jakiem znaczeniu "niema oto" jakości, bo nam tego reista nie mówi. "Jakoś" się podziały, oblepiając rzeczy, tuląc się do tych urojonych stworów, z nich samych jedynie bez reszty zrobionych: sytuacja wysoce paradoksalna. I tu przychodzi myśl straszna: czy właśnie nie jest odwrotnie czy to nie rzecz jest czasem hypostazą, a nie jakość? I jeśli już wogóle stosować pojęcie hypostazy do dwóch realnych istności, co mi się wydaje niestosownem - bo jakość jest tak samo rzeczywistą, jako swój aspekt imanentny, jako kompleks jakości, jak i sama jakość, zupełnie w tym samym stopniu, tylko jest ona prosta, a kompleks złożony, a jeśli weźmiemy kompleksy jakości w czasie nie będące absolutnie rzeczami /jak melodje, sonaty, sym-

mimo że te jakości (dźwięki) nie są dość przestrzenne, aby wypełniać części przestrzeni precyzyjnej, przy posiadaniu jednak pewnego współczynnika przestrzenności nieokreślonej, nie ściśle zlokalizowanej.

fonje i t.p./ x/ , to i "przedmiot transcendentny" jako następstwo prawidłowe takiego kompleksu w czasie nie będzie nic od jakości ani mniej, ani więcej realny. Ale biorąc rzecz raczej ogólnikowo, czyli raczej bliżej życiowego poglądu i nie wprowadzając analogji między kompleksami w przestrzeni i w czasie, rzeczami i zjawiskami xx/ , jako mogącej się zdać "poniektóremu" "bodajże" naciągniętą, możemy stwierdzić, że w wymiarach spostrzeżeniowych nie ma istotnej różnicy między jakościami, a ich kompleksami = rzeczami poza złożonością ostatnich. Bo co innego będzie jeśli będę brał pod uwagę siebie: tam po redukcji na temat właściwości, pozostanie zawsze pewne coś absolutnie irreductible, jądro mojej jedności osobowości, tak w danym przekroju w minimalnym czasie /to/, jak i w dłuższem, czy nawet całkowitem trwaniu samem dla siebie, które to jądro, jakkolwiek stanowiące z pewnego punktu widzenia niesamodzielny moment całego stanu rzeczy, jako że bez jakości je wypełniających /ani naodwrót one bez niego/ wyobrażonem być nie może, jednak nie znika w ten sposób, jak rzecz po odebraniu jej jakości, z której to rzeczy dosłownie nic - prócz zbyta "rzeczy samej w sobie" - nie pozostaje; a rzecz sama w sobie w tem znaczeniu, jako odpowiednik naszego kompleksu jakości, to 1) albo jakieś żywe stworzenie poza nami, 2) albo ich zbiorowiska poza nami, bliższe w pewnym związku z organizacją /IPN/, którą my jesteśmy, albo 3) jedynie stosunki /IPN/ nasze ciało stanowiących - to ostatnie w wypadku

---

xx/ A dla Whiteheada znowu "events" są istotne, a rzeczy są to tylko sztucznie znieruchomiałe przestrzennie, ale w czasie "ruchome" rodzaje, czy części "ewentów" = zdarzeń, zjawisk. A "ja" to jest sobie tylko taki „percipient event" - mała rzecz.

---

x/ Dla reisty to nie są realne zjawiska, odpowiadające do pewnego stopnia rzeczom, tylko jest to "tyle co": "jakoś" się słyszy kupy drgających drobin powietrza. Ale to jest już wyraźne naciąganie sztuczne do z góry przyjętej zasady.

./.

n.p.wzrokowej lub dotykowej halucynacji. Odkładając dalszą polemikę z twierdzeniem o jakościach na później /do krytyki "wykładu oxfordzkiego", tego najbardziej istotnego, jakkolwiek nieskończenie niemal krótkiego wyznania wiary reisty/, przejdźmy do innych "nazw pozornych". A więc: długość przestrzenna: n.p.odległość dwóch przedmiotów, jako długość drogi do przebycia, która je dzieli. Czemu to odrzucać jako jakiś pozór / nie wiadomo wogóle co to jest pozór?/ i nazwę tej istności nazywać pogardliwie "nazwą pozorną", zamiast uznać też, że rzeczy niestety są dane we wzajemnych stosunkach przestrzennych, zanurzone w przestrzeni, która nietylko je oblewa jak woda, ale przenika aż do najdrobniejszych, aktualnie nieskończenie małych ich cząsteczek - stanowi zupełną jedność z rzeczami w swych wycinkach; jest formą Istnienia a nie Nicości, stanowiącą jedność z Czasem w przeżywaniu bezpośredniem każdego /IP/, jako jedność jego trwania z jego rozciągłością. Raczej nie rzeczy są nam dane, tylko przebieg naszego trwania, w którem kompleksy pewnych jakości konsolidują się w rzeczy, na tle zasadniczego pierwotnego istnienia nas samych dla nas, jako ciała. Tu też mamy złożony stan rzeczy, w którym wyeliminowujemy pewne momenty niesamodzielne, a jednak wyróżniające się na tle całego splotu zdarzeń, i nazywamy je, niech to się sobie nazywa "nazwą pozorną": możnaby cały konflikt traktować czysto terminologicznie, gdyby nie inne nazwy, których nazwanie "nazwami pozornemi" pociąga jednak za sobą konsekwencje ontologiczne, jak n.p. odmówienie jakościom wszelakiej realności "nie ma cech". Dlaczego Kotarbiński nie chce zatrzymać się na pansomatyźmie i nie może zdobyć się na traktowanie nazw tych jako bezprzedmiotowych /w znaczeniu tem, że nie odpowiadają one namacalnym rzeczom - też inne znaczenie bezprzedmiotowości niż zwykle/ a jednak realnych - jest dla mnie tajemnicą. Przecież stan rzeczy składa się z rze-

./.

czy i z rzeczywistych, a nie urojonych stosunków między niemi: mniejszości i większości, zawierania i bycia zawieranemi, rozłożenia w przestrzeni i odległości - czemu to wszystko uważać za nic, zamiast opisać to w tych terminach, które się poprostu same narzucają i w jakim celu się tego wyrzekać?*) Dla wątpliwej wartości monizmu, a raczej dla możności nazywania żywych stworzeń rzeczami? Przecież długość drogi do przebycia jest czemś, choćby z punktu widzenia wysiłku, który trzeba zrobić, aby ją przebyć: dla zmęczonego i ambitnego turysty odległość jego od szczytu, który ma zdobyć, jest czemś tak realnem, jak szklanka zimnej wody dla spragnionego w pustyni. To samo stosuje się do nazw ogólnych, takich jak cnota, zbrodnia, miłość, wstręt i t.p. Są to nazwy, którym odpowiadają realne zupełnie istności w społeczeństwie i indywiduach. Czemu mamy się ich wyrzekać, stwarzając tak sztuczne rzeczy, jak "wstrętna żaba", do której nie mam prawa mieć wstrętu jako takiego pod żadnym pozorem, mimo tego, że wyraźnie oddzielam wstrętną mi żabę i mój wstręt do niej - to jest introspekcyjnie bezpośrednio dane. A cóż mówić o wstrętach nieokreślonych, bezprzedmiotowych? Wtedy reista będzie starał mi się wmówić, że ja sam jestem sobie wstrętny, a jeśli nie potrafi mi wmówić, że w smutnym moim nastroju odmiennie wyglądają otaczające mnie rzeczy, to uzna ostatecznie smutek za właściwość rzeczy doznającej t.j. mnie. Jak nie tak, to tak, i to z całkiem innej strony i innym sposobem: to jest metoda reistyczna. To samo stosuje się do potrójnych źródeł reizmu: jak nie pogląd życiowy, to fizyka idzie na ratunek: jak nie fizyka - to gramatyka. Nie ma koncepcja ta jednolitego podłoża, nie jest oparta o naturalnie jednolity, konieczny punkt widzenia pierwotny, tylko o werbalne założenie, do którego stara się wszystko dociągnąć, ratując się środkami różnorodnemi, z różnych sfer pochodzącemi.

*) Bo w wypadkach, gdy język potoczny fałszuje daną rzeczywistość, procedery takie nie były do pogardzenia. Ale tu fałszu tego nie widać poza sprzeciwieniem się niewiadomo poco narzuconej definicji rzeczywistości istniejącego jako[illegible]

"Wszak reizm /do którego się zresztą /podkr.p.K./ przyznajemy/ nie wydaje się nam bynajmniej jakąś znaczeniową odmianą materjalizmu" - co znaczy "zresztą", "znaczeniowa odmiana" i "materjalizm" w cudzysłowie. Wszystko to są sposoby odebrania wagi temu, co się mówi, a jednocześnie aby to mimo wszystko było "jakoś" "bodaj" podtrzymane. To jest ta właściwość, która człowieka o zdeklarowanych poglądach doprowadzać musi do wściekłości i prowokuje do agresywności. Dlaczego do wyrażeń, w których figurują „nazwy pozorne" nie można przykładać strukturalnych kryterjów prawdziwości /co to jest?/, przyjmowanych dla zdań, operujących właściwemi nazwami"? Czemu zdanie "stół stoi na podłodze" ma mieć inne kryterja prawdziwości, niż "zachód słońca się rozpoczyna się o piątej" - gdzie i "zachód" i "rozpoczynanie się" i "piąta" są wszystkie 3 nieszczęsnemi nazwami pozornemi.

2

Realizm radykalny / odczyt w Oxfordzie w 1930r./

W odczycie tym Kotarbiński znowu zaznacza, że nie istnieją "treści" i nie podaje zupełnie w jakiem znaczeniu to mówi; bo przecież nie zniszczył "czerwoności zorzy" [czy zorza jest "rzeczą" rozciągłą (w znaczeniu trójwymiarowości) i bezwładną? - rozciągłą to może i tak, jeśli się już uprzemy, jak mrówkojady, ale bezwładną (jako taka) nie jest, chyba, że ktoś powie, że nie zniknie i nie pojawi się bez przyczyny - „siła" jakaś jako przyczyna?], tonu A, bólu brzucha /którego to brzucha, jako rzeczy, bez tego bólu, nie odczuwamy - to znaczy jego wnętrza, a nawet i bólu i różnych mniej wyraźnych czuć wewnętrznych nie odczuwamy jako własności określonej rzeczy, tylko nieokreślonego wnętrza ciała, danego (wyraźnie) nam właśnie tylko w postaci tych niedokładnie zlo-

kalizowanych czuć: nie możemy mięszać tych odczuć z daniem powierzchni ciała, jako powierzchni "rzeczy," bo to jest coś zupełnie innego. Co innego znów, że czasami wnętrzności dają znać o sobie jako rzeczy. wyraźnym dotykiem wewnętrznym, jak powierzchnia. Ale prócz tych jakości wyznaczających rzeczy są napewno jakości wolne - o tem później. Co innego, że to nieokreślone poczucie wewnętrzne jest podstawą naszego samopoczucia jedności naszej osobowości, możnaby więc na upartego powiedzieć, że to właściwość "rzeczy doznającej" = nas samych. Ale tu właśnie kwestjonuję istotność takiego powiedzenia i staram się dowieść jego werbalności w kwestji ujednolicenia, ujednostajnienia elementów rzeczywistości ostatecznych / zapachu kota i t.p./ Mógłbym co najwyżej powiedzieć, że jakości wyznaczające faktycznie rzeczy w normalnem znaczeniu /barwy i dotyki zewnętrzne = powierzchni ciała/ nie można faktycznie od rzeczy oddzielić. Ale to nie we wszystkich wypadkach, jak to postaram się wykazać. Nietylko nie istnieją treści, ale i "całości z nich utworzone" /czyli rzeczy poprostu/ - tu już wszelkie możliwości porozumienia są wykluczone - realizm jest radykalny naprawdę i bez żartów. Ale póki Kotarbiński nie powie co zostało z rzeczy po odebraniu jej własności - nie możemy go uznać za nic innego, jak za radykalny realizm werbalny. Zasłanianie się tem, że z chwilą postawienia takiego kwestji, t.j.z chwilą odebrania jakościom jakiegokolwiek, nawet fenomenalnego bytu i uznania ich za hypostazy, a nazwy im odpowiadające za nazwy pozorne, nie wolno już mówić oddzielnie o jakościach jako takich /bo nie można mówić o tem czego nie ma/ jest tylko logicznym trick'iem, który do wszystkiego można zastosować. N.p.stwierdzić, że przestrzeń, w której żyjemy, rzeczy i osobowości są złudami, hypostazami, oznaczonemi nazwami

./.

pozornemi, bo rzeczywistemi są tylko n.p.elektrony i o nich tylko wolno mówić, jako o czemś objektywnie, eksperymentalnie stwierdzonem i matematycznie choćby statystycznie en gros wyliczalnem, a rzeczywistą (w takim razie) jest tylko przestrzeń Diraca. Logicznie nic temu zarzucić nie można i materjaliści fizykalni, jeśliby tylko o logikę chodziło, mieliby taką samą rację, jak reiści, psychologiści, solipsyści i idealiści. Musimy patrzeć co dana teorja nam daje i na ile nie przeczy oczywistościom poglądu życiowego. To że jakości i wszystkie wymienione poprzednio istności w jakiś sposób istnieją jest pewnikiem absolutnym. Lepiej przyjąć, że pojęcie Istnienia jest wieloznaczne, a następnie założyć zgodnie z normalną rzeczywistością, istnienie "stanów rzeczy złożonych" i ich "momentów niesamodzielnych", niż walić zaraz po łbach całe masy istności, w imię, zgóry powziętej i nawet pragmatycznie nie udowodnionej, zasady. Mnie się zdaje, że wyjście to (Kotarbińskiego) z sytuacji było zawsze i było widzialne dla wielu myślicieli, jako możliwość, a że nikt z niego nie skorzystał, nawet materjaliści fizykalni, dla których byłoby ono szczególniej wygodne, to dowodzi, że właśnie jako zbyt werbalne i gołosłowne, a implikujące ciężkie nierozwiązalne problemy jako konsekwencje /problem istnienia rzeczy kiedy n.p.my ich nie widzimy/ nikogo nie zaślepionego specjalnie by nie zadowolniło. Czemu proste zdanie o nieistnieniu plamy formułować tak sztucznie: "nieprawdą jest, iżby dla pewnego x,x było plamą" - poco to? Nawiasem wspomnę, że złudzeniem logistyków jest, iż myślą, że gdy wszystko opatrzą znaczkami i opiszą świat takim, jakim im się w poglądzie życiowym bez żadnej problematyki wydaje, to wszystkie problemy znikną same przez się, wessane przez bagno znaczków i operacji logicznych; oczywiście logizują oni zgóry odproblemiony pogląd

życiowy, nie mogąc wyjść poza niego przez sam proces znaczkowania, bez postawienia otwartego zawartych w nim problemów ontologicznych, i potem im się zdaje, po skończonej operacji, t.j. po przedstawieniu jedynie trochę ściślejszem, niż w życiu, życiowego poglądu, że wogóle problemów nie ma i że wszystko jest załatwione. To wyszło, co włożyli w ich maszynę - wyszło tylko w innej formie.- Forma bezsprzecznie jest inna, jak forma kawałka mięsa przepuszczonego przez maszynkę do miażdżenia, z której wychodzi ono w formie małych kiełbasek. Ale jeśli chodzi o transformację mięsa jako takiego, to on ani drgnęło nawet: pieczeń się z niego nie zrobiła. Na to trzeba je omaścić i upiec: to jest proces zaproblemienia i podania rozwiązania: to jest właśnie filozofja. Widać to dokładnie na systemie Carnapa, który nic absolutnie nowego nie wniósł. Zastosowania Chwistka są zupełnie komedjowe, a niby zastosowania /implicite/ Rusella i Whiteheada*) również doprowadzają do podobnie bezpłodnych rezultatów, mimo pozornych różnic - o tem szczegółowo na innem miejscu. Wracając do kwestji poprzedniej: "nieprawdą itd. żeby x było plamą" - zanalizujmy szereg istności danych nam w jakościach, które wyznaczają w większości wypadków rzeczy, t.j. są połączone w związki prawidłowe i jeśli same nie są takiemi, to w każdym razie dają się związać (pod pewnemi warunkami) z następstwami jakości dotykowych, a więc n.p. (niech) będą to czucia barwne. Mamy najpierw kolor muru szary; widzimy jednolicie lub mało co różniący się w częściach swych szary mur. Pomijając psychologistyczną teorję, która ma prawo oprzeć się o istnienie jakości "wolnych" i wszystko z nich złożyć /bo co z niemi począć w reiźmie jeśli one faktycznie („jakoś") są/ mówimy, według naszego mniej radykalnego poglądu, według którego w pewnych wypadkach i jakości mogą być wolne, a przedmioty bezpośrednio dane, że

*) Różnica w tem, że dla Russella można mieć pogardę za jego blagę, a dla Whiteheada najwyższy podziw dla jego wspaniałego gmachu „Kościoła bez bóstwa", mimo całej jego bezpłodności. (Mówię tylko o „Concept of Nature" i „Princ. of nat. Knowledge".)

widzimy szary przedmiot na podstawie „wcielenia się w niego" naszem ciałem przy pomocy "wyobraźni dotykowej" /"chapczywości" naszego ciała, jak to określiłem w cytowanej rozprawie o przedmiocie/ niemal ~~[illegible]~~ rzecz odrazu daną, w związku z poprzedniemi doświadczeniami, oczekiwaniami i wogóle wszystkiemi możliwemi asocjacjami.*) Percepcja istotna przedmiotu jest mało co różna od tej, która zachodzi w poglądzie życiowym, gdy nie myślimy filozoficznie, tylko przeżywamy rzeczywistość bezpośrednio; właściwie różni się tylko uświadomieniem sobie różnych momentów samo- i nie-samodzielnych całości zjawiska, zanalizowaniem kompleksu danych, który zresztą trwa dalej tak samo prawie, jak akord słyszany bez analizy i słyszany znów rzeczywiście po zanalizowaniu go bezpośredniem, przez wyławianie składających go tonów podczas samego słuchania. Widzę więc oczywiście szary mur, a nie szary prostokąt w polu widzenia, który sądzę, że jest murem na podstawie poprzednich doświadczeń. Nie potrzebuję do tego zupełnie również specjalnego "intencjonalnego aktu", w którymbym się zwracał ku "transcendentnemu murowi", na podstawie "muru imanentnego" - to wszystko daje się sprowadzić do wyobraźni dotykowej i zaznaczonych ruchów, tylko nie zawieszonych gdzieś w jakiejś abstrakcyjnej „czystej świadomości", tylko na tle realnej jedności mojej osobowości, mego "ja", jedności, która istnieje zarówno w danym przekroju mego trwania, jak i w jego całości ~~od urodzin do śmierci~~, stanowiącej jedność mego ciała, tem ciałem będącej. Tu rzeczywiście nie widzę szarości, jakkolwiek w każdej chwili mogę ją /jak nutę daną w akordzie na tle innych tonów/ wydzielić jako taką z całości wrażenia: wtedy forma muru, jego chropowatość, wspaniały zapach świeżej murarskiej roboty, zimno, które od niego zionie, wszystko co mogę na podstawie poprzednich doświadczeń o murze pomyśleć

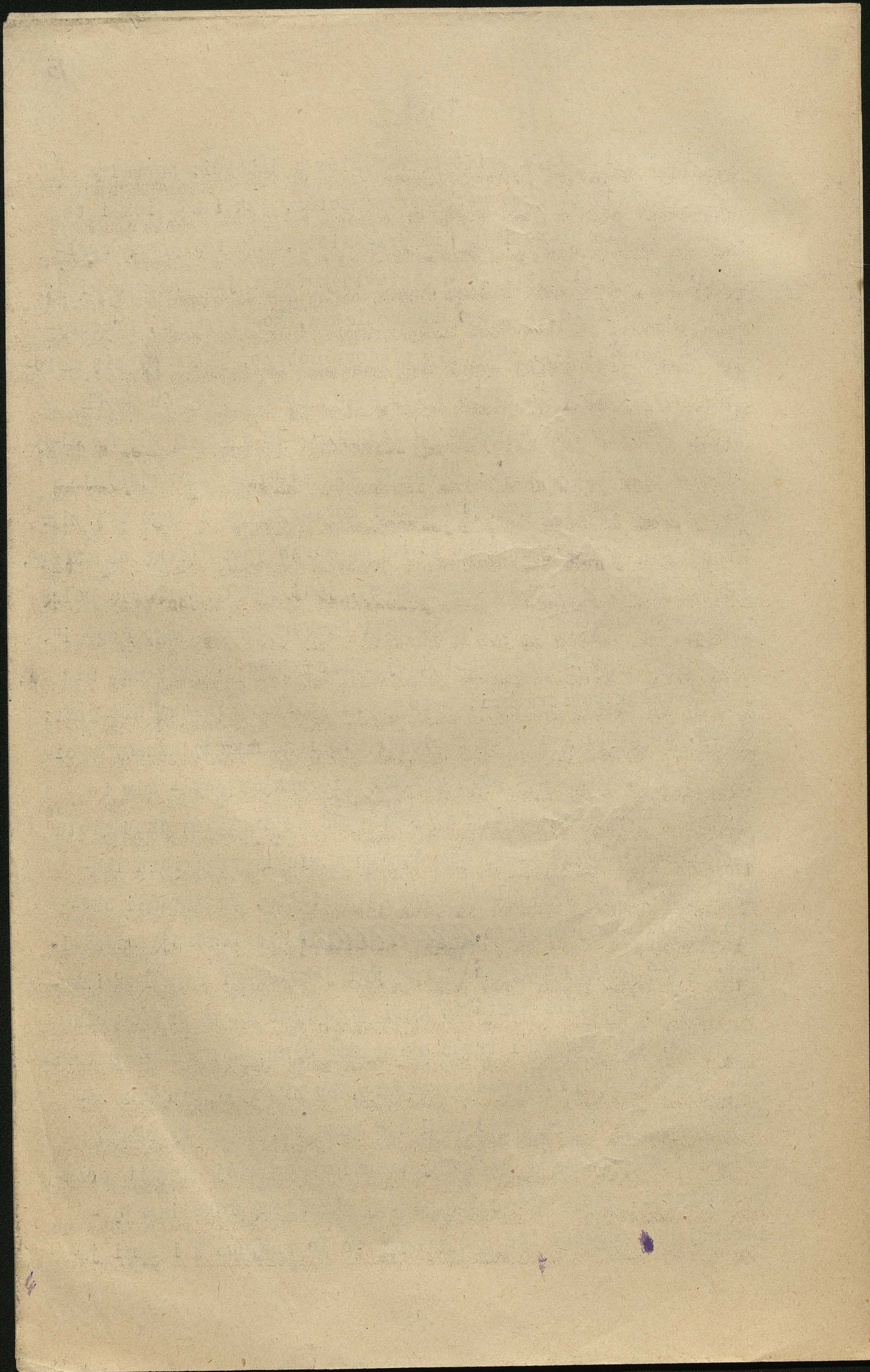
*) Oczywiście, że nie jest rzeczą jako taką bezpośrednio daną, jak kulka w ręku i wogóle całe nasze ciało, lub jego części – umyślnie mówię: „niemal", bo jednak, mimo całego [illegible] „transcendentności", jest to przedmiot imanentny.

idzie "won", a w mojem trwaniu jako taka jest szarość, oczywiście na tle zmięszanem /unbemerkter Hintergrund Corneliusa/ tamtych wszystkich momentów całości zjawiska, z których jedne, jak n.p. forma muru, bliżej są związane, stopione nawet jako momenty niesamodzielne, z szarością, inne dalej, jako samodzielne momenty całości zjawiska: percepcji muru. "Aliści" na murze pojawiła się czerwona plama. Otóż bezpośrednio, przy pomocy "komonsensu", czyli po polsku zdrowego rozsądku, charakteryzujemy to zjawisko, jako plamę /barwną/ na murze, a nie znowu chwilowe zabarwienie tej części muru. Oczywiście, że można tak powiedzieć, że mur ma tu zabarwienie takie, a tu inne, jak poprzednio mówiliśmy o pewnych różnicach szarości, na pierwszy rzut oka jednolity. Oczywiście można, ale reista zdaje się stać chyba na stanowisku zdrowego rozsądku w pierwszych swych wypowiedzeniach o świecie - przynajmniej szuka tam potwierdzenia swojej tezy, bo odwołuje się do tego, jak się mówi: przecież nie mówi się: "widzę czerwone", tylko: "widzę coś czerwonego" /a blask łuny z za horyzontu - aha: łuna jest czerwona, ale łuna to nazwa pozorna - niewiadomo co robić?/. Chodzi to o/właśnie, na jakiem stanowisku stoimy na samym początku, z czego wychodzimy. Myślę, że można stać na stanowisku nawet psychologistycznem z punktu, z samego początku /tak zrobił Mach i "wyszedł z bezpośrednio danych"/, albo na stanowisku poglądu życiowego, albo być solipsystą. Ale co do reisty nie wiadomo czy zajął on odrazu stanowisko, że tamtego wszystkiego poprostu niema i koniec /dogmatycznie/, czy też nie, bo ciągle odwołuje się jakby do zdrowego sensu, do tego jak to jest w rzeczywistości. Ale stopień jego "przesofistyczenia" nie jest znany. Bo wiadomo, że dziecko raczej jest nastrojone psychologistycz-

./.

nie i powoli buduje świat przedmiotów z jakości; normalny człowiek żyje zarówno wśród przedmiotów, jak i zjawisk i te posiadają dla niego inną niż przedmioty, ale też pewną realność; trochę filozoficznie nastawiony facet już ma inną wizję świata, zależnie od swego usposobienia, konstytucji, przeczytanych dzieł i t.p. Otóż nie wiadomo dobrze, jak mamy się ustosunkować do reisty, tembardziej że, na pewnym stopniu swych twierdzeń, musi się uciekać do fizyki - ale z czego się do niej ucieka dobrze nie wiemy. Będziemy się więc, my przynajmniej, trzymać na razie zdrowego sensu i zobaczymy co z tego wyjdzie. Otóż dla zdrowego rozsądku plama na murze jest "plamą na murze", a nie jego miejscowem zabarwieniem, jest czystą jakością wolną - dlatego się właśnie nazywa: nie jest "zabarwieniem jego części", bo po pierwsze takiej oddzielnej części jego jako rzeczy nie ma, jest kawałek powierzchni, a to w żadnym razie rzeczą nie jest, chyba, że zrobimy lekkie naciągnięcie i za rzecz tę uznamy wycinek przestrzenny muru pod tą plamą się znajdujący - ale to będzie wyraźne naciągnięcie /jak również dowód ze "środkiem przedmiotu transcendentalnego" nigdy nie danego w wizji przedmiotu imanentnego./ Plama jest plamą pewnego kształtu, bo jakości czyste absolutnie jednoiste, nie istnieją oddzielnie, tylko zawsze związane są ze swojemi jakościami formalnemi: kolor musi mieć jakiś kształt, musi wypełniać pewną część pola widzenia, tak jak musi trwać określony czas, aby w naszem trwaniu "zaistnieć" /fałszywe wyrażenie, bo niema koloru bez zaistnienia dla nas - trwać musi ten czas to, co go wywołuje/ - podobnie każda jakość bardziej trwaniowa ma swój element przestrzenności, swoją mniej lub więcej określoną lokalizację - inaczej nie mogłaby być skojarzoną co do miejsca z innemi ja-

./.



kościami bardziej przestrzennemi /dźwięk dzwonu z dzwonem, smród zdechłego kota z jego wizją wzrokową, bo o dotykaniu padła, nawet tu, mówić nie będziemy/. Tak więc plama będzie to jakość "wolna" jak wszystkie złożona, a ponieważ jakości same nigdy nie występują, tylko w kompleksach, na tle "tła zmięszanego, niezauważonego jako takiego" /taki jest pełny tytuł tej istności wspaniałej wynalazku Corneliusa/, więc i ta plama będzie częścią całego pola widzenia, które tylko w jej najbliższej bliskości będzie wyraźne, a dalej będzie tłem jej w dosłownem znaczeniu, barwnem, przestrzennem, jak i tłem dalszem będzie n.p. jednoczesna audycja radjowa z sąsiedniego okna i huk samochodów, a jeszcze dalszem: cała, niepowtarzalna nigdy i nigdzie już, przeszłość danego osobnika, wskutek której tak będzie tę plamę widział, jak nikt inny przez wieczność całą w nieskończonem istnieniu czyj nie zobaczy. Reista zaznacza, że odnosi się on do "obserwatora naturalnego, czyli nie doznającego wątpliwości autokrytycznych, wskutek refleksji nad warunkami spostrzegania" - świetna definicja t.zw. popularnie "zdrowego rozsądku" = możemy więc "początkującego" reistę /zwracam uwagę na ważność tego terminu, co się okaże później w związku z trzema źródłami reizmu/ uważać za równoznacznego z przedstawicielem "komonsensu". Otóż on powiada, że nie widzi nigdy "czerwonego" jako takiego, tylko "coś czerwonego" - dobrze, w wypadku pudełka zgoda - ja nie jestem fanatykiem żadnej ideji monistycznej, mam w tej kwestji tę beztroskę, jaką mają empiryści à la James, Chwistek, Russell i t.p. w kwestjach wogóle filozoficznych: ja przyjmuję, że tak jak mogą być bezpośrednio i nie-bezpośrednio dane przedmioty /rzeczy/ [nie robię tragedji z przepaści między przedmiotami: "imanentnym" i "transcendentnym"], tak samo mogą być jakości, wyznaczające rzeczy bezpośrednio i pośrednio,

./.

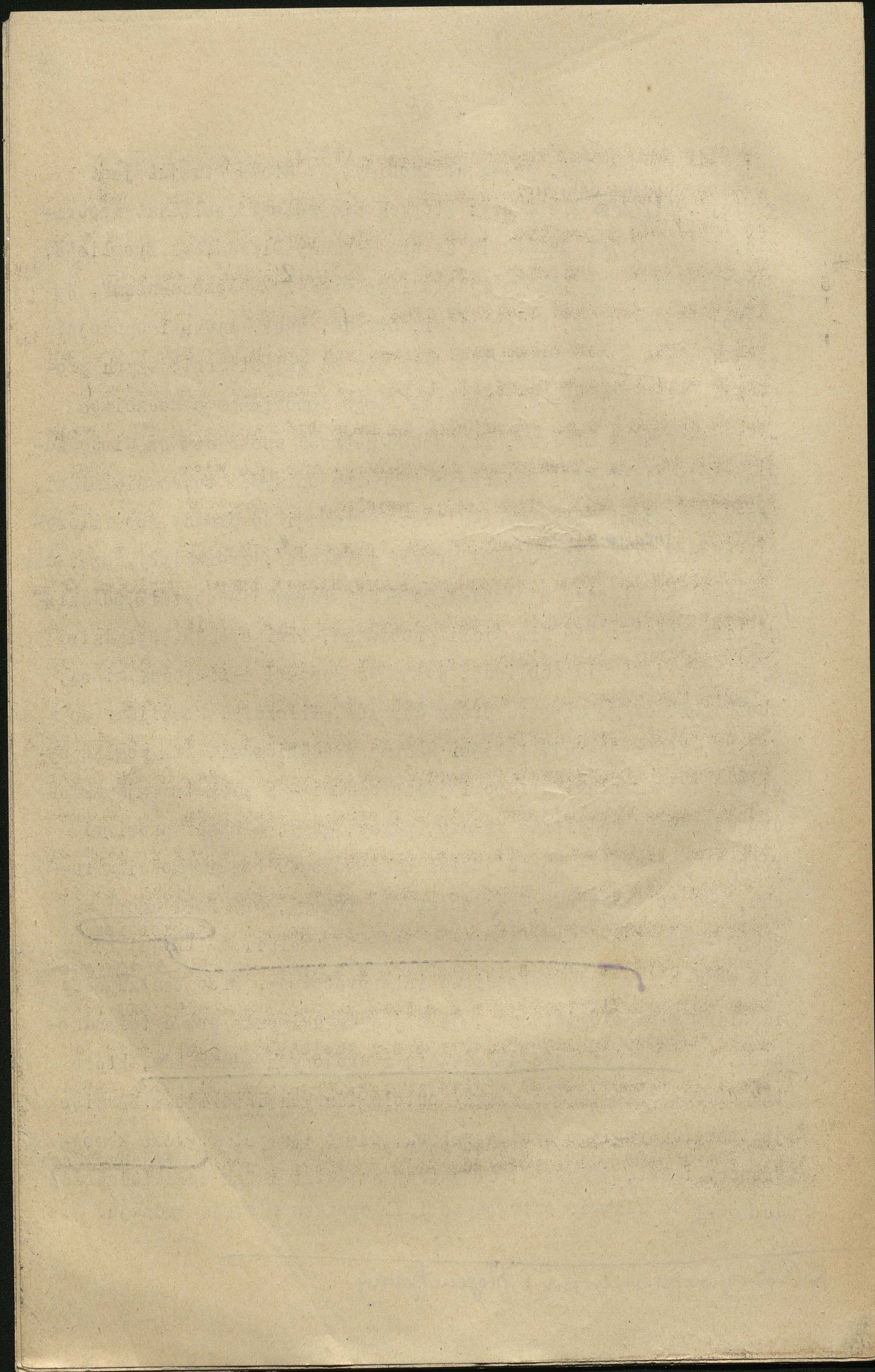
kościami bardziej przestrzennemi /dźwięk dzwonu z dzwonem, smród zdechłego kota z jego wizją wzrokową, bo o dotykaniu padła, nawet tu, mówić nie będziemy/. Tak więc będzie to jakość "wolna" złożona, a ponieważ jakości same nigdy nie występują, tylko w kompleksach, na tle "tła zmięszanego, niezauważonego jako takiego" /taki jest pełny tytuł tej istności wspaniałej wynalazku Corneliusa/, więc i ta plama będzie częścią całego pola widzenia, które tylko w jej najbliższej bliskości będzie wyraźne, a dalej będzie tłem jej w dosłownem znaczeniu, barwnem, przestrzennem, jak i tłem dalszem będzie jednoczesna audycja radjowa z sąsiedniego okna i huk samochodów, a jeszcze dalszem: cała, niepowtarzalna nigdy i nigdzie już, przeszłość danego osobnika, wskutek której tak będzie tę plamę widział, jak nikt inny przez wieczność całą w nieskończonem Istnieniu. Reista zaznacza, że odnosi się on do "obserwatora naturalnego, czyli nie doznającego wątpliwości autokrytycznych, wskutek refleksji nad warunkami spostrzegania" - świetna definicja t.zw.popularnie "zdrowego rozsądku" = możemy więc"początkującego"reistę /zwracam uwagę na ważność tego terminu, co się okaże później w związku z trzema źródłami reizmu/ uważać za równoznacznego z przedstawicielem "komonsensu". Otóż on powiada, że nie widzi nigdy "czerwonego" jako takiego, tylko "coś czerwonego" - dobrze, w wypadku pudełka zgoda - ja nie jestem fanatykiem żadnej ideji monistycznej, mam w tej kwestji tę beztroskę, jaką mają empiryści à la James, Chwistek, Russell i t.p. w kwestjach wogóle filozoficznych: ja przyjmuję, że tak jak mogą być bezpośrednio i nie-bezpośrednio dane przedmioty /rzeczy/ nie robię tragedji z przepaści między przedmiotami: "imanentnym" i "transcendentnym", tak samo mogą być jakości wyznaczające rzeczy bezpośrednio i pośrednio,

pośrednio, t.zn. jako przedmioty fizykalne n.p./elektrony/, a nie rzeczy poglądu życiowego - te ostatnie jakości nazywam "wolnemi". A więc dobrze: widzę pudełko czerwone, a pod żadnym pozorem nie czerwień pudełka, chociaż to jest codzienny proceder zwracania uwagi na własności rzeczy poszczególne czyli analiza bezpośrednio danych kompleksów Corneliusa. Nazwą czerwonego pudełka oznaczam kompleks jakości o prawidłowym związku przestrzennym - nie istnieje taka rzecz dla reisty, ale narazie mniejsza z tem. Ale w wypadku plamy widzę plamę jako taką i to ma znaczenie nazwa "plama", że właśnie nie widzę rzeczy, tylko plamę; a wątpię, czy dlatego reista zechce traktować plamę, kleks, zabarwienie kawałka muru, żyda atramentowego, brud zakakanych gaci, jako nazwy pozorne - on raczej gotów potraktować te istności, jako rzeczy i nawet tak je traktuje faktycznie. Ale jak? Odpowie: to są części rzeczy: może tak odpowie, bo dotąd nie odpowiedział: wobec nierozwinięcia aktualnego reizmu przeciwnik sam musi tę koncepcję "rozbudowywać". A więc jeśli wyłupię z muru odpowiedni kawałek, będę miał czerwony kawałek gruzu, jeśli wytnę kleks z płótna, żyda z papieru, brudny kawał gaci, to będę miał kawałek płótna koloru kleksa, czy brudu gaciowego, lub kawałek fijoletowego papieru. Tak mogę iść dalej i dzieląc przedmioty zawsze "zrobić" [ale muszę tego materjalnie ciężką /jak przy murze/ pracą dokonać] z jakości niby wolnej, własność danej rzeczy. Ale tu nie mówimy o tem: wyobraźmy sobie, że tego zrobić nie wolno, ani nawet jako eksperyment myślowy, a nie tylko przez związanie, niecierpliwych w kierunku fabrykacji nowych rzeczy, rąk reisty. Bo gdzieżbyśmy zaszli? - Oto wprost do fizykalnego poglądu. Bo dzielić tak w wymiarach widzialności i macalności nie moglibyśmy bez końca, a wiadomo, że materja dzielona rozpada się

najprzód na kawałki, potem na drobiny, na atomy /tu już jest gorzej/, a potem elektrony, których nie możemy sobie już wyobrazić, tylko możemy podstawić za nie formuły Diraca, de Broglie'a, Schrödingera, czy innego djabła i co wtedy. Z "komonsensem", ze spokojem człowieka, który widzi, ogląda, maca, wącha i spokojnie to opisuje koniec. Komonsens jeży się od najpotworniejszych problemów. Nie pomoże rada Chwistka /tego demonicznego poczciwca na logistycznym stolcu/, aby sobie patrzeć spokojnie na Wieżę Marjacką /najlepiej/ i potocznym językiem opisywać to co się widzi, tworząc "indywidualny system" bez pretensji do prawdy /bo filozofja to coś poza kategorjami prawdy i fałszu/, zrozumiały nawet dla w dowolnym stopniu zjełopiałego w umysłowem nieróbstwie polskiego literatnika: kto nie widzi problemów, tkwiących w poglądzie życiowym, jest "ideenblind", jak mówi Husserl i niegodny miana, zbezczeszczonego zresztą przez durniów, filozofa. Doszliśmy do fizyki, która operuje takiemi samemi przedmiotami, jak pogląd życiowy, tylko małemi bardzo i jednorodnemi - z nich to mają składać się nasze codzienne rzeczy, płyny, gazy, a nawet promienie różnych gatunków - są to jakieś bądź co bądź rozciągłości w ruchu, czy to elektrony, czy pola, czy fotony, czy fale czort wie czego - od tego schematu fizyka się nie uwolni, o ile jej równania mają być rzeczywistościowo interpretowane. Albo też zupełny idealizm psychologistyczny, jako jedyna ucieczka przed twierdzeniem, że rzeczywistość składa się z urojonych elementów, które tak cieszy /niewiadomo czemu/ ontologicznych idealistów. A więc jesteśmy u drugiego źródła reizmu, ale o tem potem. Jest komonsensowy facet, jako ten, co patrzy na świat i jak cała ludzkość dochodzi do fizyki: ontogeneza i filogeneza w swoim rodzaju. Ale

./.

*) Rozwój ontogenetyczny i filogenetyczny.



134

jeszcze jest prócz tego "komonsensman" /Zdroworozsądkowiec, życiowopoglądowiec, bydłostańczyk, prostopatrzca/, widzi, patrząc na świat bez przesądów x/ i to co "onże" mówi: /ojciec/ on mówi, że nie są mu dane barwy, kształty, uciski /a co z zapachami, smrodami, dźwiękami, czuciami nieokreślonemi wewnętrznemi i t.p.? - o tem później - tam reizm musi zdrowo się naciągać, aby wytrzymać napór "swobodnych" jakości/, tylko coś barwnego, kształtnego, uciskającego i t.p. Wypowiedzi te mają być wypowiedziami niezepsutego faceta określonego poprzednio, ale nie wiem, czy nie przecenia się tutaj form mowy, podobnie jak Russell, tylko naodwrót: uczony ten twierdził znów, że niema żadnego "ja", tylko są nieodpowiadające istotnej rzeczywistości formy językowe. Ostatecznie więc, w sposób zupełnie bezprzesądowy mówiąc, plama jest właśnie plamą, t.zn.plamą barwną, czy staniemy wprost muru, czy ukosem do niego, nic to nie zmieni jej istoty, jako plamy - chyba że podamy inną definicję plamy na podstawie wyżej wymienionych możliwości odpowiedniej"przeróbki materjalnej" przedmiotu inkryminowanego. Inaczej, jeśli to nie będzie dozwolonem, to "komonsensman" odpowie nam, że widzi czerwoną plamę, a gdy go poprosimy o definicję jej, to powie - może jest to farba rozmazana na murze, wyrażając nieściśle to, co chciał powiedzieć: dla niego to jest właśnie czysta czerwoność; ale ponieważ wie /i tu dotykamy ważnego dla reisty, a nie dość uwypuklonego problemu stosunku "wiedzy wprost","wiedzy przez znajomość" /knowledge by aquintance B.Russella/ i wiedzy przez poznanie /zapomocą zawi-

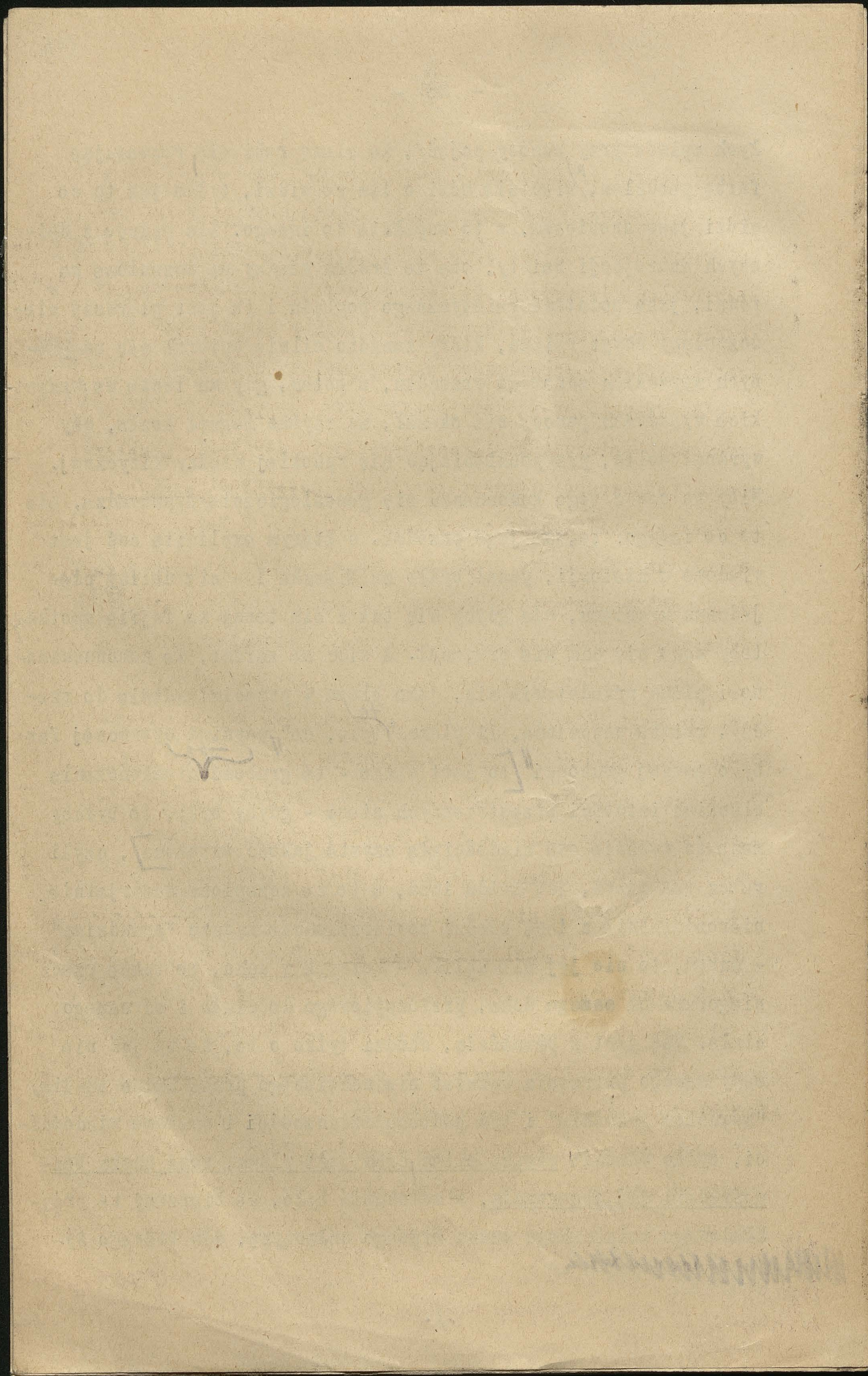
---

x/ Świetny skrót życiowego poglądu, na który, jako na klasyczny opis jego, można zawsze się powołać, daje Ingarden w swojej krytyce ~~fizjologicznej~~ psycho- teorji poznania.

./.

łych opisów przy pomocy pojęć/, że plamę robi się, rozmazując farbę pendzlem, więc nie mówi o tem co widzi, tylko jak to co widzi jest zrobionem, a to zupełnie co innego. Ale sądząc z dalszych enuncjacji reisty, oba te źródła wiedzy są dozwolone na równi, jako podstawa reistycznego poglądu i tu jest pierwszy niedozwolony chwyt reizmu, który zanadto silnie opierał się na pewnych wypadkach zdrowego rozsądku, a potem, gdy mu tenże we wszystkich wypadkach pomocy nie okazał, za szybko magnął kozła, czy wyrżnął woltę, przypochlebiając się wysokiej wiedzy fizycznej. Niby to ona z tego komonsensu się genealogicznie wyprowadza, ale to co innego: to, że jego przodek, o którym explicite coś jest wiadomo w historji, pasał bydło za Mieszka I - nie ubliży niejednemu hrabiemu, ale gdyby się tak z nim teraz na fajfie spotkał, toby może się doń nie przyznał. A więc na zarzut, że komonsensmanowi plama przedstawia się, jako plama w przeciwieństwie do rzeczy, reista odpowiada, iż plama "tyle, co" warstwa czerwonej farby o pewnej grubości" [to jest ważne - ta grubość nieskończenie cienkich istności przestrzennych niema - gdyby były, to byłaby może to właśnie owa niedościgła czysta jakość wzrokowa], czyli rzecz tak dobra, jak każda inna, a to że zczepiona materjalnie nierozdzielnie z inną rzeczą powierzchownie sądząc "prawdziwą" - murem, to nic jej nie ubliża - kolczyk w uchu, to także rzecz niegorsza od samego ucha, przyczepionego do ciała i od samego ciała. Tak jest z pewnością, chodzi tylko o to, że tu już nie mamy samego patrzenia na świat nie schwianego przez żadne analizy "warunków poznania" i tym podobne sztuczności i naukowe wiadomości, tylko właśnie wiedzę o tem, czem jest plama, poza naszą bezpośrednią jej obserwacją, a założenie było, że bierzemy na przykładowego reistę Bogu ducha winnego człeczynę, dla którego ży-

./.



ciowy pogląd to świętość; *) to przecie ten sam facet, co mówił, że widzi zawsze "coś" czerwonego, a nie samą czerwień /odróżnić od czerwoności/ i ten jego sposób mówienia miał być dla nas nienaruszalną świętością. To jest przejście delikatne /nawet nie bardzo delikatne - to ono reiście takiem się wydaje/ do wiedzy przerastającej przedłużoną wiedzę poglądu życiowego o niebo całe, do fizyki. Do skonstatowania tego, że plama to warstwa o pewnej grubości wystarcza chwila zastanowienia /zwłaszcza u malarza, nawet pokojowego/ i dobra lupa, jako instrument pomocniczy, zwłaszcza jeśli chodzi o malarstwo olejne. W razie akwareli lub tuszu jest już nieco trudniej: tam nie mamy już warstwy farby, tylko drobną zawiesinę kolorową w płynie, roztwór, albo co gorzej kolorowy płyn jednorodny /w tej chwili nie przypominam sobie czy są takie płyny nawet/: tu przejście do fizyki jest wyraźniejsze: musimy tu nie brać jednej rzeczy, tylko traktować kolektywnie wielką massę cząsteczek farby, które zostają po wyschnięciu wczepione w papier, czy mur, czy brudne gacie - wszystko jedno. To już nie to, ale ostatecznie kupa małych rzeczy: "cząsteczek - różnica tylko ilościowa: tam duże, tu małe - można wytrzymać. Ale to już pełna "wiedza" - nic w niej niema już z naiwnego poczciwiny, którego zostawiliśmy daleko w tyle za sobą. Nie jest to jeszcze wiedza dzisiejszego fizyka, ale jesteśmy jej niedaleko, bo oto pojawia się w letni dzień "uśmiechów przez łzy", tęcza ponad lasami, przesłaniając dalekie góry i zataczając łuk swój podwójny wysoko poprzez spiętrzone kumulusy - "taż to panie przecie czysta barwa - raczej wstęga barw zawieszona w powietrzu" - dosłownie wolne jakości prześlicznie do tego ułożone.- "Gdzietam" - powie nasz reista (przykładowy), który z naiwnego poczciwca stał się nagle wcale

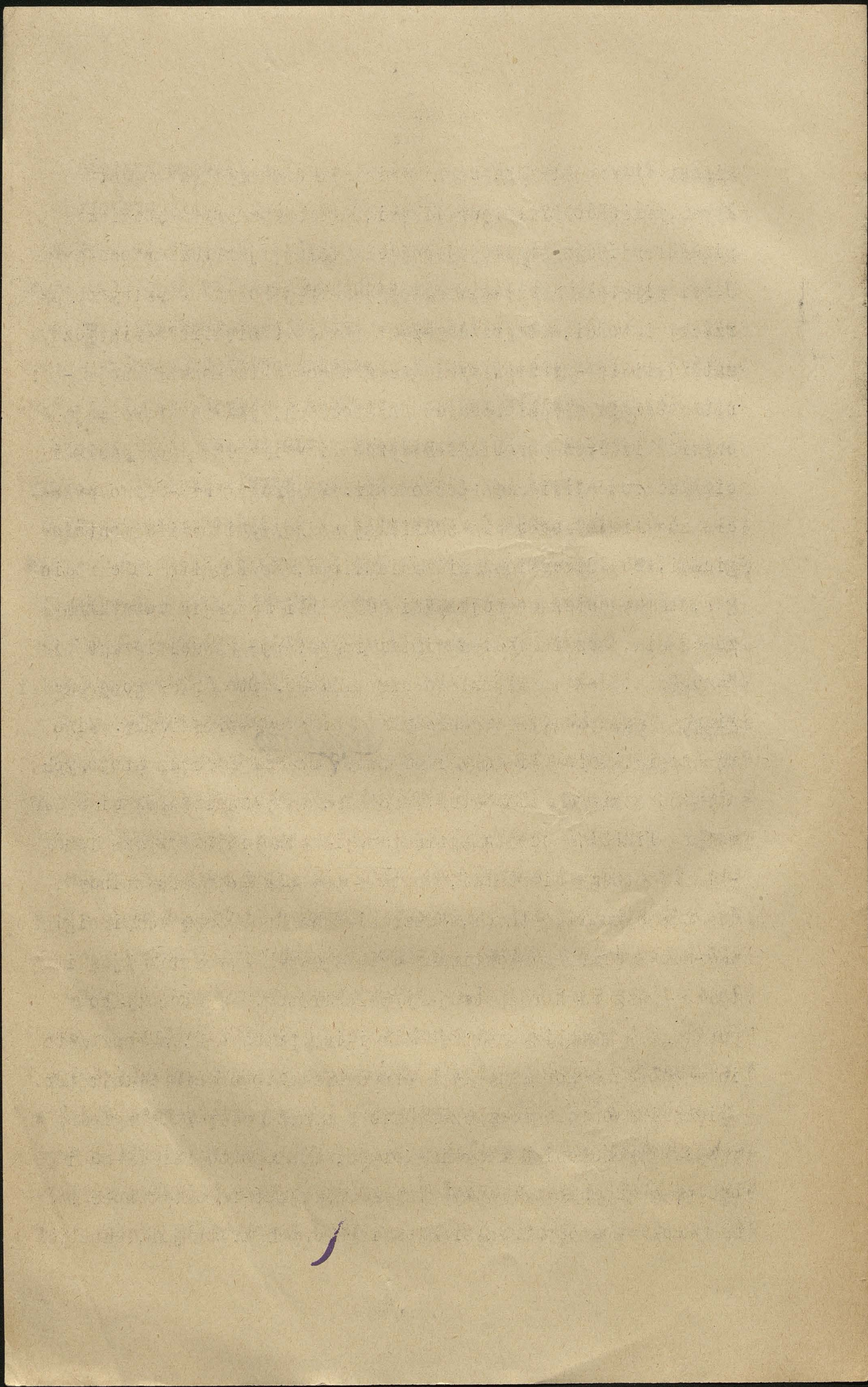
*) Ale gdzie się kończy w takim razie życiowy pogląd? Czy nie bierzemy tu fizyka poniżej tego poglądu? (i to w kierunku psychologicznym?) Albo też czy nie trzeba będzie włączyć do życiowego poglądu całej wiedzy ludzkiej o naturze, w danej epoce?

nieźle stosunkowo obkutym fizykiem. "To wcale nie barwy czyste, wiszące sobie "jakoś" w przestrzeni, tylko rzeczy w pewien sposób się zachowujące, a mianowicie łamiące światło w pewien specyficzny sposób: to kuleczki drobne pary wodnej, które z bliska nawet gołem okiem bym widział, jak to jest n.p. z parą, wychodzącą z imbryka". Dobrze - ale w chwili patrzenia na tęczę "onże" reista nie widzi kulek pary, jako takich, tylko właśnie same barwy, wiszące sobie „jakoś" bezprzedmiotowo w powietrzu. Może powie on, że tęczę widzi barwną, a tęcza to rzecz, to coś, to nie nazwa pozorna, bo "przedmiot" jej jak byk stoi przed nami. Ale tu nawracamy do form językowych poczciwca, który mówi, że widzi coś = tęczę, jak to sam rzeczownik i forma gramatyczna, składniowa, w której jest użyty, wskazuje: widzę nie kolory, ale kolorową tęczę. Ale tu zwracamy się z wyżyny /pewnej/ fizyki znowu do poczciwca i apelujemy do jego językowych przyzwyczajeń. A czemu ten znowu język jest nam tu kryterjum, ten język, który obrugaliśmy za dostarczanie nam życiowych skrótów na nieistniejące przecie według reisty "przebiegi jako takie" /są tylko zmieniające się rzeczy, a zjawisko to hypostaza/; jak język to język - to i nazwy pozorne trzeba było przyjąć za rzeczywiste, bo rzeczywiste zjawiska nie naocznie one "przedstawiają", według terminologji Twardowskiego. Od bezpośrednich wrażeń do języka, od języka do fizyki i z powrotem szuka w kółko reista na wszystkie boki potwierdzenia swej sztucznej tezy, w którą wierzyć uwziął się poprostu gwałtem - szuka naprożno, bo rzeczywisty stan rzeczy pełen rzeczywistych, a niesamodzielnych momentów, przeczy spokojnie jego teorji samem swem istnieniem i mówi: "tak prosto to się mnie opisać nie da. Trzeba trochę więcej "porabotat' baszkoj". Na-

wiasem wspomnę tylko, że niezmiernie niebezpieczne jest odwoływanie się do kryterjów fizyki, która sama przechodzi kryzys piekielny i wszystkie jej pojęcia falują jak rozżarzona magma. Jeśli się tak wierzy w fizykę /jaką?/ jako w adekwatny opis rzeczywistości, to przedewszystkiem jest się fizykalistycznym materjalistą - trzeba wyciągać z tego faktu konsekwencje - nie można tu siedzieć na dwóch stołkach, jak to prawo mają czynić fizycy w obrębie ich dyscypliny i być jednocześnie i ciągłościowcami i cząsteczkowcami. Po drugie nie-dawno przecie zawyli jednogłośnie z dzikiej rozkoszy idealiści ontologiczni, bo według ich mniemania Dirac, De Broglie i Schrödinger, ta demoniczna trójka "niszczycieli materji" w zwykłem znaczeniu, rozwiała niby nienawistną im materję w puch i zastąpiła "wzorami"! Jak to się stało nie wiadomo. Oto do czego prowadzi wiara niesłuszna we wspaniałą w swoim zakresie fizykę. Więc rzeczywiste stoły i góry i planety składają się z urojonych, niewyobrażalnych elementów? A ciała, a my sami, złożeni według materjalistów w ostatniej instancji tylko i jedynie z atomów - też jesteśmy nierealni, bo te atomy składają się z indywidualnie nieobliczalnych, "wszędzie" się znajdujących i nigdzie w 9-mio wymiarowem kontinuum działających na siebie /jeśli tylko dwa z nich rozpatrujemy/ elektronów. Są więc tylko punktalne "metafizyczne" jaźnie i ich przeżycia, a reszta to intencjonalne korelaty tych przeżyć, w istocie nie istniejące.

W idealizm ontologiczny zapędzić nas może wiara bezwzględna w adekwatność opisu fizyki - ot co; dlatego to reista musi być niesłychanie ostrożny /tu właśnie jest ta ostrożność na miejscu/ w odwoływaniu się do fizykalnych kryterjów, choćby

./.



dopóki fizyka nie wyszła z okresu stadjum ostrego kryzysu swych podstawowych pojęć. A dzieją się tam rzeczy przykre - nagonka na pojęcie przyczynowości wogóle, dlatego że ułomnościowo poprostu /istotnie nie technicznie tylko to prawda/ nie możemy dokładnie określić stanu inicjalnego;zbezczeszczenie euklidesowości przestrzeni i nieskończoności świata dla wygody opisu danego wycinka świata / wycinka w stosunku do pojęć wielkości i małości, a nie przestrzeni jako takiej/ /już podobno niekonieczne teraz/,na skutek którego popularyzatorzy wmawiali nam, że musimy sobie to wyobrazić; a tu jednocześnie wygnany przez drzwi obserwator pakuje się bezczelnie przez okno - nie to nie jest obraz zachęcający, aby z fizyki robić metafizykę, jak to za Newtona jeszcze było wyobrażalne. Fizyka to nie ontologja. Dla nas, którzy uznajemy przybliżony /jako zbyt dokładny/ opis fizyki w stosunku do nie-absolutnie dokładnego, ale mającego swoistą, względną przyczynowość świata, złożonego z /IPN/ = monad, których wielość stwarza statystyczny porządek materji martwej, złudnej jako takiej, ale rzeczywistej, istniejącej "w sobie" jak wielość /IPN/, dla nas, powtarzam, niema problemu fizyki w tej jadowitej formie. Bo dobrze mówić, ale dopóki nie było fotonów, takich malutkich "rzeczułek", to co robił reista ze światłem, stwarzającem barwy w kulkach pary wodnej? Jak mu się przedstawiały jako rzeczy falowania, czort wie zresztą czego, te pola elektromagnetyczne przenoszące się i prostopadle do siebie ustawiane i tym podobne rozciągłości w ruchu? Według mnie w realistycznej swej interpretacji nie bardzo klapują te istności z realistycznem pojęciem materjalnej rzeczy z życiowego poglądu, a to ona właśnie przecież jest

punktem wyjścia reizmu, i to nie klapują mimo to, że się genealogicznie z tej rzeczy wywodzą. Miesza tu wszystko drugi element fizykalnej dwoistości - energja, pochodna od siły, a to właśnie przez to, że zastępuje w fizykalnem wysublimowaniu "cząsteczki" to właśnie, co stanowi jej materjalność, którą ona czepia się jeszcze wyobrażalności rzeczy życiowego poglądu. Jak zastąpiliśmy elektron przez układ fal, zrobiliśmy koniec z interpretatowalnością realistyczną pojęć fizykalnych. Wspaniałe "niezrozumialstwo" fizyki w stosunku do pojęć normalnych, przy jednoczesnem sprowadzaniu się przybliżonem fizyki tej w stosunku do rzeczywistości! Ale dość - sama problematyka tej sfery dowodzi, że nie można czynić z niej kryterjum żadnych filozoficznych stanowisk. Zrozumieć jej istotną niedosiężność dla niespecjalistów, zrozumieć jej istotę, powyżej zaznaczoną i z respektem usunąć się jaknajdalej od niej, w chwili rozstrzygania problemów filozoficznych, wziąwszy z niej te pojęcia, które mogą być użyte faktycznie w opisie świata filozoficznym, czyli w uzgodnieniu zasadniczych poglądów, które on implikuje, jeden z nich to właśnie pogląd fizykalny. Tak więc dowody reistyczne nie mogą nas zadowolnić. Przechodzimy do punktu następnego: błękit nieba. Gdzie tu jest przedmiot, rzecz błękitna, w bezpośredniej wizji dana. Jeszcze z tęczą można to było jakoś naciągnąć, że na tle chmur i lasów widzimy coś zawieszonego w przestrzeni, bardziej jakby na pierwszym planie, niż tamte istności, jakkolwiek to coś jest niematerjalne, nie rzeczowe: widzimy właściwie barwy - nic nie pomogą żadne wmawiania, ale widzimy je nie w nieskończoności, ani nie nieskończenie blisko, tylko zlokalizowane gdzieś w Przestrzeni Rzeczy-

wistej, podobnie jak przedmioty materjalne - na tem polega złudzenie, że to jest coś w rodzaju rzeczy.*) Ale znowu, używając beztroskiego sposobu mówienia reisty, czysty jakościowiec, czy raczej ich kompleksowiec, bynajmniej nie zaprzecza, że mogą być jakości czyste, zlokalizowane w przestrzeni: przeciwnie daleki jest od tego twierdzenia: każda jakość gdzieś jest zlokalizowana, choćby najbardziej nieokreślenie w głębi przestrzeni /n.p.niebo właśnie/, to w każdym razie jest "jakoś" /czemubym i ja nie miał użyć tego słówka?/ zlokalizowana kierunkowo. Nawiązując do tego, zastanówmy się, co widzimy patrząc na niebo. Przedewszystkiem zauważyć należy, że jeśli reista, z poczciwiny, co to ledwo że wiedział, że jest wogóle na świecie, wyrobił się przez ten czas na takiego fizykalnego demona, to i pewną dozę zdolności introspekcji także wypada mu przyznać, bo inaczej założymy istnienie jakiegoś potwora o nierównych linjach rozwoju wewnętrznego, wbrew ideałom Greków. Dalej więc, przy założeniu, że reista będzie z całą dobrą wiarą analizował swe wrażenie, nie dociągając ich w interpretacji do zgóry powziętych przekonań, (bo nic gorszego nie może być w filozofji), musimy wgłębić się z nim w niebo, takie, jakie widzimy, nie myśląc o żadnej fizykalnej teorji. Jakkolwiek "nie widzimy nieskończoności", bo taka rzecz jest niemożliwa, ale, w przeciwieństwie do momentu patrzenia ponuro w ziemię, mamy przed nami obraz nieograniczonej przestrzeni, czyli jak to po prostu "toniemy w przestworzach". Biorą w tem udział, jak we wszystkich wrażeniach, zjawiska tego, co nazwałem "wyobraźnią dotykową". Tylko o ile w postaci "zaznaczonych ruchów" i wyobrażeń muskularnych, pozbawionych choćby nawet najlżejszego świadomego dla nas napięcia mięśni, w stosunku do rzeczy widzianych, mamy pewną granicę osiągalną

*) Ale przy zamknięciu jednego oka rzeczy trójwymiarowe giną z przestrzeni wzrokowej natychmiast, a niebo jako tako trwa jako rzecz.

lokalizacji "spełnionych pożądań dotykowych", t.j. faktu zajścia choćby teoretycznie nawet "objęcia góry", jeśli założymy nas (w fantazji) wzrastających systematycznie w miarę zbliżania się do niej, o tyle patrzenie w pusty błękit nieba, (bez obłoków nawet), daje nam to specyficzne, bezpośrednie poczucie nieograniczenia /z którego wnioskiem jest pierwszy i zdaje się jedyny sąd syntetyczny a priori: "pojęcie nieograniczoności implikuje pojęcie nieskończoności"/, polegające na tem, że nie znajdujemy przed nami określenie zlokalizowanych punktów w przestrzeni, jako punktów zaczepienia dla spełnienia w wyobraźni naszej "chapczywości" fantazji dotykowo-ruchowych. W każdym razie wrażenie od nieba odznacza się właśnie czemś okropnem dla reisty, to jest absolutnym brakiem rzeczy, o ile naturalnie zrobimy abstrakcję od wiedzy fizykalnej i nie będziemy myśleć o "kulkach powietrza", w których specjalnie załamują się promienie słońca. Samo niebo nie stanowi też pozornej, bezpośrednio widzialnej jako takiej błękitnej rzeczy - jakiegoś klosza o pewnym pozornym promieniu, którybyśmy jako taki właśnie czuli jako zamykający nad nami nieograniczoną przestrzeń, mimo że może nie widzimy też nieskończoności jako takiej, czyli że błękit ten nieokreślenie, a skończenie jest zlokalizowany, widzimy błękit, a nie rzecz. I choćby kto powoływał się na Greków, którzy widzieli kopułę nabitą gwiazdami jak gwoździami, nie uwierzymy, że w dzień absolutnie pogodny sam coś podobnego widzi. Może przenosi te skojarzenia z nieba nocnego, które łatwiej wyobrazić sobie jako skończone, ze światełkami w pewnej odległości, i widzi je w ten sposób i w dzień, mimo że bez światełek. Czy w tej, czy w innej odległości zlokalizowany, ja widzę błękit, a nie błękitną rzecz. Co do drobin powietrza, to

./.

już omówiłem ten wypadek ogólnie poprzednio. Na to nie da się nic więcej odpowiedzieć, ale myślę, że to wystarczy.

"Bezpośrednio dane" rozróżnia realista radykalny, czyli reista w dwojakim rodzaju: a/ to co spostrzega nieprzesofistyczniony reista opisany trochę ironicznie powyżej, to jest taki, który spostrzega tylko rzeczy (cosie)/ i takim ma być naturalny człowiek naprawdę/ i b/ to, co spostrzegamy naprawdę istotnie, nie z pozoru, bez dodatku tego, co jest domyślne. Pierwszy sposób zawiera w sobie obronę przeciw możliwościom, określonym negatywnie przy drugim. Twierdzenie, że dopiero uczony namysł doprowadza nas do spostrzegania jakości - nie jest słuszne. Oczywiście czyste stanowisko psychologistyczne, na które i ja się nie zgadzam, uznając je za część tylko Prawdy Absolutnej, jest wysokiej marki "wymysłem intelektualnym" x/, ale nie dowodzi to, że niema absolutnie nigdy i nigdzie wolnych jakości. Udowodniłem, że nawet w sferze jakości normalnie wyznaczających rzeczy nie można, bez jawnego przekręcenia faktów i powoływania się na niewspółmierne kryterja: zdrowego rozsądku i fizyki /szczególniej dzisiejszej/, udowodnić absolutności reistycznego stanowiska. Trzecie znaczenie "bezpośrednio danego" byłoby według Kotarbińskiego następujące = "to, co spostrzegamy w sposób najpewniejszy" i wtedy, twierdzi autor, "spostrzegaczowi dany tak jest on sam, jako ten, któremu się wydaje, że rzeczy obserwowane są takie, a takie." Czemu odpowiednia wypowiedź miałaby być: "Zdaje mi się, że itd.". Nie jest to w każdym razie

x/ O ile wszystko bez reszty i rzeczy i osoby sprowadzamy tylko i jedynie do następstw jakości, nie uznając jedności osobowości za bezpośrednio daną-nie

./.



wypowiedź założonego powyżej reistycznego prymitywa, bo temu mogło się co najwyżej zdawać coś określonego /że n.p. owoc sztuczny to owoc naturalny i t.p./, ale jako taki, t.j. jako ten poczciwiec, nie mógłby on mieć pojęcia o jakiemś "ogólnem zdawaniu się wszystkiego" /że rzeczy są takie, a takie/ - dla niego rzeczy są takie i kwita, bez żadnej wątpliwości; albo nie jest tym poczciwiną, tylko przesofistykowanym mądralą XX-go wieku. Kotarbiński, zamiast powiedzieć coś wprost, rozważa zawsze wielką ilość znaczeń jakiegoś pojęcia i potem któreś z nich "bodajże" "jakoś" uznaje za takie, któregoby się ewentualnie nie wyparł. Oczywiście, że powyższe zdanie ze słowem "zdaje się", nie jest zdaniem stwierdzającem istnienie jakiejś treści. Jednak zdań takich, niekoniecznych do przyjęcia, możemy skonstruować bardzo wiele, chodzi o to czy musimy typ ich przyjąć za ogólną formułę opisu rzeczywistości. Sądzę że nie: jeśliby ktoś wbił nóż w brzuch Kotarbińskiego, to wątpię, żeby po chwilowym namyśle wyrzekł zdanie: » zdaje mi się, że mnie boli - chyba ktoś musiał dźgnąć mnie porządnie w brzuch", a to tyle co: "w nerwach moich jest przebieg, to skrót = nerwy moje są raz takie, raz siakie i owakie, co zmusza mnie do wypowiedzi prawdziwej - zgodnej z rzeczywistością, a rzeczywistość to rzeczy zmieniające się, że: boli mnie brzuch, a to tyle co: ktoś, jakaś rzecz doznająca, umieścił widać jakoś jakąś rzecz twardą pośród moich /skrót/ flaków, a ja jako rzecz jakoś doznająca itd. itd.". « -/pozwalam sobie na karykaturę/ - nie Kotarbińskiemu niby się jako rzeczy doznającej nie zdawało: on by ryczał z bólu i wołał pomocy innych rzeczy doznających. Nigdy nie wątpiłem, że reista twierdzi, że niema rzeczy wonnych,

krągłych, ciepłych i plugawych, tylko pytałem co to znaczy zdanie, że takie rzeczy są: na to, że ja jestem nic poradzić nie mogę, ale psychologiści - od Berkeleya - dowodzą słusznie, że rzecz da się rozbić, jak i nasze przeżycia, na jakości, że jest jednak jeden rodzaj naturalnych elementów całej rzeczywistości bez naciągania = jakości; a póki coś daje się rozbijać filozof nie może spocząć, bo o to właśnie rozbicie na ostateczne elementy w nauce chodzi: w fizyce inaczej, w filozofji inaczej: rozbicie i wyrażenie we wspólnych jednostkach całości. W fizyce jest zdaje się na dnie nieunikniony dualizm /ciągłość i cząsteczki/ - jest i w filozofji: według mnie: Istnienie Poszczególne i jakości w jego trwaniu. Złudne było wrażenie psychologistów, że zaprowadzili monizm zupełny, eliminując /IP/ i upodabniając pogląd swój do poglądu naukowego, nie przez materjalizm, ale przez spsychologizowanie wszystkiego i samego materjalizmu też. Okazuje się, że istnienie ma faktycznie strukturę dwoistą niesprowadzalną: "ja" i świat; ale o ile psychologizm może wejść jako system częściowy w system Prawdy Absolutnej, o tyle reizm nie może, bo jest to sztuczny i werbalny monizm, który już z niczem innem pogodzonym być nie może: musi być przyjęty jako jedyna Prawda, jak wszelki dogmatyzm, albo odrzucony: ja go jako taki odrzucam /z dowodem/, ale twierdzę, że w ostateczności, mimo oparcia o materjalizm fizykalny, jest to zamaskowany i źle sformułowany psychologizm, prowadzący do monadyzmu: jako taki może być po pewnych transformacjach w monadyzm wessany.

Wracając do kwestji rzeczy co począć z takiemi "przedmiotami" /brrr - jakże nienawidzę tego sposobu mówienia - widać za niem beztroską odproblemioną twarz logistyka lub carnapi-

./.

sty, który z wyrazem wyższości rzyga na wszystko zgóry à tortetà travers, a życiowo nastawiony tłum wierzy mu, że tak trzeba/, jak powietrze, albo woda. Jeszcze ta ostatnia dzieli się na rzeki, morza, jeziora - te ostatnie są zamknięte, jakoś ograniczone; ale ocean Atlantycki, albo Amazonka - co to jest u djabła? Czy jeśli wkładam rękę do wody, albo włażę nawet w nią cały, mam wrażenie, że to jest rzecz? To jest bezwzględnie "coś", raczej wnioskuję, że coś tam musi być na podstawie doznań dotykowych, ale nie mogę nazwać tego rzeczą w tem znaczeniu, jak stół, szafa, góra, a nawet księżyc, Syriusz i Droga Mleczna. Jest to bezwzględnie coś odrębnego nawet od rzeczy niedotykalnych, jak dalekie gwiazdy i Droga Mleczna, którą rozkładam w lunecie na wielość takich rzeczy, jak te gwiazdy. To jest pewna niezamknięta ściśle ciągłość bezpośrednio na cząsteczki swe we wrażeniu nie rozbita. Otacza mnie "coś", raczej czuję narazie wolny dotyk, swobodną jakość dotykową, nie czując żadnej określonej rzeczy /a chyba reista nie może mówić o rzeczach nieokreślonych - on musi uznać stan ciekły i gazowy za złudę wynikłą z rzadkiego rozmieszczenia rzeczy "prawdziwych", takich jak stoły i kamienie/ i /w analogji do dotykanych rzeczy stałych/ wnioskuję, że może to być wielka kupa małych "rzeczułek", na które rozłazi się i staje się przez to mniej gęsta /w tej gęstości tkwi właśnie cała "rzeczowość" rzeczy, w jej nieprzenikliwości/ rzecz prawdziwa, twarda rzecz życiowego poglądu. Weźmy przykład inny na dowód, że jest jakość swobodna dotykowa /oczywiście nie w tym stopniu może co inne - psychologista może przyjąć "stopnie" takie - nic go to nie obchodzi, nie wywraca to jego poglądu/, jakość nie tak wyznaczająca określoną rzecz, jak n.p.dotknię-

cie /pierwsze/ końcem palca w stół. Sądzę, że polega to na nieokreśloności lokalizacji, a także na dłuższem niezmiennem trwaniu danej jakości x/. Sprobujmy objąć mocno jedną ręką drugą w przegubie: w pierwszej chwili czujemy "rzecz", która nas /my sami siebie/ chwyta, ale po chwili trwania tego stanu rzeczy tracimy poczucie rzeczy chwytającej: mamy uczucie, że coś nieokreślonego gniecie nas, czujemy ucisk "czegoś"; jeszcze chwila nieruchomego trwania tego stanu rzeczy i mamy uczucie zupełnie nieokreślonego "rzeczowo" dotyku-ciśnienia i to nietylko w ręce zaciskanej, ale nawet w tej, która ciśnie palcami, najbardziej zdaje się predystynowanemi do odczuwania rzeczy jako takich w ich twardościach, różnicach gładkości i formach. Ale jeszcze gorzej jest z powietrzem. Póki jest nieruchome - niema go bezpośrednio /poza oddychaniem, w którem jako takiego właściwie go nie odczuwamy - w każdym razie nie jako "rzecz" w reistycznem znaczeniu bezpośredniem. Kiedy się rusza /o czem wiemy/ mamy czyste wrażenie dotykowe /nawet do stopnia silnego gniecenia czy uderzenia/, a nie mamy bezpośrednio poczucia istnienia jakiejś rzeczy. Raczej jesteśmy skłonni widzieć w wietrze, animistycznie, czy antropomorficznie jakiegoś nieokreślonego ducha, ale w żadnym razie nie rzecz, bo rzeczy dla reisty, to przedmioty bezwładne, nieprzenikliwe, twarde, wonne, barwne - żadnej z tych własności nie ma wiatr: opór, może to jedno w spe-

---

x/ Byłoby to w zwiazku z praktycznem znaczeniem tego faktu: jakość niezmiennie twająca, ze względu na korzystną reakcję na otoczenie, nie potrzebuje nam w tym stopniu "podawać" rzeczy obcej jako takiej, niż jakość zmienna, wyznaczająca zmienną /niebezpieczną/ rzeczywistość dookolną.

./.

cjalnem znaczeniu: nie czujemy oporu rzeczy, tylko opór raczej samej siły, która nas pcha lub głaszcze jakby niematerjalnie - to jest istotą wrażenia od wiatru i dlatego raczej tłomaczymy go "duchowo" niż rzeczowo. Nie chcę bynajmniej twierdzić, że w stosunku do wiatru należy być animistą, jakby mógł jakiś programowy złośliwiec i niezrozumialec powiedzieć. Chodzi mi o tę warstwę bezpośrednich wrażeń z poglądu życiowego, na której w pierwszej linji zdaje się opierać pogląd swój reista. Twierdzę, że ta właśnie pierwsza warstwa: dotyku, już zdradza go powoli, nie mówiąc o dalszej: wzroku, a cóż dopiero jeszcze dalszych: sferach zapachów i dźwięków - (smak zdaje się być bardziej z rzeczą związany, niż dwie poprzednie) z jakościami zimna i ciepła też niewiadomo co począć, bo przecie to, że piec grzeje mnie na odległość wiem, ale nie pojmuję bezpośrednio uczucia ciepła /przy zamkniętych oczach/ jako własności pieca. Chyba grzeją mnie tańczące i zderzające się drobiny powietrza - ale to jest wysoka fizyka, a nie poczucie dane bezpośrednie. Co robi reista z wewnętrznemi bólami, czuciami organów wewnętrznych, mięśni, ścięgien, stawów? To wszystko, powiada, właściwości "rzeczy doznającej" przestrzennej - musi być rzecz doznająca, aby były doznania. Co zostanie jednak z rzeczy tej, jeśli jej odmówimy bezpośrednio danej jedności osobowości, nietylko w danym przekroju, skończonym zresztą, trwania, ale w ciągu jego całości od pierwszych chwil świadomości i pamięci, aż do śmierci. Oto "rzecz doznająca" podzieli los zwykłej rzeczy niedoznającej i rozleci się w puch, jak ta ostatnia, kiedy odebraliśmy jej wszystkie konstytuujące

ją własności - ona trzyma się jako taka, t.j. nawet jako "przedmiot imanentny" tylko tem, że jest kompleksem w trwaniu samem dla siebie, a treści tego trwania trzymają się przez pamięć, czyli przez to, że w ciągu całego korowodu zmiennych przeżyć, trwa stale jedna i ta sama identyczna ze sobą osobowość, której świadomość /mówiąc skrótowo/ jeśli nie jest w trwaniu jako taka, to w każdym razie stale jest w tle zmięszanem Corneliusa, obecnem i w tej jego części, która jest przeszłością - bez tego niema nic z "rzeczy doznającej" - jest ona tylko rzeczą w znaczeniu zwykłem, a nie perfidnie-reistycznem - bo nie mogę tego nazwać naiwnym radykalnym realizmem w żadnym razie. A więc: wchodzę do pokoju, gdzie czuć zdechłym kotem /o tem wie n.p.moja służąca/, a ja kota zdechłego nigdy jeszcze nie wąchałem /niema się z czem chwalić - powie może ktoś - trudno/; pytam: "co to za smród?" i jestem w tem pytaniu szczery: czuję smród, a nie śmierdzącego kota - potem się o tem dowiaduję i na drugi raz, przez skojarzenie węchowo-wzrokowe będę już czuł kota, ale to nie należy nawet do kota objektywnie: to się z niego wydziela, ale wisi swobodnie w powietrzu /w postaci kuleczek drobnych zdechłego kota? - ja wiem - ale to jest druga warstwa: wiedzy/ jest to swobodna par excellence jakość wolnego smrodu. A cóż będzie z rozpylonym eterem? Czy to śmierdzi butelka eteru, której już w pokoju niema? Nie - to drobiny eteru śmierdzą. Nie - drobiny smród wywołują w moim nosie przez chemiczne działanie,przez nerwy węchowe, mózg i t.d., ale drobiny nie śmierdzą, tak jak nie grzeją mnie ciepłem swem drobiny grzejących ciał, tylko ruchem swym ciepło wywołują. A dźwięki? Sądzę, że to jest dla reisty najstraszniejsze. Słyszałem zdanie, ale nie

./.

ręczę za jego prawdziwość, że w ujęciu tem symfonja Karola Szymanowskiego n.p. będzie tylko kupą drgającego powietrza, które to drganie "jakoś" /!/ /takoś?/ się słyszy - ha, trudno taka jest własność "doznającej rzeczy".x/ Nie-to już jest wyraźne naciąganie. Psychologistyczne rozbicie t.zw. "przeżyć" na jakości ma swoją ograniczoną rację, ale ujęcie realistyczne nie jest rozbiciem świata na istotne składniki, tylko jawne sfałszowanie stanu rzeczy na rzecz zgóry powziętej doktryny.

Na końcu okazuje się, że /jednak/ jeden z głównych argumentów na rzecz realizmu radykalnego jest "konsekwencją analizy sensu rzekomych nazw elementów treści, jak czerwień, okrągłość, słodycz i t.p." więc to jest źródło ostateczne! O, na jakże wątpliwych podstawach polega cała ta transformacja. "Są to wszak nazwy pozorne, w języku ludzi trzeźwo myślących" - tylko tyle i gdzie dowód tej "pozorności"? Oto tylko w tem, że jako istniejące przyjęliśmy jedynie /i to nie wiadomo czy istniejące dla kogoś, czy same w sobie - różnica kardynalna - bez tego rozróżnienia pojęcie istnienia traci sens wszelki staje się wieloznaczne, nie-do-użytku/ rzeczy rozciągłe i bezwładne. Ale i to jest właśnie założenie dowolne, które należałoby udowodnić, a następnie zastanowić się, czy mamy prawo z jednej strony zwężać tak pojęcie istnienia, zamiast go

---

x/ Dla mnie n.p. to pojęcie "doznającej rzeczy" jest wprost sprzeczne. Bo dotąd rzecz to była rzecz martwa - tamto były osoby, stworzenia i t.p. Kotarbiński nazwał sobie osobę żywą rzeczą, dodając jej sprzeczny z nią w istotnem pojęciu atrybut doznawania i ma wrażenie, że zaprowadził jedność poglądu na świat. To samo złudzenie co psychologistów, tylko o wiele prymitywniejszego gatunku.

./.

różniczkować /co robić bowiem z rzeczywistością byczą nieomal czerwonego koloru n.p. i tonu A/, a natomiast rozszerzać nadmiernie pojęcie rzeczy, wprowadzając zamieszanie formalne do przyjętych słusznie w życiowym poglądzie znaczeń pojęć. W ten sposób można cały słownik wywrócić do góry nogami, ale nie wiem czy rzeczywistość by się zmieniła, gdybyśmy cnotę nazwali lokomotywą, a jabłko krową. Jest to właściwością logistyków, że wierzą w magiczną siłę słowa, jak totemiczni magicy lub wieszczowie dawnej Polski, a nawet Polski przedwojennej. Im się zdaje, że dość jest coś uznaczkować, przestawić sensy i znaczenia, potrząsnąć i samo się wszystko "jakoś" załatwi, podobnie jak wieszczom zdawało się, że dość jest znaleźć formułę słowną, aby Polska powstała, jak kulka z serwety prestidigitatora. Nic nie pomoże mi logiczny kawał, jeśli go nawet przeprowadzić zdołam, jeśli rzeczywistość będzie temu przeczyć. Sofizmatem nikt nie zniszczy swobodnej jakości, jako w pewien sposób dla mnie w mojem trwaniu istniejącej; słyszę ton A, który <u>bezpośrednio</u> nie jest własnością kiszki baraniej, ocieranej o koński ogon - jest tonem, odrębnym od wszystkiego. Tylko doświadczalnie mogę go z tamtym kompleksem połączyć, ale żadne drganie kiszki jako takie nie przejdzie mi w bezpośredniem przeżywaniu w ton. Tu w reiźmie tkwi ukryty głęboko pod pozorami naiwności dziecięcej niezepsutego człowieka, a z drugiej strony pod sztukami najperfidniejszego logicznego akrobaty, zwykły, powiedziałbym dziewiętnastowieczny materjalizm, który nawet z dzisiejszą fizyką rady sobie dać nie potrafi. Niedarmo dzisiejsi fizycy uciekli, z bardzo małemi wyjątkami, w psychologizm: tylko w koncepcji grup symboli przyporządkowanych grupom przeżyć, czyli kompleksom ja-

./.

kości,/a nie atomistycznie traktowanym elementom à la Mach/ jest ich ratunek i jaka taka możliwość interpretowalności wzorów fizyki. Czysty naiwny materjalizm, wyłażący z pod reizmu, musi nawet wobec dzisiejszej fizyki czuć się bezradnie i tu jest jego reizmu tragizm. Raczej /i to zupełnie zresztą niesłusznie/ cieszyć się z niej będą ontologiczni idealiści, powtarzający jak dzieci, klaszcząc w rączki: "materji niema! rozwiała się w puch!". Jest materja, ale "żywa", zindywidualizowana - trwająca sama dla siebie - a z niej statystycznie zrobiona jest martwa. Wszystkie drogi prowadzą do monadyzmu i nie wywinąłby się od niego Kotarbiński, gdyby zbudował odważnie cały swój system, a nie bawił się w ostrożne przyczynki "o różnych znaczeniach słów", przyznając się "bodajże" do jednego z nich, najbardziej pachnącego materjalizmem "martwym". "Obecność rzekomych nazw elementów treści /nazwy z pozornych stały się rzekome/ wywołuje <u>domysł</u> /!!/ istnienia elementów treści. Ujawnienie pozornego charakteru tych nazw pozbawia ten domysł /!/ reszty uzasadnienia". Otóż "ujawnienie" nastąpiło czysto werbalnie, przez dowolne założenie, że <u>w żaden sposób nie istnieje</u> /ani osobowo, ani rzeczowo, ani fenomenalnie/ coś, co nie jest ograniczone przestrzennie /= rozciągłe w sposób skończony/ i bezwładne; /o nieprzenikliwości lepiej nie mówić, bo cóżby zrobił reista z powietrzem i wodą - musiałby apelować do "kulek", które zkolei zakładałby jako nieprzenikliwe/. "Są to wszak nazwy pozorne w języku ludzi trzeźwo myślących" - mówi o swoich nazwach pozornych reista, chcąc zasugestjonować czytelnika, że jeśli tego i ten, to go uzna za warjata, a jedynym dowodem jest słówko: "wszak" brzydkie,

./.

choć przekonywujące. Gdzie jest dowód, że istnienia w pewien sposób czerwonego jako takiego mogę się tylko domyślać? Dowodu takiego niema i być nie może i polega on na tricku nieomal prestidigitatorskim, że, przez odpowiednią definicję istnienia, pozbawiamy jakiegokolwiek istnienia jakości, ponieważ ten sposób, w jaki one dla nas istnieją, pod tę definicję nie podpada. W tem oświetleniu dumne oświadczenie reizmu, że likwiduje przez swoje odkrycie cały spór o zasadnicze filozoficzne problemy /stosunku między przedmiotami zewnętrznemi a treściami/, staje się tylko "nazwą pozorną" nieistniejącego załatwienia rzeczy przez proste wmówienie sobie i innym rozwiązania, które nic nie rozwiązuje.

E l e m e n t y .

Wynurzenia Kotarbińskiego na temat reizmu w jego "Elementach", bardzo dobrym, z małemi według mnie zastrzeżeniami, podręczniku, będącym czemś w rodzaju szerokiego co do objaśnień, a zwężonego co do ilości objaśnionych pojęć, nie dorzucają nic nowego w tej kwestji. Co najwyżej do paru drobnych, słownych raczej problemów możnaby się przyczepić. Zgadzam się zupełnie na "redukcję" słowa przedmiot do słowa "rzecz" - unika się w ten sposób wielu potwornych wprost nieporozumień. Ale to nie implikuje bynajmniej twierdzenia, że "cokolwiek jest, jest rzeczą", co z naszej analizy poprzedniej wynika. Należałoby albo system reistyczny rozwinąć w sposób przekonywujący, albo że tak powiem nie mieszać nim w głowie początkującemu studentowi filozofji, bo to może go naprowadzić na złą drogę sztucznego odproblemiania rzeczywistości i zadawal-

niania się werbalnemi rozwiązaniami, od których krok jeszcze tylko jest do zupełnie dowolnej metafizyki. Nic nie pomoże dalsze oświadczenie autora "Elementów", zrobione jakby w drodze łaski, a które jest tylko wyrazem wahania się jego /bo na jednym stołku usiąść nie chce, a na dwóch ~~mu nie~~ siedzieć wypada/ między materjalizmem ordynarnym, a monadyzmem, że pod nazwą rzeczy rozumie i osoby ożywione, "obdarzone życiem psychicznem" - /dla bezpieczeństwa puszczone w cudzysłowie jako t.zw.przez reistów "wyrażenie skrótowo-zastępcze" - rzecz bardzo wygodna, ale według mnie filozoficznie niemoralna, bo kompromisowa/. Jesteśmy w starym, dobrym, dualistycznym, praktycznym poglądzie życiowym; i nie złudzi nas jedna etykietka "rzecz", naklejana na nas, stoły, cytryny, planety, cząsteczki, elektrony i "pola" - to nie jest żaden monizm, tylko wydrukowanie jednobrzmiących naklejek - to każdy może zrobić w dowolnym systemie pojęć.

Rozbrajające jest wyznanie bezsilności reisty w kierunku udowodnienia słuszności swej tezy. Oto na str.97 i 98 "Elementów" pisze Kotarbiński o reiźmie. "Ten kompleks założeń stanowi nasze credo, a więc pogląd hipotetyczny, a narzucający się wedle naszych skłonności; przy jego pomocy usiłujemy wybrnąć z zawiłości teorji poznania, <u>a nie mogąc go pozytywnie uzasadnić w sposób publicznie przekonywujący</u>, poprzestajemy na bronieniu go przed zarzutami pozornie słusznemi."/Podkr. G.K./.*) Przedewszystkiem nie uznaję w filozofji "hypotez" w znaczeniu naukowem, ani jako "hypotez pracy", ani jako domysłów. Jak to już stwierdziłem, jest pewna ilość opisów istnienia, wynikająca wprawdzie z jego istoty, ale niemożliwa do przyjęcia z powodu niedostatecznego uwzględnienia jednego, a

./.

*) Piszący Krytykę

podnoszenia zbytniego drugiego z dwóch koniecznych, niezaprzeczalnych członów jego dwoistości, lub też naodwrót. Tylko doktryna, starająca się pogodzić płynące stąd pozorne sprzeczności koniecznych, implikowanych przez absolutnie pewny stan rzeczy, poglądów, może być opisem prawdziwym całości istnienia w jego dwoistości, przyczem jesteśmy z założenia samego zmuszeni, aby wyjść poza stanowiska nauk poszczególnych, przyczem znowu jednak koncepcje nasze nie mogą być hypostatyczną twórczością dowolną, tylko powinny być ograniczone danemi realnemi, których opis co najwyżej może być poza nie w pewien sposób przedłużony. Słusznie mówi James Word, że filozofja, nie mogąc być nauką, w znaczeniu nauk ścisłych, powinna być sformułowaniem tego, w co "moglibyśmy racjonalnie wierzyć". "Pozytywnie uzasadnić" dany system można: byłoby to przyłożeniem go do znanych problemów i zbadaniem na ile je rozwiązuje. Oczywiście nie może być tak uzasadniony system, który zrzeka się rozwiązania najfundamentalniejszego problematu: "czem są rzeczy, gdy ich nie spostrzegamy", poza tem oczywiście, co nam w tej materji fizyka do wierzenia podaje. Zdaje mi się, że "skłonności" nie mogą grać tu roli świadomej. Źle jest, jeśli podświadomie działają i powinny być, prócz jednej skłonności: mówiąc bez patosu do prawdy, wyeliminowane; ale jeśli jako takie są uświadamiane i nie zwalczane, to jest to co najmniej dziwne.x/

---

x/ Zaznaczę tylko, że osobiście nie czuję żadnej "skłonności" do monadyzmu. Może wolałbym, aby sytuacja była mniej skomplikowana. Jestem zmuszony do bronienia tej doktryny może nawet wbrew istotnej woli "do spokoju", dlatego że na drodze eliminacji nie mam przekonania do innego wyjścia. Nie czuję tej konieczności w reiźmie Kotarbińskiego.

ich doktryny przeprowadzili psychologiści i fenomenolodzy, musimy uznać za sztuczne i pozbawione wszelkiej podstawy. Równie dobrze możemy się zatrzymać na czystym poglądzie życiowym i nie dać zrobić nawet tego małego kroku w kierunku reizmu. Czemu reista /tylko wtedy nie byłby już reistą/, jeśli już nie chce wyjść z jakości, jako że według niego są to hypostazy, nie wyjdzie z czegoś jeszcze bardziej oczywistego, t.j. z istnienia własnego i podobnych mu stworów, czyli nie stanie się poprostu monadystą, jakby tego wymagało antypsychologistyczne stanowisko? Czemu trzyma się rzeczy? Oto ulega złudzeniu "pseudo-naukowości". Przypuścić jedynie istnienie organizmów, osób czasowo-przestrzennych i t.p."fantazmatów" byłoby nienaukowem. Ponieważ fizyka dla swych celów neguje osobowość, co jest w jej sferze zupełnie uprawnione, każda filozofja, która stara się zdobyć markę naukowości, musi bezkrytycznie brnąć śladami fizyki, zaprzeczając w ten sposób swojej istocie, swemu zadaniu, którem jest opis całości Istnienia, a nie tylko jego jednej jakiejś „kupiury" /w przeciwieństwie do wycinka/, opis bez deformacji, (związanej ze zgóry powziętą ideją), przy użyciu "przedłużenia" opisu świata doświadczalnego, tam gdzie on z założenia samego wystarczyć nie może, ale jednak bez użycia hypostaz i hypotez zupełnie dowolnych. W[illegible] tego, co powiedziałem, reizm nie spełnia tych wymagań zupe[illegible] Według mnie nie tyle istotnem będzie zastosowanie do wymaganych elementów rzeczywistości kryterjum "bezpośredniości dania" /według tego co było mówione à propos przedmiotów i jakości/, ale kryterjum ostateczności tych elementów, ich absolutnej prostoty dalszej nierozkładalności, które są cechami momentów niesam[illegible]nych naszych przeżyć, na równi z momentami takżemiż świata [illegible]wnętrznego, który rozpatrywany jako dla nas istniejący, jest do

./.

tych przeżyć w pewnym sensie sprowadzalny. Dlatego problem Kotarbińskiego, który wątpi czy elementy treści są bezpośrednio dane, jest dla nas nieistotny.

Cały dowód Kotarbińskiego, opierający się o pojęcie "coś", został już właściwie zanalizowany uprzednio. To coś, pewna forma językowa, występuje tu jako główny świadek, że rzeczywistość jest taka właśnie, że jako różne "cosie" zewnętrzne, posiadające cechy ściśle z temi cosiami związane, nam się przedstawia. Według mnie wszelki opis rzeczywistości powinien zaczynać się od opisu nas samych, naszego ciała przedewszystkiem: jak ono się nam przedstawia, a wtedy mielibyśmy daleko większą gwarancję, że opis rzeczy, których doznawanie zależy od tego ciała /n.p. choćby fantazji dotykowych/ nie został sfałszowany. Język, jako kryterjum czy to istnienia czegoś, czy też nieistnienia, jest przez filozofów, mających intensywną kulturę logiczną, stanowczo w celach ontologicznych nadużywany. B.Russell na podstawie języka dowodzi, że "ja" nie istnieje, że jest to tylko pewna forma gramatyczna, praktycznie użyteczna. Na podstawie języka, w którym zarówno te formy, które Kotarbiński uznaje, jak i nie uznaje /uznając je za nazwy pozorne dla nieistniejących w gruncie rzeczy rzeczy/,dowodzi on wbrew oczywistości, że nie może być nigdy jakości swobodnych, tylko jakieś "cosie" z jednej strony barwne, dźwięczne, a z drugiej - doznające i myślące, a te cosie pierwsze właśnie bez reszty, w przeciwieństwie do tych drugich, na kompleksy cech rozłożyć się dają. Ale ponieważ człowiek "nie mędrkujący" powie nam, że słyszy "coś", a nie dźwięki, to wobec tego sonata Beethovena musi być kupą drgającego powietrza, którą się jakoś słyszy. Według mnie reista nie może, tylko na podstawie tego, że treści nazwał wyłącznie cechami "cosiów"

./.

158

twierdzić, że problem stosunku treści do przedmiotów zewnętrznych nic go nie obchodzi, bo: 1/ musiałby dokładnie określić czem jest "coś" poza cechami, choćby stu, czy tysięcy, niemędrkujących facetów chciało uznać "coś" za nienaruszalną świętość i nie chciało zanalizować procesu, w którym rzecz konstytuuje się w naszej świadomości, czy też jak jest nam dana, a po 2-gie/ musiałby się zastanowić nad stosunkiem cech drugorzędnych /kolor, dźwięk i t.p./ do przedmiotów fizykalnych choćby, jeśli nie do "cosiów" danych /w jaki sposób? - bezpośrednio? i to zawsze?/ niemędrkującemu facetowi. Przecież tu, gdzie ja widzę cechę czerwoności /skrót/ pudełka, to tam właśnie ruszają się jakieś "cosie", wprawdzie nie dane mi odrazu bez żadnych komplikacji /pozornie/ jak pudełko, ale których istnienie muszę uznać na zapewnienie fizyka, o którego sądy reista dba i na których się w dowodach swej tezy opiera. Jak to się odbywa w reistycznym poglądzie, że jednak rzeczywistość jest podwójna: cechom - nie samym rzeczom - odpowiadają zbiorowiska innych rzeczy, których egzystencja nie jest tak czemś prostem, jak istnienie tej rzeczy, którą wraz z jej cechami oglądamy. Tu pomostem między temi dwoma rodzajami rzeczy będą chyba "rzeczy doznające". Ale czy widzenie przez "rzecz doznającą" czerwonego pudełka jest poprostu jego - tego pudełka - istnieniem /wtenczas bylibyśmy nietylko nie w reiźmie, ale nie w realiźmie wogóle, tylko w idealiźmie/ i czy poza tym bytem fenomenalnym ono wogóle nie istnieje, czy też musimy założyć, że "coś" dane nam /"rzeczom doznającym" - tu wyłazi cała werbalność nazwania osób "rzeczami doznającemi"/ jako ta rzecz barwna, dźwięczna/?/, rozciągła i oporna, istnieje jeszcze "jakoś" inaczej? Bo czemże jest, gdy nie istnieje dla nas. W obrębie reistycznych pojęć sytuacja ta jest nie-do-wyjaśnienia. I tu zjawia się straszna wątpliwość: pod

./.

samą dla siebie, aby doznawać. O tym bycie samym dla siebie [jako o takim] Kotarbiński [prawie] nawet nie wspomina, *) bo nieszczęsne "coś", po trzykroć pochodne od "ja", zasłania mu nawet jego byt własny, który potem pochodnym mu się zdaje od tego jakiegoś "cosia" wogóle:- sam siebie uznawać zaczyna, ale jako "coś" w analogji zaledwie do innych "cosiów", a nie jako byt sam w sobie pierwotny i niesprowadzalny. /Jeszcze jedna analogja z psychologizmem - ale o tem później/.

Zachowanie zasady "zdrowego rozsądku", że pewne przedmioty są n.p. żółte /płomień sodu/, a inne się nam żółte "wydają" /n.p. serweta po zażyciu santoniny - [czy wogóle kto zażył kiedy santoninę prócz jednego może Macha - możebyśmy raz sprobowali] byłoby bardzo piękne, ale to jest właśnie normalny, filozoficznie /to znaczy w znaczeniu reisty, w kwestji stosunku elementów treści do "czegoś" wogóle/ odproblemiony, a następnie oparty o pogląd fizykalny [pogląd życiowy]: bo przecież cała ta kwestja wydawania się i [naprawdę] bycia musi być rozstrzygnięta w ten sposób: czy faktycznie drgają w danem miejscu elektrony z daną szybkością, czy też pod wpływem pewnych chemikaljów "doznające rzeczy" zaczynają inaczej doznawać, czyli że występuje problem stosunku charakteru doznań i ich podstawy według jakiejś teorji filozoficznej, opartej dalej o chemję i fizykę. A wtedy co mamy: stosunek t.zw. psychicznego do fizycznego i stosunek /MŻ/ do /MM/ danej nam raz tak, jak się ona w poglądzie życiowym przedstawia i tak, jak nam fizyka /ale jaka?/ do wierzenia podaje. A więc, jeśli się nie mylę, pozornie "wyrugowane", przez kompromisowe rozstrząsania, problemy, wracają w zupełnie tej samej postaci co na początku wszelkich wogóle filozoficznych rozstrząsań, czyli nic nie naruszone w ich jado-

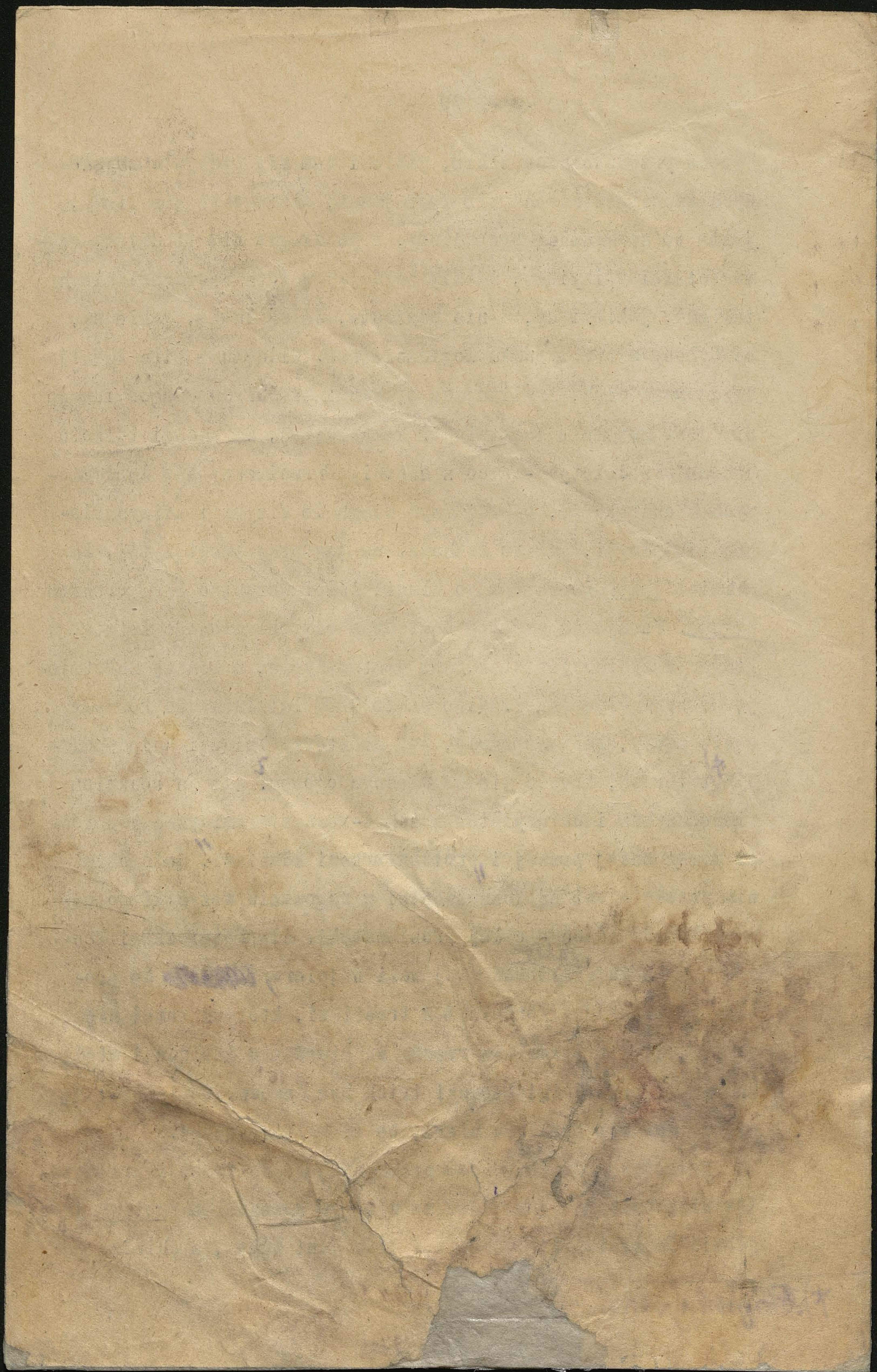
*) Chyba pod postacią [przecie...] "re[...]jący"!!

witości przez reistyczne postawienie kwestji: pogląd życiowy, psychologja, fizjologja, fizykalizm i znowu pogląd życiowy. Jest to taniec po stanowiskach koniecznych, bez jakiejkolwiek próby rozwiązania. Reista ma, według Kotarbińskiego, zupełną beztroskę wolnego wyboru odpowiedzi na pytanie "czy płomień sodu jest żółty". Może powiedzieć "tak", ale równie dobrze może powiedzieć, że nic takiego literalnie o żadnym przedmiocie orzec nie można. On ogranicza się do negatywnego stwierdzenia: "nic nie jest układem treści". Ale na pytanie czy kwiaty są dalej żółte, gdy ja wychodzę z pokoju i nie patrzę na nie - nie może powiedzieć wprost i otwarcie co myśli. "Jest to" - powiada - "wypowiedź sądu spostrzegawczego - a jeśli się mówi, to o przedmiocie niespostrzeganym, to sytuacja zmienia się i wtedy wypowiedź jest w literalnym sensie nieprawdziwa, ale prawdziwa jest w jakimś/!!/ sensie zastępczym" - w jakim u ciężkiej cholery?! - pytamy się już wściekli i do ostateczności doprowadzeni. Przecież tu w odpowiedzi tej została wimplikowana cała masa pojęć, których stosunek nie został wyjaśniony: ktoś spostrzegający [a więc czujący /ew.myślący/ i mający ciało etc.etc.], następnie sąd jego "spostrzegawczy"/?/=/cała teorja pojęć jest tu konieczna explicite/, a następnie wypowiedź tego sądu /związek czuć jako takich z ciałem jako takiem t.zn. jako z organizmem/, stosunek tych dwóch istności wzajemny, implikujący wszystkie problemy, które reista neguje jako takie - czego tu niema! A o tem wszystkiem nie wiemy nic z punktu widzenia czysto reistycznego - wiemy tylko, że nic nie jest"układem elementów treści", a pozatem wiemy wszystko: co się tylko da z życia, z poglądu życiowego, z psychologji, z fizjologji i z fizyki i przeskakujemy z jednej z tych sfer i dyscyplin na drugą, a potem znów na pogląd życiowy - jak nam wygodniej. Zasadnicza deklaracja, że

"pewne przedmioty są takie, jakiemi nam się wydają w zmysłowych spostrzeżeniach" nie jest jasna, dlatego że nie wiemy, jakie to są właśnie przedmioty, a po drugie nie rozumiemy czemu Kotarbiński pisze, że się "wydają" w tych spostrzeżeniach takiemi, jakiemi są, a nie poprostu, że są takie, jakie są, co byłoby w tym wypadku logiczniejsze. Widocznie więc kwestja "wydawania się", implikująca stosunek treści do czegoś innego nie jest zupełnie załatwiona. Tembardziej, że chodzi tylko o "pewne przedmioty" - a co z innemi? Ograniczamy się do życiowych skonstatowań, a w dalszym ciągu do fizyki i ufizycznionej fizjologji, jak to wychodzi na jaw przy kwestji tej, że chinina jest gorzka, a po ulaniu żółci wszystko się gorzkiem wydaje. Panuje tu zupełna beztroska odproblemionego świata, w którym wszystko jest tak, jak jest w życiu, a resztę załatwiają poszczególne nauki. Więc na to 3000 lat ludzkość rozwala sobie głowy, żeby naprawdę, jak niektórzy laicy i "wiedeńczycy"*) twierdzą, kręcić się za własnym ogonem. Ale ja rozumiem wiedeńczyków i carnapistów z ich 4-rema sferami rzeczywistości coraz mniej pewnej i "protokularnemi zdaniami", jako ostatnią prawdą - oni są konsekwentni w negowaniu wszystkiego od początku do końca - całej problematyki. Ale Kotarbiński konstatuje właściwie fakty wbrew swej woli najpierw, ~~[illegible]~~ że problem jest, walczy werbalnie z treściami, których tamci nie negują, stawia werbalnie rzeczy na pierwszem miejscu i wtedy, zrobiwszy prestidigitatorski trick bez dowodu, oświadcza: "a więc widocznie problemu niema, bo są tylko rzeczy".

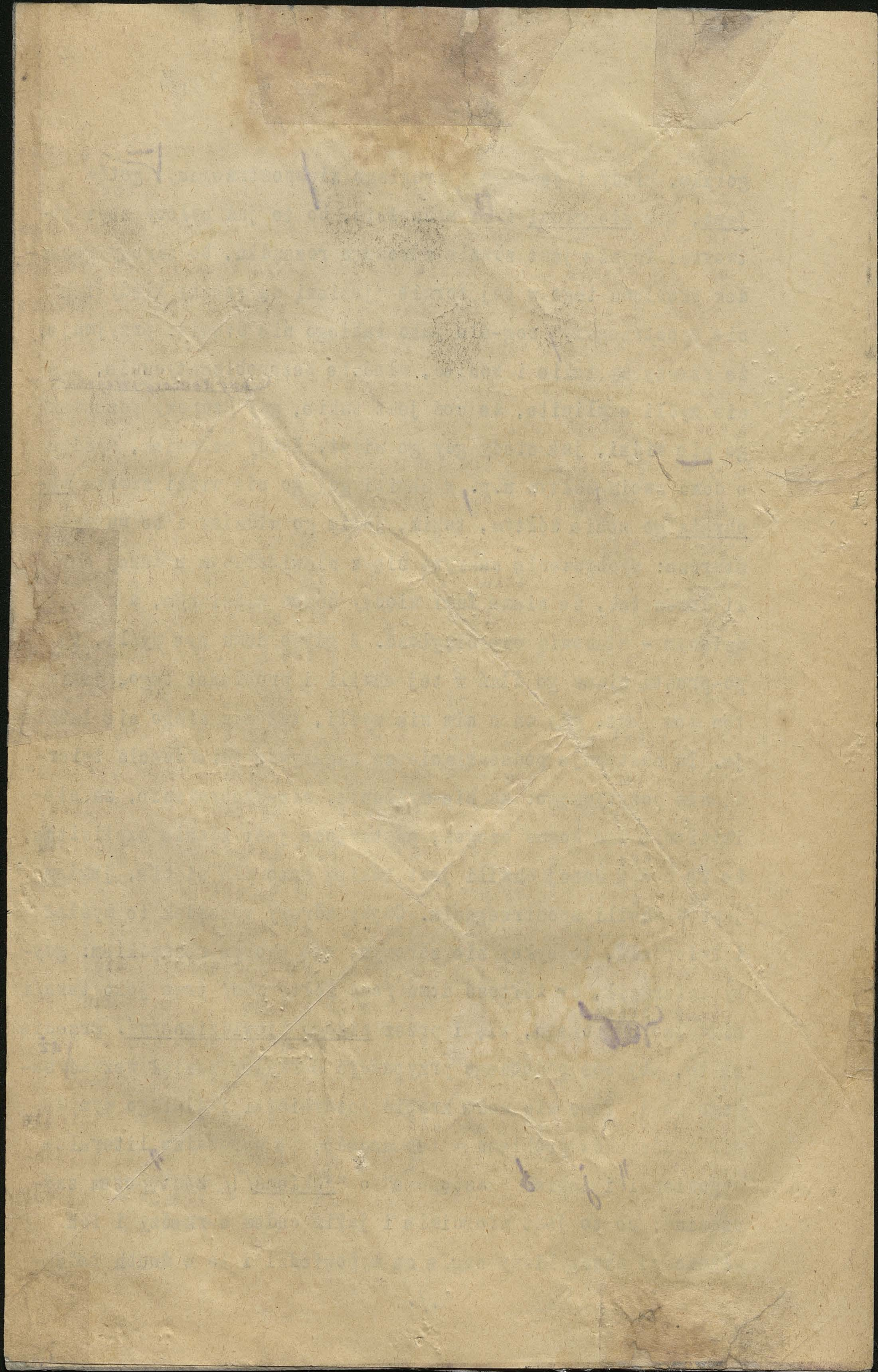
Najgorzej zaś jest, jak przystępujemy do kwestji przedmiotów niespostrzeganych. Idąc za zdrowym rozsądkiem "gotów" jest głosić Kotarbiński, że płomień sodu jest żółty, a chinina

*) Filozofowie z „Wienersk[...]



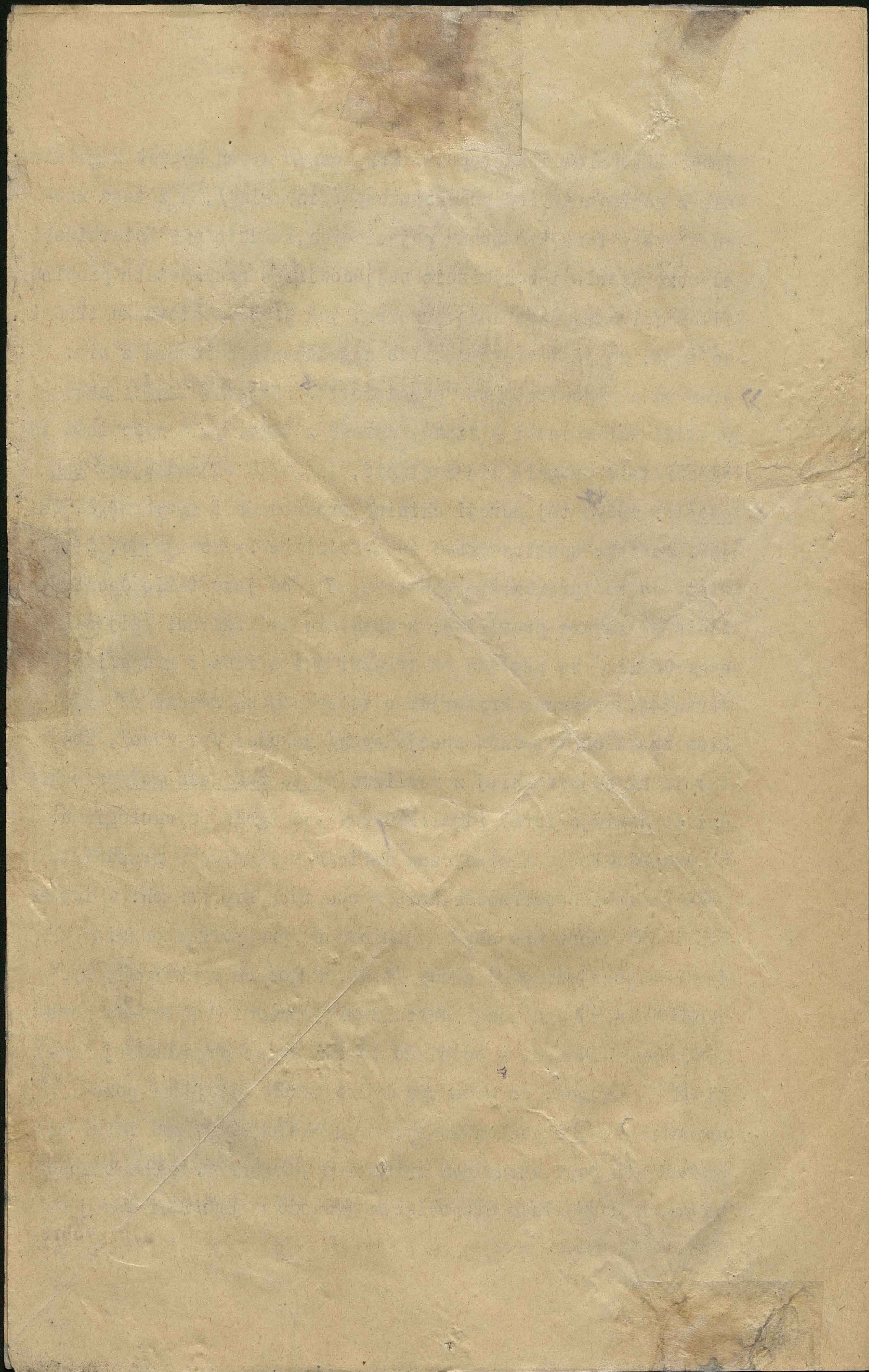
gorzka, kiedy i jednego i drugiego nie spostrzegamy, gotów jest, ale nie głosi i to szczęście, bo to już byłoby zbyt potworne! To nie jest zdanie zdrowego rozsądku, bo zdrowy rozsądek problemu tego w tej formie "jakiemi są rzeczy kiedy ich nie spostrzegamy" wog-óle jako takiego nie stawia: przyjmuje, że rzeczy są takie i koniec, właśnie bezproblematycznie, ale nie myśli explicite, że coś jest takie, gdy "zdrowy rozsądek" go nie widzi, jak wtedy gdy go widzi. Każdy człowiek, myśląc o domu swoim żółtym n.p., w chwili gdy go nie widzi zawsze wyobraża go sobie żółtym, takim, jakim go widział i to mu wystarcza: wyobrażenie nakrywa się z niewidzianym w danej chwili domem tak, że niema luki między domem widzianym, a niewidzianym - stanowią one ciągłość. A gdy o domu nie myśli, to po-prostu niema go dlań w tej chwili i problemat tego, jakim ten dom jest, gdy on o nim nie myśli, też dla niego nie istnieje. Tu następuje podstawienie za negatywne twierdzenie twierdzenia pozytywnego: za nie-myślenie, nie-wyobrażanie, za nieistnienie dla kogoś czegoś, podstawione jest zdanie explicitne, że to coś w danej chwili jest takiem samo dla siebie, jakiem jest w chwili spostrzegania. Gdyby zdrowy rozsądek to myślał i twierdził, to byłby nie zdrowym, ale chorym rozsądkiem: gdyby twierdził, że żółtość domu /czy żółty dom/ trwa jako taka/i/ nietylko przez niego, ale i przez nikogo niewidziana/y/. Przecież na to, aby coś podobnego przypuścić Berkeley musiał wezwać aż samego Boga. Tego nie może zrobić Kotarbiński i dlatego wymyka się z uścisków problemu w ten sposób, że wprowadza literalne wypowiedzi i jakieś "zastępcze" o "jakiemś/!/ zastępczem znaczeniu": co to jest właściwie i jakim cudem z rzeczy i ich własności skoczyliśmy nagle na wypowiedzi i to w dwuch rodza-

./.

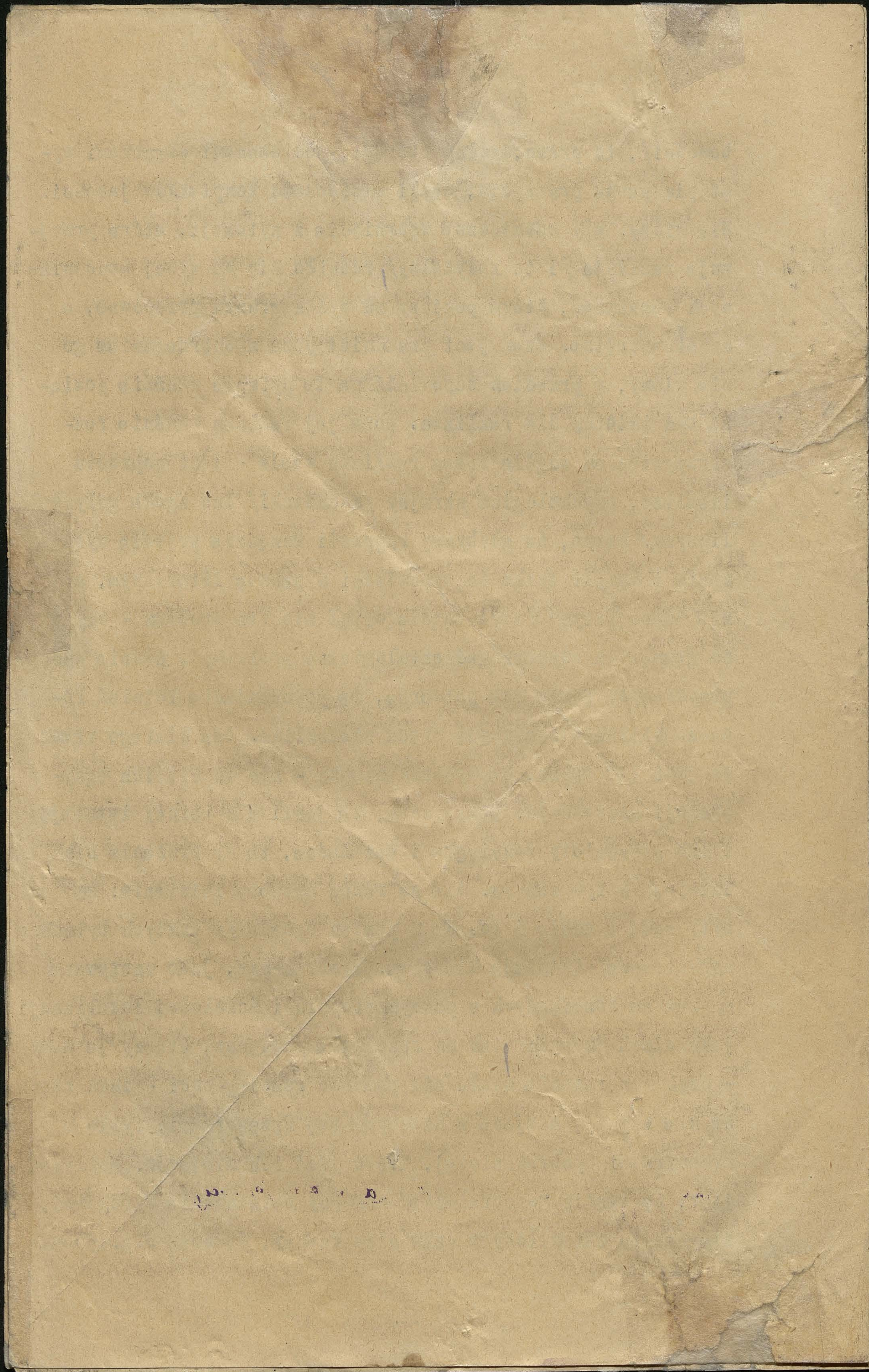


jach: literalne i zastępcze. Przenosząc w ten sposób zagadnienie z poglądu życiowego w naukowy /fizykalny/, a z tego znowu w sferę form stosunków pojęciowych, zwalnia się Kotarbiński od rozwiązania i oczywiście najjadowitsze rzeczywiste problemy filozofji stają się dlań pozorne, jak problem stosunku treści do tego, co jest naprawdę, lub zagadnienie związane z nim: czem są niespostrzegane "przedmioty". "Najprościej/!/ zaś" - powiada Kotarbiński - "zdamy sprawę z tego, jaką wypowiedź ta wypowiedzią pragnie się zastąpić, jeśli ją sformułujemy tak oto/!/: "Gdym tej porcji chininy skosztował i spostrzegł, że jest gorzką, spostrzegłbym to prawdziwie".- Pomijając, że nie wiemy co to "prawdziwie spostrzegać" /bo jako takie spostrzeżenia są zawsze prawdziwe, a mogą nie być takiemi /kij złamany w wodzie/ ze względu na związki swe z innemi grupami spostrzeżeń, przyczem kryterjum ostatecznem są zawsze /z wyjątkiem rzadkich wypadków specjalnych/ jakości dotykowe/, Kotarbiński najwyraźniej z realizmu /i to radykalnego!/przechodzi do jakiejś formy idealizmu, czy też zgoła psychologizmu; bo przecie to jest klasyczna definicja istnienia przedmiotu poza naszemi spostrzeżeniami, w obu tych kierunkach: w idealiźmie są czort wie skąd się biorące "przyporządkowania" w świecie pozajaźniowej złudy /t.zn. czegoś co wydaje się być czemś istniejącem poza punktalnemi jaźniami "czysto-duchowemi", bezcielesnemi - bo ciało to też świat pogardzanej "empirji" - czegoś, co może być tylko złudą tej jaźni pozaprzestrzennej i pozaczasowej; w psychologiźmie zaś istnienie przedmiotu poza aktualnym związkiem jakości /u Macha bezosobowym, u Corneliusa stanowiącym jedność w jedności danej oso-

./.



bowości/, to prawo, według którego, pod pewnemi warunkami wystąpią pewne przeżycia, czyli następstwa kompleksów jakości. Nie widzę, aby ostateczne wybrnięcie z sytuacji, które przyjmuje realista /i to radykalny/, różniło się od wyżej wspomnianych rozwiązań, które powinny mu być z gruntu przeciwne, a nawet wstrętne. Czem jest przedmiot poza spostrzeganiem go nie wiemy, a przecież odpowiedź na to pytanie właśnie powinna być istotną dla realizmu: poza jej realnem właśnie rozstrzygnięciem wogóle niema realizmu wcale - jest poprostu idealizm, psychologizm skrajny /machowski/ lub zgoła goły solipsyzm. Pewno, że gdybyśmy rugowali wszędzie pojęcie wyobrażenia i dążyli tylko do wypowiedzi w sensie literalnym, a nie "zastępczym" /skąd wogóle wziął się ten problem - czy można gramatyką rozstrzygać ontologiczne problemy/, zdania nasze przybrałyby formy tak potworne, że porozumienie Istnień Poszczególnych stałoby się wręcz niemożliwe. Ale dlatego rzecz ta jest tak ważna, że wyobrażenia są - nie da się ich egzystencji zaprzeczyć. Oczywiście, że jeśli dla reisty istnieją tylko przedmioty rozciągłe i bezwładne, to wyobrażenia nie istnieją w tym sensie. Ale są różne sposoby istnienia: są byty same w sobie i to, co w pewien sposób /w tamtych bytach ugruntowane/ istnieje dla nich. Wyobrażenia, jako wzorowane na zawsze rozciągłych w pewnym stopniu i ścisłości lokalizacji jakościach "żywych", też są rozciągłe /dla nas, którzy je mamy/ - czyż wyobrażenie stołu nie posiada rozciągłości - inna rzecz, że nie zajmują miejsca w Rzeczywistej Przestrzeni, tylko w Przestrzeni Wyobrażeniowej, która jest ich miejscem. Możliwem jest, że termin "wyobrażenie" możnaby ostatecznie wyrugować, ale czy to zmieniłoby w czem stan rzeczy, że moje n.p. wyobra-



żenia, z chwilą kiedy są aktualne, w pewien sposób istnieją /nie jako rzeczy, ale jako ich pewne odbicia, lub fantazje na ich temat/ w mojem trwaniu. Ostatecznie można się zgodzić z tem, że jeśli powiem, iż "Jan wyobraża" - jest "rzeczą wyobrażającą", jest to prawie to samo, co gdybym powiedział, że "Jan ma wyobrażenia". I gdyby tamto nazwanie Jana "rzeczą wyobrażającą" nie było czysto werbalnem i dawało istotne rozwiązanie najstraszliwszego problemu istnienia, możnaby było się wzamian za nie zgodzić na najgorsze spotwornienie form językowych. Ale to nie daje nic, prócz wmawiania w siebie oczywistej niemożliwości, opartej na "zaklęciach słownych". Nic nie pomoże oświadczenie co do "szerokiego rozumienia" słowa rzecz, aż do osób włącznie - problem sam się przez to nie rozwiąże.

Dwa zarzuty dodatkowe.

Zastanawiając się nad reizmem, przychodzi się do zatrważających wniosków. dowód na zniszczenie istnienia cech, stosunków itp.itp. w imię tego tylko, że nie są to rzeczy, /to, że istnieją tylko i jedynie rzeczy jest twierdzeniem dowolnem, przy ograniczeniu samowolnem jawnie wieloznacznego pojęcia istnienia do jednego tylko znaczenia/, nie jest przeprowadzony, a kolory, dotyki, a dalej dźwięki, zapachy itp. spostrzega się bezpośrednio (samodzielnie), czy to jako składniki "przedmiotów imanentnych", czyli poprostu kompleksów tych jakości, a w szczególniej pierwszych, czy nawet wtedy, gdy przedmiot, w wyjątkowych wypadkach, cały jest nam bezpośrednio dany, bez rzutów po sobie następujących, lub częściowych takichże "obmacywań". (Wydaje mi się przeciwnie, że rzecz, to jest coś raczej wtórnego (a nie same jakości), jeśli pominiemy danie nam bezpośrednie naszego ciała i wymienionych



